



***Debbie Macomber***



***Kwiecień w San  
Francisco***

*Tytuł oryginału: Father's Day*



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Nie mogę wprost uwierzyć, że robię coś takiego – szepnęła do siebie Robin Masterson, zaglądając do prowizorycznego namiotu podwieszanego na sznurze do suszenia bielizny w ogrodzie przylegającym do jej nowego domu.

– Wejdz, mamó – zachęcił ją dziesięcioletni syn, Jeff, i przesunął się, żeby zrobić dla niej miejsce. – Tu jest naprawdę miło i ciepło.

Na czworakach, z latarką w ręce, Robin wczołgała się do środka.

Do konstrukcji swojego namiotu Jeff użył spinaczy do bielizny, którymi przypiął prześcieradła do sznura, oraz kamieni, żeby przycisnąć prześcieradła u dołu. W środku nie było zbyt dużo miejsca, jednak jakimś cudem udało się jej wśliznąć do swojego spiwora.

– Ale niesamowicie – powiedział Jeff, wysuwając głowę przez niewielki otwór wejściowy namiotu i spoglądając z zachwytem na rozgwieżdżone niebo.

Kiedy Robin szła ścieżką przez ogród, miała wrażenie, że gwiazdy uśmiechają się do niej z przekąsem. Ciekawe, jaki też mogły mieć powód. No cóż, zapewne w całej Kalifornii ze świecą by szukać drugiej takiej matki, która zgodziłaby się na podobne szaleństwo. To była pierwsza noc w nowym domu i Robin ledwo żyła ze zmęczenia. Wstała dziś rano przed piątą i od razu zaczęła upychać do samochodu pakunki i meble. Dopiero przed chwilą zakończyła rozpakowywanie najpotrzebniejszych kartonów. Łóżka też już były pościelone, ale Jeff nawet nie chciał słyszeć o czymś tak banalnym, jak spanie na wygodnym materacu w swoim pokoju. Od dłuższego czasu nie mógł się doczekać tego dnia, kiedy wreszcie przenocuje w namiocie we własnym ogrodzie. Nie była w stanie mu wytłumaczyć, żeby zaczekał z tą przygodą choć dzień lub dwa, a przecież nie mogła pozwolić, by spał sam, tym bardziej że nie znała jeszcze ani sąsiadów, ani okolicy. Zostało jej więc tylko jedno

wyjście i była święcie przekonana, że gdzieś, choć nie miała pojęcia gdzie, musi na nią czekać medal dla najlepszej matki roku.

– Opowiedzieć ci kawał? – zapytał Jeff, trącając ją lekko łokciem.

– Jasne – odparła, tłumiąc ziewanie, w nadziei, że nie zaśnie, nim padnie pointa dowcipu. Musiała się przecież w odpowiednim momencie roześmiać, żeby nie sprawić synowi przykrości.

Jej obawy były jednak całkowicie nieuzasadnione, bo jeszcze przez kolejne pół godziny pozwoliła się zabawiać całą serią zagadek, rymowanek i ulubionych piosenek z obozu.

– Puk, puk – powiedziała wreszcie, gdy umilkł na chwilę.

– Kto tam? – zapytał rozbawiony Jeff.

– Zdrowy rozsądek – uśmiechnęła się. – Pora już zakończyć na dziś te igraszki.

Mały wybuchnął takim śmiechem, jakby powiedziała coś bardzo zabawnego. Ten entuzjizm zupełnie ją rozbroił i uznała, że taka przygoda to całkiem dobra zabawa, choć już od lat nie spała na ziemi i zapomniała, jakie to niewygodne.

– Myślisz, że nie zmarzniemy? – zagadnęła rzeczowo, chcąc przywołać syna do porządku.

Wyciągnął wszystkie koce, jakie były w domu, żeby skonstruować i wypościć sobie to gniazdko. Na ich śpiworach leżały dwa ostatnie, na wszelki wypadek, gdyby miał ich dopaść w nocy arktyczny chłód. Co prawda był już kwiecień, ale w San Francisco wiosna potrafiła być czasem naprawdę wyjątkowo chłodna.

– Jasne, że nie, ale w razie czego weźmiesz mój koc – powiedział Jeff, wczuwając się w rolę dorosłego mężczyzny. – Nie jesteś głodna?

Teraz, kiedy o tym wspomniał, poczuła głód.

– Właściwie tak, a co masz?

Jeff zanurkował w śpiworze i po chwili wyłonił się z małą plastikową torebką pełną sprasowanych łakoci.

– O, nie, dziękuję, coś takiego niekoniecznie.

– A kiedy kupimy mi psa? – zapytał niespodziewanie, żując z wyraźną przyjemnością swoje spłaszczone żelki.

Zamknęła oczy i milczała, wsłuchując się w mlaskanie Jeffa.

– Mamo, no kiedy kupimy pieska! ? – powtórzył.

Przez ostatnie dni niemal bez przerwy przeżuwała tę myśl, a dziś szczególnie, bo mu obiecała, że gdy się już zdomowią w nowym miejscu, przedyskutują ten pomysł.

– Przejrzymy jutro ogłoszenia w gazecie? – Jeff nie dawał za wygraną.

– Naprawdę nie wiem, kiedy się tym zajmiemy. Jest tyle spraw do załatwienia... – Nie chciała zawieść synka, bo wiedziała, że bardzo pragnie mieć psa. Zresztą kochał wszystkie zwierzęta, podobnie jak jego ojciec.

– Ale ja chcę dużego, wiesz, nie jakiegoś małego pudelka...

– Golden retriever byłby fajny, co? – zasugerowała.

– Owczarek niemiecki – odparł stanowczo Jeff.

– Twój tata też bardzo kochał psy...

Przez wiele lat, kiedy zostali sami, mówiła mu to setki razy. Lenny, jej mąż, odszedł już tak dawno temu, że nawet nie pamiętała, jak wyglądało ich życie razem. Zakochali się w sobie po uszy i zaraz po skończeniu szkoły średniej wzięli ślub. W rok później zaszła w ciążę, a gdy Jeff miał zaledwie sześć miesięcy, jego ojciec zginął w wypadku samochodowym w drodze z pracy do domu. W jednej chwili cały jej świat legł w gruzach i nawet jeszcze dziś, choć minęło dziesięć lat od tamtego dnia, trudno się jej było otrząsnąć po tej tragedii. Z pomocą rodziny zdobyła zawód dyplomowanej księgowej i

pracowała w San Francisco dla dużej firmy ubezpieczeniowej. Umawiała się w tym czasie z różnymi facetami, ale nie mogła jakoś sobie wyobrazić, że zwiąże się z którymś z nich na stałe i weźmie ślub. Jej życie było teraz znacznie bardziej skomplikowane niż wtedy, kiedy miała dwadzieścia lat i wszystko wydawało się takie proste. Poza tym sama myśl, że miałyby się ponownie zakochać, napawała ją prawdziwym przerażeniem.

– A jakiego pieska miał tatuś, jak był małym chłopcem?

– Dobrze wiesz, jakiego, opowiadałam ci tyle razy. Nazywał się Rover, ale chyba nie był rasowy – powiedziała. Zamyśliła się, żeby sobie przypomnieć, jak wyglądał pies Lenny'ego z dzieciństwa. – Chyba najbardziej przypominał labradora – dodała po chwili.

– A był czarny?

– Nie, brązowy.

– A tata miał jakieś inne zwierzęta?

Robin uśmiechnęła się do siebie. Lubiła, gdy Jeff dopytywał o swojego tatę. I co ciekawe, ani dla niej, ani dla niego zupełnie nie miało znaczenia, ile razy już opowiadała mu te historie.

– W pierwszym roku naszego małżeństwa dołączyły do nas trzy kolejne zwierzęta. Wciąż ściągał do domu jakieś zagubione koty czy głodne psy. Oczywiście nie mógł ich zatrzymać, bo nie wolno nam było trzymać w domu zwierząt, i przez pierwsze dni, zanim zdołaliśmy je oddać w dobre ręce, wychodziliśmy z siebie, żeby je jakoś ukryć. A na naszą pierwszą rocznicę ślubu tata kupił mi złotą rybkę. Naprawdę lubił wszystkie zwierzęta i wspólnie marzyliśmy, że któregoś dnia kupimy małą farmę, będziemy hodować kury i kozy, może nawet jakąś krowę albo dwie, a tata zawsze powtarzał, że jak podrośniesz, kupi ci kucyka. – Jak trudno było jej ukryć cierpienie... Nawet po tych wszystkich latach wspomnienie śmierci Lenny'ego sprawiało jej ogromny

ból. A teraz, gdy patrzyła na swojego syna, który tak bardzo pragnął mieć psa, jeszcze mocniej tęskniła za mężem.

– Chcieliście kupić farmę? Serio? – zawołał podekscytowany. – Nigdy mi o tym nie mówiłaś. I tata chciał mi kupić kucyka? Tylko dla mnie? Naprawdę? I było nas na to stać? – dodał po chwili namysłu. – Tyle czasu musieliśmy oszczędzać na dom, to co dopiero farma...

Robin uśmiechnęła się smutno.

– Chyba będziemy musieli zrezygnować z pomysłu posiadania farmy, przynajmniej w najbliższej przyszłości. Sami nie damy sobie rady, bo na farmie jest mnóstwo pracy.

Robin i Lenny, gdy się pobrali, przegadali wiele godzin, snując najpiękniejsze marzenia i wspólne plany na przyszłość, pewni, że nic ich nigdy nie rozdzieli. Tak silna była ich miłość. Rzeczywiście nic nigdy nie mówiła Jeffowi o farmie, ani o tym, że chcieli ją nazwać Raj. Wybrali taką właśnie nazwę, bo to miejsce miało być ich rajem na ziemi. Ich, i tylko ich. Nie chciała o tym wcześniej opowiadać Jeffowi, bo czuła, że musi go chronić. A dzisiaj tak się jej jakoś wyrwało... Tak wiele już w życiu stracił! Nie tylko opiekę i miłość ojca, lecz także wszystko to, czego nie miał, a co miałby, gdyby żył Lenny. Nigdy wcześniej nie wspominała o kucyku ani o tym, że Lenny chciał sobie kupić konia. Obawiała się jeszcze bardziej pogłębiać u syna i tak już dojmujące poczucie przegranej.

Jeff ziewnął słodko. Zdumiewała ją jego wytrzymałość. Dzielnie jej pomagał przy przeprowadzce, biegając po schodach z energią, której mogła mu pozazdrościć. Rozpakował rzeczy w łazience na piętrze i cały swój pokój, a do tego pomógł jej w kuchni.

– Już się nie mogę doczekać mojego psa – wymamrotał jeszcze, a po chwili już smacznie spał.



– Piesek... – szepnęła Robin łagodnie, zamykając oczy. Naprawdę nie wiedziała, jak ma przekazać synowi tę złą nowinę, ale nie mogli mieć teraz psa. Nie od razu. Nie mogła zostawiać dużego psa zamkniętego na wiele godzin w domu ani uwiązać go na łańcuchu na podwórku. Nie mieli teraz pieniędzy ani na zrobienie ogrodzenia, ani na zakup psa, ani na weterynarza, a więc siłą rzeczy sprawa musiała się odwlec w czasie. Po tej przeprowadzce była doszczętnie splukana.

Robin zbudziło poranne rześkie powietrze. Była szósta trzydzieści. Stary śpiwór, pamiętający jeszcze czasy szkolne, musiał się jej rozpiąć w nocy i do środka wdarł się poranny chłód. Ręce i nos miała lodowate. Szybko zapięła śpiwór, naciągając go aż pod brodę, i przekręciła się na bok, chcąc zasnąć jeszcze choć na pół godziny. Wyciągnęła rękę po koc, żeby się dodatkowo okryć, ale napotkała dziwny opór. Szarpnęła raz i drugi, ale bez skutku. I nagle dotarło do niej ciche posapywanie i poczuła na szyi ciepły oddech. Otworzyła szeroko oczy i odwróciła głowę. Ku jej przerażeniu spoglądała wprost w ślepią wielkiego czarnego psa. Aż zaparło jej dech w piersiach. Usiadła raptownie, próbując wyplątać się ze śpiwora.

– A ty skąd się tu wziąłeś?

Labrador wcisnął się pomiędzy nią i Jeffa i ułożył wygodnie. Łeb oparł na przednich łapach i wyglądał na bardzo zadowolonego, choć może odrobinę niepokieszonego, że przerwano mu poranną drzemkę.

Jeff zaczął się kręcić i po chwili otworzył oczy. Widząc czarnego futrzaka, natychmiast oprzytomniał.

– Mamo! – wykrzyknął, siadając – kupiłaś mi psa!

– Nie, on nie jest nasz. Nie mam pojęcia, czyj to pies.

– Mój! – zawołał tryumfalnie Jeff. – Jest mój! – powiedział i objął go za szyję. – Naprawdę kupiłaś mi psa... To miała być niespodzianka, prawda?

– Jeff – powiedziała Robin stanowczo – nie wiem, skąd tutaj wziął się ten pies, ale nie należy do nas.

– Nie, naprawdę? – Był wyraźnie zawiedziony. – Ale to czyj on jest? I jak tu wszedł do nas, do namiotu?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Robin przetarła oczy, starając się uporządkować myśli. – Za dobrze wygląda jak na przybłądę. Pewnie należy do któregoś z sąsiadów. Musimy popytać w okolicy...

– Blackie! – Nieopodal namiotu rozległ się męski głos. – Blackie, gdzieś ty polazł? Do nogi!

Labrador uniósł głowę, ale pozostał na swoim miejscu. Nie można było mu się dziwić. Jeff głaskał go jedną ręką po grzbiecie, a drugą tarmosił za uchem i czule do niego przemawiał.

Robin wygramoliła się ze swojego śpiwora, włożyła tenisówki i wyczołgała się z namiotu. Natychmiast dostrzegła wysokiego, szczupłego mężczyznę, który stał dosłownie kilka metrów od niej, koło żywopłotu wytyczającego granicę działki, i bezradnie rozglądał się dokoła. Uśmiechnęła się do niego, ale on nie odwzajemnił uśmiechu.

Szczerze mówiąc, nie wyglądał na kogoś specjalnie uprzejmego. Był naprawdę imponującego wzrostu, bo gdy podeszła bliżej, górował nad nią niczym jakaś potężna budowla.

– Dzień dobry – powiedziała najbardziej beztroskim głosem, na jaki było ją stać.

Ledwo omiółł ją wzrokiem i tylko nieznacznie kiwnął głową. No cóż, pewnie po tak spędzonej nocy nie wyglądała oszałamiająco, jednak nie usprawiedliwiało to jego kompletnego braku zainteresowania. Nie oceniała zwykle ludzi, których nie znała, ale ten typ wydal się jej wyjątkowo antypatyczny.



– Dzień dobry – powtórzyła więc mocniejszym i bardziej stanowczym głosem, prostując się przy tym i unosząc głowę. – Jeśli szuka pan psa, to jest on z moim synem w namiocie.

Na tę wiadomość mężczyzna jakby się ocknął, a jego rysy twarzy złagodniały i Robin odniosła wrażenie, że taki odprężony, może być nawet całkiem atrakcyjny. Zwykle nie bardzo ją to interesowało, czy facet jest przystojny, czy też nie, ale tym razem ta przemiana wzbudziła jej ciekawość.

– Nie szukam go, bo on nie ucieka – wyjaśnił, po czym gwizdnął głośno i przeciągle, aż zaświdrowało jej w uszach.

Blackie wyszedł z namiotu i podszedł do żywopłotu, merdając ogonem.

– To pana pies? – zapytał Jeff, który również wyskoczył z namiotu. – Jest super. Od dawna pan go ma?

– Zapewniam, że więcej nie będzie państwu zakłócał spokoju – powiedział mężczyzna, ignorując pytanie Jeffa.

Robin domyśliła się, że miały to być przeprosiny.

– Jest dobrze wychowany, nigdy dotąd nie uciekł z ogrodu i dopilnuję, żeby się to nie powtórzyło.

– Ale on nam wcale nie przeszkadza – pospiesznie wyjaśnił chłopiec, po czym podszedł do psa i pogłaskał go po głowie. – Wszedł do naszego namiotu i chyba było mu tam dobrze – dodał po chwili z zadowoleniem. – Nie przeszkadzał nam, prawda, mamo?

– Oczywiście, że nie. – Robin odruchowo poprawiła włosy. Musiały być strasznie zmierzwione po tak szalonej nocy.

– Zaprzyjaźniliśmy się, co nie, Blackie? – Jeff przyklęknął obok psa i potarł mu głowę za uchem, a pies polizał chłopca po twarzy.

W oczach nieznanego malowało się teraz zdziwienie. Ściągnął brwi i spojrzał surowo na psa.

– Blackie, chodź tu – rzucił komendę, a pies, ociągając się, podszedł do niego. Najwyraźniej przychylność jego pupila dla Jeffa nie była mu na rękę.

– Mój syn bardzo lubi zwierzęta – wyjaśniła Robin.

– Pan tu mieszka? – zapytał Jeff, jakby zupełnie nieświadomy nieuprzejmości sąsiada.

– Tak – odparł krótko mężczyzna.

– To świetnie! – ucieszył się chłopiec. – Nazywam się Jeff Masterson, a to jest moja mama, Robin. Wczoraj wprowadziliśmy się do tego domu.

– Miło mi, Cole Camden.

Może jego słowa były uprzejme, ale ton na pewno nie, i Robin poczuła się mniej więcej tak mile widziana, jak zespół punkowy na pikniku dla emerytów.

– Ja też będę miał niedługo psa – pochwalił się Jeff. – Właściwie dlatego wyprowadziliśmy się z naszego starego mieszkania. Tam mogłem mieć tylko złotą rybkę.

Cole kiwnął głową bez słowa.

No to świetnie, pomyślała posepnie Robin, po latach odmawiania sobie wszystkiego i oszczędzania na dom, przyszło jej mieć kogoś tak nieprzystępnego jako sąsiada. Co za wspaniałe zbieg okoliczności. Niechętnie rzuciła wzrokiem na sąsiednie zabudowania. Dom był starszy niż pozostałe w okolicy, ale i znacznie większy. Pomyślała, że musiał być wzniesiony we wczesnych latach trzydziestych. Pewnie inne w tej okolicy też kiedyś wyglądały podobnie, ale potem zostały wyburzone, a na ich miejscu powstały nowoczesne dwupoziomowe zabudowania. Jego trzypiętrowiec był więc tu ostatnim reliktem dawno minionej epoki.

– Ma pan dzieci? – zapytał wciąż entuzjastycznie Jeff. – Tam, gdzie mieszkaliśmy do tej pory, było mnóstwo dzieci do zabawy. – Lubił te wspólne

zabawy i nowe znajomości, a teraz, kiedy miał rozpocząć naukę w nowej szkole, nabierało to szczególnego znaczenia.

Na krótko zapadła cisza i pan Camden dopiero po chwili, i to z pewną konsternacją, odpowiedział:

– Nie, nie mam dzieci.

W jego głosie Robin wyczuła pewną szorstkość i przez moment miała wrażenie, że to ból.

– A mógłbym się czasem pobawić z Blackiem? Do czasu, aż dostanę swojego psa?

– Nie – odrzekł mężczyzna stanowczym głosem, lecz po chwili, gdy na twarzy chłopca pojawił się bezgraniczny zawód, zdawał się żałować swojego szorstkiego tonu. – Nie chcę być niemiły, ale będzie lepiej, jak pozostaniesz na swojej posesji.

– Trudno – powiedział Jeff, spuszczać głowę. – Ale Blackie może przychodzić do nas, kiedy tylko zechce. Bardzo lubię psy.

Na twarzy mężczyzny pojawił się cień uśmiechu, ale gdy ponownie przeniósł wzrok na Robin, jego spojrzenie znowu było całkiem beznamienne. Czowała jednak, że zdążył ich już zaszufadkować w swojej głowie i wysnuć odpowiednie wnioski. Jeśli jednak sądził, że ją w ten sposób zastraszy czy onieśmieli, to miała dla niego raczej złe wieści. Jasno zrozumiała jego przekaz: nie chce zawracać sobie głowy ani nią, ani jej synem. Nie zamierzał też w związku z tym wchodzić im w drogę ani zaciągać jakichkolwiek zobowiązań. Skoro tego właśnie chciał, w porządku, choć to trochę przerażające. Nie miała jednak ani ochoty, ani czasu na jego fochy.

– Widzę – odparł ich nowy sąsiad, po czym odwrócił się na pięcie i bez słowa pomaszerował wraz z Blackiem do domu.

– Do widzenia, panie Camden – zawołał Jeff, unosząc do góry rękę.

Nie usłyszeli żadnej odpowiedzi, więc Robin, by odwrócić uwagę syna od nieprzychylności tego człowieka, powiedziała, udając wesołość:

– Ależ ja jestem głodna! A ty?

Mały kiwnął bez przekonania głową.

– Myślisz, że pozwoli mi czasem pobawić się z Blackiem?

Robin westchnęła w obliczu dylematu, z jakim przyszło się jej zmierzyć: nie chciała, żeby Cole ranił uczucia, jakimi Jeff obdarzył uroczego labradora, ale z drugiej strony zaprzyjaźniony pies w sąsiedztwie uśmierzyłby jej poczucie winy z powodu niedotrzymania obietnicy danej synowi. Z największą przyjemnością kupiłaby mu psa, ale na razie naprawdę nie mogła tego zrobić.

– No powiedz, co myślisz, chyba pozwoli mi czasem pobawić się z Blackiem?

– Nie wiem, skarbie, naprawdę nie wiem.

Tego popołudnia, po zrobieniu w sklepie spożywczym zakupów, które zapełniły puste półki w kuchni, Robin spojrzała na reszkę drobniaków na dnie portfela. Na szczęście wystarczy jej na bilety do pracy do końca tygodnia, pomyślała z ulgą, ale do następnej wypłaty za dwa tygodnie będą musieli zacisnąć pasa. Gdyby zaczekała z przeprowadzką jeszcze rok, z pewnością byłoby jej łatwiej, ale nadarzyła się wyjątkowo korzystna okazja, i uznała, że jeśli nie teraz, to nigdy.

– Mamo! – Przez tylne drzwi wbiegł do kuchni Jeff. Był zdyszany i bardzo przejęty. – Wygląda na to, że to jakaś fatalna pomyłka! – zawołał.

Chłopiec opadł ciężko na krzesło przy stole, oparł łokcie o blat i zwiesił głowę.

– Powiedz mi lepiej, co się stało.

Jeff westchnął ciężko.

– Obawiam się, że popełniliśmy straszny błąd...

– A to dlaczego?

– W sąsiedztwie są same dziewczyny – powiedział z desperacją w głosie. To zabrzmiało co najmniej tak, jak gdyby wylądowali na obszarze wroga.

– Przejechałem się na rowerze po całej okolicy i wszędzie widziałem tylko dziewczyny.

– Nie martw się, w szkole już w poniedziałek poznasz na pewno wielu chłopców.

– Mamo, ty nie mówisz chyba poważnie! Naprawdę nie rozumiesz, co to dla mnie znaczy? W okolicy jest sześć domów, a w nich same dziewczyny. Wygląda na to, że jestem tu jedynym chłopakiem. Otaczają mnie same kobiety! – rzucił z prawdziwą rozpaczą.

– Jak zdażyłeś się tego wszystkiego dowiedzieć? – zdziwiła się Robin.

– No jak to, zapytałem. I co my teraz z tym zrobimy?

– Czegoś tu chyba nie rozumiem... Czyżbyś miał na myśli, że powinniśmy wrócić z powrotem do starego mieszkania?

Jeff zamilkł na chwilę.

– Chyba naprawdę bym chciał, no, może gdyby nie dwie rzeczy... Bo po pierwsze, nie możemy tam mieć psa, a po drugie, znalazłem tu stary fort...

– Fort? Jaki fort?

– Tak, jest ukryty w ogrodzie pana Camdena, zasłaniają go krzaki, ale jest super, mówię ci! A pan Camden chyba nic o tym nie wie. Ale ktoś to przecież musiał wybudować i ja odkryję, kto to był. Może nawet powstało już jakieś stowarzyszenie wojowników. Też chcę do niego należeć i uważam, że mam do tego pełne prawo, bo w końcu mieszkam najbliżej pana Camdena.

– Oznacza to, że jednak będzie w porządku, jeśli tu zostaniemy?

– Chyba tak – powiedział Jeff, który najwyraźniej nagle zmienił zdanie. –

A przynajmniej do czasu, aż zgłębię tajemnicę fortu.

Robin chciała jeszcze coś powiedzieć, ale nagle rozległ się dzwonek u drzwi. Jeff przewrócił oczami.

– To pewnie jedna z tych dziewczyn – szepnął zde gustowany.

– Mam się jej pozbyć?

Chłopiec zdecydowanie pokiwał głową, a ona podeszła do drzwi, by je otworzyć. Jeff miał rację, w progu stała dziewczynka, która wydawała się być młodsza od jej syna. Jednak nie przyszła sama.

– Dzień dobry – powiedziała młoda kobieta, obdarzając Robin ciepłym uśmiechem. – Wiem, że dopiero co się pani wprowadziła, ale chciałam się przedstawić. Nazywam się Heather Lawrence, a to moja córka Kelly. Serdecznie witamy w naszej okolicy.

– Bardzo mi miło – ucieszyła się Robin i szerzej otworzyła drzwi, by zaprosić sąsiadkę do środka. Heather była urocza i pełna energii. Kiedy mówiła, jej ścięte na pazia włosy kołysały się na wszystkie strony. Robin od razu wiedziała, że ją polubi. To ciepłe powitanie było miłą odmianą po tym, jak ich potraktował Cole Camden.

– Napijiesz się kawy? – zapytała.

– Jeśli tylko nie przeszkadzam...

– Oczywiście, że nie przeszkadzasz – powiedziała Robin i zaprosiła Heather wraz z córeczką do środka.

Po chwili cała trójka weszła do kuchni, gdzie czekał Jeff. Syn posłał Robin krótkie, zabójcze spojrzenie za zdradę, jakiej się dopuściła, potem rzucił pod nosem jakąś uwagę na temat matek będących nastolatkami w przebraniu i opuścił towarzystwo. Robin nie przejęła się tym zbytnio, naląła do dwóch filiżanek kawę, a Kelly zaproponowała szklanekę soku.



– Przepraszam was za Jeffa – powiedziała, siadając naprzeciw nowej koleżanki. Czują, że powinna to zrobić. – Jest w tym wieku, kiedy chłopcy uważają, że kobiety to plaga społeczeństwa.

– Nie przejmuj się, Kelly też nie przepada za chłopakami.

– Są okropni, wolę już jeździć na rowerze, niż bawić się z chłopakiem, ale mama chciała, żebym z nią przysłała, żeby nie było, że jest wścibska, prawda?

Heather zarumieniła się i spojrzała karcąco na dziewczynkę.

– Ach – roześmiała się Robin – myślałam, że tygodniami będę poznawać moich nowych sąsiadów, a tu proszę, poznałam dwoje już pierwszego dnia.

– Więc ktoś już zdążył przede mną?

– Tak, miałam przyjemność poznać pana Camdena – powiedziała Robin, starając się ukryć niechęć. Wciąż jeszcze myślała o tym, jak nieuprzejmie ich potraktował.

– Jak to, był u was Cole Camden?

Wyglądało na to, że Heather jest zaskoczona.

– Szczerze mówiąc, chyba wolałby uniknąć tych odwiedzin, ale jego pies zaprzyjaźnił się z Jeffem i...

– Blackie? – Heather wprost nie posiadała się ze zdziwienia.

– Jest w tym coś dziwnego?

– Czy jest w tym coś dziwnego? – prychnęła nowa znajoma. – Oczywiście! Ilość słów, które wypowiedział do mnie ten człowiek przez ostatnie dwa lata, to jest odkąd tu mieszkamy, ja i Kelly, można by zliczyć na palcach u jednej ręki. – Potem zwróciła się do córki: – Jak chcesz, to biegnij do domu, tylko podziękuj za sok i pożegnaj się. – Mała z radością wykonała to polecenie i Heather po chwili ciągnęła dalej: – Naprawdę nie wiem, co on robi sam w tym wielkim domu... Wyobraź sobie tylko jego rachunki za ogrzewanie!

Chociaż osobiście nie sędzę, żeby pieniądze stanowiły dla niego jakikolwiek problem, ale tak naprawdę niewiele o nim wiem.

Robin nie zdziwiła informacja, że Cole żyje sam. Wprawdzie dopiero co go poznała, ale nie wyglądało na to, że wie dzie wyjątkowo radosne życie. Sprawiał wrażenie człowieka, w którego życiu brakuje miłości, ciepła i przyjaźni. Miała już wcześniej do czynienia z mało uprzejmymi facetami, ale w nim było coś, co ją szczególnie dotknęło, choć nie rozumiała, dlaczego wywoływał w niej tak silne emocje.

– Podobno był kiedyś żonaty, ale na długo przed tym, nim ja tu przyjechałam. On i jego pies są nierozłączni...

– Ach tak... – Robin przytakiwała, ale słuchała już tylko jednym uchem. Na samym początku ją onieśmielił, ale gdy zacisnęła zęby i spojrzała mu pewniej w twarz, trochę się jakby rozluźnił, a nawet, można powiedzieć, uśmiechnął. Ale gdy Jeff zadał mu pytanie, czy ma dzieci, w jego oczach dostrzegła ból. Uniosła wzrok i zobaczyła w drzwiach głowę Jeffa. Zajrzał do środka i gdy stwierdził, że nie ma Kelly, wszedł z rękami wetkniętymi do kieszeni.

– Macie psa? – zapytał jakby nigdy nic.

– Niestety, nie. Kelly ma alergię.

Kiwnął ze zrozumieniem głową, jakby chciał powiedzieć, że to typowe dla dziewczyn.

– A my niedługo będziemy mieli owczarka niemieckiego, prawda, mamó?

– Tak, już niedługo – odparła Robin z ciężkim sercem. Postanowiła, że po wyjściu sąsiadki powie synowi całą prawdę. Chciała mu kupić tego psa, ale muszą jeszcze trochę poczekać. Układała sobie w głowie, co mu powie, a nawet wymyśliła pewien kompromis. Mogli na początek kupić kota. Kotom nie

przeszkadzała samotność i nie trzeba z nimi wychodzić. Wprawdzie niekoniecznie zależało jej na tym, by mieć w domu kuwetę, ale ostatecznie mogła pójść na taki kompromis. A gdy już będzie mnie stać na zrobienie ogrodzenia, pomyślała z ulgą, wtedy kupimy psa. Wierzyła, że jeśli Jeffowi powie prawdę, zrozumie ją, przynajmniej taką miała nadzieję.

Heather Lawrence siedziała u niej jeszcze jakiś czas i Robin zdążyła się dowiedzieć, że jest rozwódką, przed południem pracuje na pół etatu w biurze, a po południu opiekuje się dziećmi, dzięki czemu spędza więcej czasu z córeczką. To były całkiem dobre wieści i Robin ustaliła ze swoją nową sąsiadką, że Jeff, zamiast do świetlicy przy domu kultury, będzie przychodził po szkole do niej. Taki układ był znacznie lepszy i nawet Jeff nie miał nic przeciwko. Miała ochotę podpytać jeszcze o Cole'a, ale jakoś już się nie złożyło, a nie chciała sprawić wrażenia, że wzbudził jej zainteresowanie.

Po wyjściu sąsiadki zebrała w sobie siły, by porozmawiać z synem na temat psa. Niestety, nie poszło zbyt gładko, bo po długich latach wyczekiwania kolejne miesiące zdawały się być nie do zaakceptowania.

– Obiecałaś mi! – krzyknął Jeff. – Powiedziałaś, że jak się przeprowadzimy, kupisz mi psa!

– I tak będzie, tylko nie od razu.

Do oczu chłopca napłynęły łzy, z którymi walczył jakiś czas. Lecz po chwili sama poczuła, że ma wilgotne oczy. Tak bardzo nie lubiła sprawiać mu zawodu. W obliczu jego rozpaczony kot wydał się marną rekompensatą. Po tej rozmowie wyszedł z domu, żeby ukoić nieco nerwy, a ona postanowiła ugotować mu jego ulubione danie: makaron z żółtym serem, parówkami i dużą ilością ketchupu. W pół godziny później, gdy chciała go zawołać do domu na obiad, nigdzie go nie było. Stała na werandzie i zaczęła się zastanawiać, dokąd mógł pójść. Rower był w garażu, Jeff na pewno też nie bawił się z

dziewczynkami z okolicy. Może więc, przygnębiony całą tą nową sytuacją, położył się spać w swoim pokoju? Robin pobiegła na piętro, ale łóżko było zasłane, a ubrania wisiały w szafie nieruszone. Zaczęła się uspokajać, że za dzień lub dwa wszystko wróci do normy. Wtedy dostrzegła list, który zostawił na biurku, i po przeczytaniu pierwszej linijki wpadła w panikę.

*Kochana mamo!*

*Złamałaś swoją obietnicę. Obiecałaś, że będę miał psa, a teraz mówisz, że znowu muszę poczekać. Jeżeli nie mogę mieć psa, nie chcę już z tobą mieszkać. Zegnaj na zawsze.*

*Twój kochający Jeff*

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przez chwilę Robin była w takim szoku, że nie mogła się nawet poruszyć. Tylko serce waliło jej jak młotem i zdawało się zagłuszać wszystkie myśli. Potem zbiegła na dół, wyszła na taras, przyłożyła ręce do ust i krzyknęła z całych sił:

– Jeff! Synku! Jeffy!

Na podwórku obok zobaczyła Cole'a Camdena. Wydał z siebie właśnie długi przeciągły gwizd i zastygł w oczekiwaniu. A gdy nic się nie wydarzyło, zawołał poirytowany:

– Blackie!

– Jeff! – krzyknęła raz jeszcze.

– Blackie!

– Jeff – spróbowała ponownie Robin, ale załamał się jej głos i ogarnęła ją straszna panika. Zakryła dłonią usta, żeby nie wybuchnąć niepohamowanym szlochem. Wiedziała, że musi zachować zimną krew.

– Blackie! – rozległ się rozeźlony głos Cole'a. Był wyraźnie wściekły, że pies go nie słucha.

I nagle Robin połączyła w głowie fakty, które niczym puzzle poukładały się niespodziewanie w wyrazisty obrazek.

– Panie Cole! – zawołała, biegnąc co tchu w jego stronę przez ogród. – Wydaje mi się – zaczęła, łapiąc oddech – że Jeff uciekł z domu razem z Blackiem.

Sąsiad spojrział na nią, jakby postradała zmysły, ale czy mogła mu się dziwić?

– Zostawił mi list – wyjaśniła drżącym głosem. – Od zawsze bardzo chciał mieć psa, i obiecałam mu, że jak tylko się przeprowadzimy, spełnię jego

marzenie, ale na razie po prostu nie mogę tego zrobić. Gdy się o tym dowiedział, był tak bardzo zawiedziony, że uciekł, a przedtem napisał ten list.

– Jakby na dowód, wyciągnęła przed siebie kartkę, którą trzymała w ręce.

– Przecież to niedorzeczne – Cole zacisnął usta – nawet gdyby Jeff uciekł, Blackie nigdy by z nim nie poszedł.

– Więc uważa pan, że sobie to tak po prostu wymyśliłam? Jestem więcej niż pewna, że stracił pan psa z oczu jakieś pół godziny temu.

Cole spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

– Więc gdzie oni mogą być?

– Sądzi pan, że gdybym to wiedziała, stałabym tutaj i dyskutowała z tobą?

– Słuchaj no, paniusiu, nie znam twojego syna, ale znam swojego psa i...

– Nie jestem żadną paniusią! – przerwała mu i zacisnęła pięści.

Popatrzył na nią jak na psychopatkę, która uciekła ze szpitala psychiatrycznego. Wiedziała, że tak to mogło wyglądać, bo gdy chodziło o bezpieczeństwo jej syna, nie obchodziły jej żadne normy i konwenanse.

– Widzę, że niepotrzebnie pana niepokoiłam, jak znajdę Jeffa, dopilnuję, by pana pies wrócił do domu.

Sąsiad rzucił jej jeszcze gniewne spojrzenie, ale zignorowała to. Weszła do domu i nagle stanęła jak wryta. Odwróciła się i krzyknęła:

– Fort!

– Jaki fort? – usłyszała w odpowiedzi.

– Ten na tyłach ogrodu, przysłonięty zaroślami. Jeff go dzisiaj odkrył. To jedyne miejsce, w którym mógł się schować, idealna kryjówka.

– Nikt tam nie zaglądał od wielu lat – rzucił lekceważąco Cole.

– Ale sprawdzić chyba możemy, prawda, czy to dla pana za duża fatyga?



– Możemy – przytaknął niechętnie i ruszył przez ogród w stronę piwniczki.

Na tyłach posiadłości, która była nieporównanie większa od ich ogrodu, znajdował się mały dębowy zagajnik, a za nim wysoki płot. W najbardziej ukrytym miejscu Robin dostrzegła niewielkie drewniane wejście doskonale zlewające się z tłem. Gdyby dotarła tu sama w poszukiwaniu tej kryjówki, nigdy by jej nie dostrzegła. Podeszli bliżej i po chwili stało się jasne, że ktoś tam przed nimi był. Cole kucnął i zajrzał do środka, potem się odwrócił i kiwnął na nią, wyraźnie zirytowany przebiegiem zdarzeń. Przecisnął się przez wąskie wejście, a ona podążyła za nim. Tak jak sądziła, Jeff i Blackie siedzieli przytuleni w kącie. Jeff spał, a pies, zwinięty w kłębek, leżał u jego stóp. Gdy ujrzał swojego pana i Robin, wstał i zaczął merdać ogonem na powitanie. Piwniczka była niewiele większa od namiotu skonstruowanego przez Jeffa, trzeba się więc było porządnie skulić, żeby się nie pobrudzić. Nagle chłopiec poruszył się niespokojnie, otworzył oczy i po chwili zrozumiał, że dokonano inwazji na jego kryjówkę. Lekko nieprzytomnym wzrokiem spojrzał na Robin, a potem na Cole'a.

– Cześć, mamó – powiedział trochę zmieszany. – Jesteś na mnie zła?

Była naprawdę uszczęśliwiona, że go tak szybko znalazła, więc tylko pokręciła głową. Gdyby powiedziała teraz choćby słowo, z pewnością załamałby się jej głos. Wolą unikać niepotrzebnego zakłopotania.

– A więc – zaczął poważnie Cole – chciałeś uciec z domu, tak? Widzę, że zabrałeś ze sobą wszystko, co potrzebne, żeby przetrwać. – Spojrzał wymownie na patelnię i atlas. – Ciekaw jestem, jak ci się udało namówić Blackiego, żeby poszedł z tobą.

– Sam za mną pobiegł – wymamrotał Jeff, unikając wzroku Cole'a. – Nie chciałem go porywać, wiem przecież, że to nie mój pies.

– To naprawdę miło z twojej strony.

– Zabrałeś tylko patelnię i atlas? – zdziwiła się Robin, ale zarówno Jeff, jak i Cole zignorowali to pytanie.

– Chyba nie chciałeś tu zamieszkać? – zapytał Cole.

Jeff energicznie potrząsnął głową.

– Ale mama powiedziała, że jak się przeprowadzimy, będę mógł mieć psa, a teraz nie mogę... Złamała obietnicę, facet by nigdy tego nie zrobił. A do tego są tu same dziewczyny! Gdybym miał psa, dałoby się to jakoś znieść, ale tak... – Zrezygnowany spuścił głowę.

– A dlaczego nie możesz mieć teraz psa? – dopytywał Cole.

– Wszystko przez ten głupi płot...

– Głupi płot? Nie wiedziałem, że płot może być głupi. Mama martwiła się o ciebie – powiedział z lekkim wyrzutem i spojrzał na Robin, która miała oczy pełne łez.

To całe zamieszanie związane z przeprowadzką naprawdę ją wykończyło. Zawsze była raczej opanowana, ale teraz strach o Jeffa kompletnie wytrącił ją z równowagi. A do tego ta noc spędzona w namiocie też dała się jej we znaki.

– Mamo... – Jeff przyjrzał się Robin – źle się czujesz?

Robin ukryła twarz w dłoniach.

– Nie rozumiem, jak mogłeś to zrobić... Wzięłeś patelnię i atlas i tak po prostu uciekłeś z domu. – Nie była w stanie dłużej powstrzymać łez. Wiedziała, że jej słowa były chaotyczne i nie miały większego sensu, ale co miała na to poradzić.

– Mamo, przepraszam, nie chciałem, żebyś płakała.

– Wiem, że marzysz o psie – chlupała Robin. – Też bym chciała, żebyś miał psa, ale nie możemy go trzymać całymi dniami w zamkniętym domu. Nie

mamy jeszcze ogrodzenia, tłumaczyłam ci przecież, a na dodatek tak bardzo przypominasz mi Lenny'ego...

– Kto to taki Lenny? – wtrącił Cole.

– Lenny to mój tata – wyjaśnił chłopiec. – Umarł, kiedy byłem mały. Nawet go nie pamiętam.

Cole nieoczekiwanie spojrział na chłopca ze zrozumieniem.

– Chodź, odprowadzimy mamę do domu.

– Uważacie, że jestem histeryczką, prawda? – wybuchnęła Robin. – A więc zapamiętajcie sobie obaj, że się kontroluję, a kobieta może czasami popłakać i to jest normalne i zdrowe. Piszą o tym we wszystkich mądrych książkach.

– Tak, mamó. – Jeff przytulił się do niej, potem jako pierwszy wygramolił się na zewnątrz, zaczekał, aż wyjdzie, i podał jej rękę. Zaraz za nią pojawił się Cole z Blackiem. – Chodź – powiedział Jeff, ciągle trzymając ją za rękę – zaprowadzę cię do domu.

Weszli tylnym wejściem i Robin najpierw wydmuchała nos, a potem podziękowała najuprzejmiej jak mogła Cole'owi, tłumacząc swój wybuch bólem głowy.

– Macie w domu aspirynę? – zwrócił się Cole do Jeffa.

Ten kiwnął tylko głową i po chwili zbiegał już z góry z fiolką w ręku.

Cole napełnił szklanek wodą i wraz z fiolką podał ją Robin.

– Może powinna się pani na chwilę położyć?

– Dziękuję, nic mi nie jest. – Była zła na siebie, że tak jej puściły nerwy, i na niego, za tę jego nagłą troskę.

– Macie tu jakąś rodzinę? – Cole ponownie zwrócił się do Jeffa.

Tylko jeszcze bardziej ją tym wkurzył. Jeff miał dopiero dziesięć lat w odróżnieniu od niej – osoby dorosłej. Czy przypadkiem więc nie do niej powinien kierować tego typu pytania?

– Już nie – odparł cicho Jeff. – W zeszłym roku babcia z dziadkiem przeprowadzili się do Arizony, a wujek mieszka w L.A.

– Nic mi nie jest – powtórzyła – nie muszę się kłisać.

– Pan Camden ma rację, nie wyglądasz dobrze, chyba powinnaś odpocząć, mamo.

Jej własny syn zdrajcą! Robin była w szoku, także wtedy, gdy Jeff podszedł do niej, wziął ją za rękę i zaprowadził do salonu. Potem posadził na sofie i przyniósł poduszkę i koc.

– Połóż się, proszę cię.

Gdy wciąż nie reagowała, otulił ją kocem i ponownie zachęcił, żeby chwilę odpoczęła. Nie miała pojęcia, dlaczego pozwalała się traktować jak małe dziecko. A na dodatek Blackie, jakby chciał poprzeć Jeffa, podszedł do niej, polizał po ręce i położył się obok sofy. Nie miała wyjścia, musiała się poddać.

– Fajną ma pan tę skrytkę w ogrodzie – dobiegły ją z kuchni słowa syna. Słyszała, jak sięga po talerze, a następnie nakłada jeszcze gorące danie. – To dla pana – usłyszała po chwili. Więc chciał się z nim podzielić swoim ulubionym daniem, jak z najlepszym przyjacielem.

– Dzięki, Jeff, ale muszę wracać do domu. A na przyszłość, jak będziesz chciał uciec, dobrze się najpierw zastanów.

– Chyba ma pan rację – odparł, a w jego głosie słychać było zakłopotanie.

– Twoją mamę zmieniło to w kłębek nerwów.

Robin, która widziała Cole'a kątem oka w drzwiach, dostrzegła na jego twarzy coś, co przypominało uśmiech.

– Dasz radę, mama naprawdę chce, żebyś miał swojego psa, tylko musisz wykazać jeszcze trochę cierpliwości, a stanie się to z pewnością szybciej, niż myślisz.

Jeff kiwnął głową i odprowadził Cole'a do drzwi. Stali teraz tak, że mogła ich obserwować.

– Panie Camden, mogę o coś ważnego zapytać?

– Pewnie.

– Czy ktoś korzysta z tej kryjówki?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Wydaje mi się, że dawno już tam nikt nie zaglądał – ciągnął dalej Jeff.

– Od sześciu lat – wycedził Cole.

– To długo. A dlaczego? To doskonałe miejsce i chętnie bym się tam czasem pobawił. Obiecuję, że nie podepczę rabat i nie zostawię po sobie bałaganu.

Cole zawahał się, a Robin wstrzymała oddech. W końcu jednak pokręcił głową.

– Może za jakiś czas, ale jeszcze nie teraz.

Ku jej zdziwieniu spojrzenie Jeffa rozjaśniło się, jakby ta odmowa nie była wcale odmową.

– Dobrze, a czy będę mógł zabierać tam ze sobą Blackiego? Dziś sam za mną poszedł, nawet nie miałem go czym zwabić. No, prawie... – dodał po chwili i spuścił wzrok.

– Twoja mama mówiła, że masz dobrą rękę do zwierząt.

– Tak jak mój tata, gdyby nie umarł, kupiłby mi kucyka.

Głos syna był przepełniony taką dumą, że Robin musiała przygryźć dolną wargę, by znów nie wybuchnąć płaczem. Jeff i Lenny byli tacy do siebie podobni. To, co mu wcześniej powiedziała, było prawdą, coraz bardziej przypominał swojego ojca i to nie tylko wyglądem, lecz również charakterem.

Cole spojrział na Jeffa, ale tak jakoś inaczej, jakby z uczuciem. Robin dokładnie to widziała i choć było to krótkie i przelotne spojrzenie i nie była w stanie go zaszufładować, intuicja podpowiadała jej, że coś się za tym kryje. Po chwili Cole położył Jeffowi rękę na ramieniu i powiedział:

– Twoja mama mówi, że trochę jeszcze będziesz musiał poczekać na własnego psa, dlatego nie mam nic przeciwko, żebyś sobie czasem pożyczył Blackiego. Ale będziesz musiał pozostać w ogrodzie, bo nie chcę, żeby biegał bez smyczy po okolicy.

– Naprawdę? Bardzo dziękuję! Zrobię wszystko, tak jak pan powie.

Robin była więcej niż pewna, że Jeff naprawdę zrobi wszystko, żeby tylko móc się pobawić z Blackiem. Wprawdzie nie był to jego własny pies, ale zdążył już się z nim zaprzyjaźnić.

Gdy Cole wyszedł, Jeff przybiegł do pokoju i usiadł obok Robin na sofie.

– Przepraszam, mamo – powiedział ze skruchą. – Obiecuję, że już nigdy więcej nie ucieknę.

– Mam nadzieję – westchnęła Robin i mocno go przytuliła, a potem pocałowała w policzek.

Chłopiec wytarł policzek w miejscu, w którym dostał buziaka.

– Nie przepraszałbym cię, gdybym wiedział, że będziesz mnie całować.

Minał tydzień. Jeffowi podobało się w nowej szkole i tak jak Robin przewidywała, w jego klasie byli zarówno chłopcy, jak i dziewczęta. Mniej więcej po połowie. Był bardzo towarzyski, szybko więc nawiązał nowe znajomości. W niedzielę po południu, gdy siedziała w salonie i czytała gazetę,



wszedł z niezbyt niewyraźną miną. Zdjął swoją czapkę z daszkiem i usiadł na krześle.

– Coś cię gnębi? – zapytała i odłożyła gazetę.

– Wiedziałaś, że pan Camden miał żonę?

– Coś słyszałam, ale żadnych szczegółów. – Heather wspomniała o tym na pierwszym spotkaniu, ale potem, kiedy Robin wpadała do niej odebrać Jeffa, nie było już okazji, żeby porozmawiać na ten temat. Swoją drogą sąsiadka wspaniale się nim opiekowała. Cole'a nie widziała od tamtego zdarzenia ani razu, ale po tym, jak pozwolił bawić się jej synkowi z Blackiem, zmieniła o nim zdanie. Zachował się naprawdę bardzo przyzwoicie, a to, że lubił swoją prywatność, nie powinno nikomu przeszkadzać. Nie chciała mu się narzucać, bo wciąż jeszcze miała w pamięci ich pierwsze spotkanie, choć dziś już była skłonna przymknąć na to oko.

– Miał też syna... – odezwał się po krótkim milczeniu Jeff – ale umarł.

Robin aż podskoczyła. Ten ból, który dostrzegła na twarzy Camdena, gdy Jeff zapytał o dzieci, miał teraz głęboki sens. Nagle wszystko stało się jasne, w jednej chwili zrozumiała, dlaczego nie przepadał za kontaktem z dziećmi. No i ta zapomniana kryjówka w jego ogrodzie... Pewnie swego czasu przesiadywał w niej jego syn.

– Skąd to wiesz?

– Od Jimmy'ego Wallacha, mieszka dwie ulice stąd i ma starszego brata, który bawił się dawniej z Bobbym Camdenem.

– To straszne – powiedziała ze smutkiem. Nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez Jeffa i już sama myśl o tym rozdzierała jej serce.

– Pani Wallach usłyszała, jak Jimmy opowiadał mi o Bobbym, i wyjaśniła, że najpierw pan Camden się rozwiódł, a w rok później stracił syna.

Powiedziała, że to było naprawdę straszne i że pan Camden już nigdy potem nie był taki jak kiedyś.

Robin natychmiast pożałowała wszystkich swoich nieżyczliwych myśli, jakie przyszły jej do głowy na temat Cole'a.

– Smutno mi – szepnął Jeff.

Jeszcze chyba nigdy nie widziała u syna tak poważnej miny.

– Mnie również – odparła łagodnie.

– Pan Camden powiedział, że mogę się czasem pobawić w kryjówce Bobby'ego, a od śmierci syna nie wpuszczał żadnych dzieci do ogrodu i podobno już nawet nie rozmawia z nikim z sąsiedztwa.

– To samo powiedziała mi pani Lawrence, tylko nie wyjaśniła przyczyny. Może sama zresztą nie wie... – Robin się zamyśliła.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Mówiłaś, że zrobisz hamburgery?

– Jasne – odparła, zdziwiona tą nagłą zmianą tematu. Na liście ulubionych potraw Jeffa hamburgery były zaraz po makaronie z serem.

– A mogę zaprosić pana Camdena, żeby z nami zjadł?

Milczała dłuższą chwilę, bo nie wiedziała, co ma mu odpowiedzieć. Nie znała dobrze swojego sąsiada, ale wiedziała, że nie jest zbyt chętny, by nawiązywać nowe kontakty. Co więcej, obawiała się, że Jeff wypali z jakimiś pytaniami na temat jego syna i niepotrzebnie go zrani.

– Mamo – nalegał Jeff – na pewno nikt inny go nie zaprasza i ciągle jest sam.

– Nie wiem, kochanie, czy to dobry pomysł.

– Ale był dla mnie taki miły, dwa razy mi pozwolił bawić się ze swoim psem, jesteśmy mu to winni.

– Chyba nawet nie ma go w domu – powiedziała, zerkając przez okno. Nie rozmawiała z nim przez cały tydzień i nie była pewna, czy ma na to ochotę. Jeszcze sobie niepotrzebnie pomyśli, że wpadł jej w oko.

– To ja zobaczę, czy jest w domu, dobra? – zawołał Jeff.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, już go nie było. Wrócił, zdyszany, dosłownie po paru chwilach.

– Pan Camden jest w domu i mówi, że bardzo docenia zaproszenie, ale ma na dzisiejszy wieczór inne plany.

– A to szkoda – powiedziała Robin w nadziei, że zabrzmiało to szczerze.

– Powiedziałem mu, że mamy na deser ciasto truskawkowe, a on na to, że to jego ulubione.

– Aha... – pokiwała głową, ale poczuła ulgę, że Cole się nie zjawi. Przyprawiał ją o dziwne rozedrganie i niepewność. Nie miała pojęcia, dlaczego tak jest, bo było to całkiem nowe i nieznane dotąd uczucie.

– Dziękuję, mamo...

– Ale za co? – Robin uniosła wzrok znad gazety. Od pięciu minut wpatrywała się w zadrukowaną stronę, ale nie przeczytała ani słowa. Myślami była wciąż przy sąsiedzie.

– Za to, że mogłem zanieść panu Camdenowi kawałek ciasta z truskawkami.

– Że niby ja to powiedziałam?

Jeff przewrócił oczami.

– No przed chwilą... – Podeszedł do niej i przyłożył jej rękę do czoła. – Chyba nie masz gorączki? Przy zapaleniu opon mózgowych nigdy nic nie wiadomo.

Robin szturchnęła synka w bok, a on wybiegł roześmiany na zewnątrz, gdzie stał jego rower. Minęło zaledwie pół godziny, gdy Jeff wbiegł z powrotem do domu.

– Mamo, mamo! – krzyknął od drzwi. – Wiedziałaś, że pan Camden jeździ czarnym porsche?

– Wiedziałam – powiedziała ze spokojem, bo nie miało to dla niej najmniejszego znaczenia. Zresztą nie znała się zbytnio na sportowych samochodach, więc nie było powodu, by się tym podniecać.

Jeff otworzył w kuchni dolną szufladę i tak długo w niej grzebał, aż znalazł to, czego szukał. Był to duży kawałek flaneli, fragment jego starej pizamy. Potem wybiegł na podwórko.

– Ma też jeszcze drugi samochód, SUV-a – zawołał, zbiegając ze schodów.

– A ty dokąd znowu, młody człowieku?

– Pan Camden woskuje swój samochód, a ja mu pomogę.

– A poprosił cię o to?

– Nie, skąd – powiedział Jeff niecierpliwie.

– To może wcale nie chce, żebyś mu pomagał.

– Mamo... – Jeff znowu przewrócił oczami. – To mogę już iść?

– Sama nie wiem, chyba tak – zgodziła się, choć niezbyt chętnie. Patrzyła przez okno, jak Jeff ogromnymi susami przemierza trawnik i wpada na podjazd sąsiedniej posesji, gdzie Cole nakładał wosk na lśniącą karoserię swojego porsche. Chłopiec bez słowa zaczął polerować rozsmarowany wosk szmatką, którą ścisnął w ręce. W pierwszym odruchu Cole wyprostował się, wyraźnie zaskoczony obecnością małego sąsiada. Robin zagryzła dolną wargę, spodziewając się niezbyt miłej reakcji z jego strony. Coś mu musiał powiedzieć, bo Jeff kiwnął głową, odszedł na bok i usiadł na trawie, ale

rozmawiali dalej. Wróciła do kuchni, rozmyślając nad tym, co takiego powiedział Cole jej synkowi. Była pewna, że podziękował mu za pomoc w pielęgnacji samochodu, ale i tak ładnie z jego strony, że go nie odesłał do domu. Gdy znowu wyjrzała przez okno, Jeff stał obok Cole'a, a ten tłumaczył mu, jak należy polerować samochód. Wykonywał przy tym duże okrężne ruchy, a potem odsunął się, by dać pole do popisu Jeffowi. Mały ochoczo zabrał się do pracy. Cole uśmiechnął się, pogładził go po głowie i przeszedł na drugą stronę samochodu.

Robin wróciła do kuchni i dokończyła sałatkę, a potem wyszła na zewnątrz.

– Śliczny jest, prawda? – zawołał do niej Jeff i pomachał entuzjastycznie.

– Tak, piękny – kiwnęła z uznaniem głową, choć wciąż był to dla niej tylko samochód.

– Dzień dobry, panie Cole!

– Witam – odparł jakby trochę roztargniony.

Miał na sobie szarą koszulkę bez rękawów i Robin trudno było oderwać wzrok od zaskakująco umięśnionych i opalonych ramion. Ostatnio dowiedziała się od Heather Lawrence, że jest wziętym adwokatem. Gdyby miała go oceniać po ich pierwszym starciu, bardzo by jej pasował do wyobrażenia o prawniku, ale teraz już nie; teraz po chłodnym prawniku nie pozostał nawet ślad. W zamian za to stał przed nią intrygujący mężczyzna i to w całej swojej krasie. Jego męskość i atrakcyjność uderzyły ją z zadziwiającą intensywnością. Szkopuł w tym, że chyba nigdy by nie podejrzewała go o to, że pod koszulą skrywa taką przyjemną niespodziankę. Na szczęście nie obnosił się już z tym agresywnym i nieuprzejmym wyrazem twarzy, gdy rozmawiał z Jeffem. Nagle poczuła pod ręką gładką sierść Blackiego, który przycupnął obok niej i oparł łeb o jej nogę. Potarmosiła go za uchem, wciąż zafascynowana swoim

niespodziewanym odkryciem. Cole włosy miał dosyć długie i co chwila jeden z niesfornych kosmyków opadał mu na oczy. Odgarniał go nieco zniecierpliwionym ruchem i pracował dalej. Nagle odchylił głowę i roześmiał się głośno w odpowiedzi na to, co powiedział Jeff. Po raz pierwszy widziała go, jak się śmieje. Podejrzewała, że niezbyt często poddawał się takiemu impulsowi. Gdy Jeff po chwili wybuchnął radosnym chichotem, Robin również się roześmiała. I wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego: nagle poczuła tak silne poruszenie, że była bliska łez.

– Chcesz, żebym ci pomógł wystawić grill? – zawołał Jeff, widząc, że wciąż stoi na werandzie.

– Nie, jeszcze nie trzeba – odkrzyknęła, patrząc z podziwem na syna, z jakim zacięciem poleruje karoserię.

– To dobrze, bo musimy jeszcze dokończyć tę stronę, a mamy raczej mało czasu, bo pan Cole jedzie na piątą na spotkanie.

Robin spojrzała po sobie. Z tą ścierką w ręku utyłaną w musztardzie, i w starych dżinsach nie wyglądała zbyt pociągająco.

– Dobrze, jak skończysz, to przyjdź.

A więc Cole Camden ma randkę, pomyślała z zadumą. Oczywiście, jakże by miało być inaczej. Tylko co ją to mogło obchodzić? Lepiej będzie wrócić do domu, pomyślała, tym bardziej że obserwowanie, z jakim entuzjazmem Jeff pracuje razem z Cole'em, wywołało w jej sercu i w głowie dziwne zamieszanie.

Przy obiedzie jedyny temat, o którym Jeff był w stanie rozmawiać, to Cole Camden. Cole to i Cole tamto, aż miała ochotę uderzyć pięścią w stół i poprosić go, żeby nie wymieniał więcej imienia ich sąsiada.

– A najlepsze ze wszystkiego jest to – powiedział Jeff z nieskrywaną euforią – że mi jeszcze zapłaci za wykonaną pracę. – Odgryzł duży kawałek hamburgera i przeżuwał go z wyraźną przyjemnością.

– To naprawdę miło z jego strony.

– No i pamiętaj, żeby zostawić dla niego trochę ciasta. Powiedział, żebym nie przynosił, bo nie wie, kiedy wróci. A na koniec dodał, że sam wpadnie.

– W porządku – powiedziała Robin, choć bardzo wątpiła w to, że Cole rzeczywiście zdecydowałby się do nich wpaść.

Natomiast Jeff zachowywał się tak, jakby spodziewał się go w każdej chwili. Ale ona wiedziała swoje, skoro wybrał się na randkę, to z pewnością nie zamierzał się tu pojawiać tylko po to, by spróbować ciasta jej produkcji, nawet gdyby wiedział, że jest przepyszne. Tak jak się spodziewała, Cole nie wpadł i Jeff marudził jeszcze następnego ranka, że gdyby nie musiał iść o zwykłej porze spać, na pewno wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Nie martw się, niedługo znowu upiekę ciasto – obiecała, pakując Jeffowi lunch do szkoły – a wtedy będziesz mógł mu kawałek zanieść.

– No dobra, niech będzie – wymamrotał Jeff.

Tego wieczoru, gdy wróciła z pracy, zastała Jeffa i Blackiego bawiących się w ogrodzie Cole'a.

– Jeff! – krzyknęła przestraszona, że sąsiad może zastać jej syna na swojej posiadłości. Jasno dał przecieź do zrozumienia, że nie życzy sobie, by bawił się w jego ogrodzie. – Co ty tam robisz? – spytała. – Dlaczego nie jesteś u pani Heather? – Niezadowolona podeszła do płotu i wsparła dłonie na biodrach.

– Musiałem pomóc Blackiemu, bo zaplątał się w łańcuch – wyjaśnił z zakłopotaniem Jeff. – Powiedziałem pani Lawrence, że na pewno byś się zgodziła.

– Ale chyba już dawno się wyplątał? – powiedziała z irytacją Robin.

– No tak, ale jak już tu przyszedłem, to pomyślałem...



– Że się pobawisz z Blackiem – dokończyła Robin.

– Właśnie. – Jeff pokiwał z entuzjazmem głową. Dobrze wiedział, że postąpił źle, ale trudno mu było się do tego przyznać.

– Pan Camden nie życzy sobie, żebyś tu przychodził, i oboje o tym wiemy.

Nagle furka do ogrodu otworzyła się i ukazał się Cole. Blackie zaczął szczekać radośnie na powitanie i tak skakać, że mało brakowało, a przewróciłby swojego pana. Po chwili, gdy Cole zauważył Jeffa, posłał Robin oskarżycielskie spojrzenie.

– Jeff twierdzi, że Blackie zaplątał się w łańcuch – pospieszyła z wyjaśnieniem.

– Jak się tu dostałeś? – zapytał, patrząc na chłopca. I choć nie podniósł głosu, było całkowicie oczywiste, że jest zirytowany. – Brama jest zamknięta, a płot za wysoki, by tak po prostu go przeskoczyć.

Jeff wbił wzrok w ziemię.

– Przeszedłem przez dziurę w płocie, tę samą, której używa Blackie.

– Jesteś pewien, że Blackie zaplątał się w łańcuch?

– Nie, proszę pana – odparł cicho – a przynajmniej nie tak bardzo. Myślałem, że może potrzebuje towarzystwa. Był całkiem sam, tak jak ja. – Podniósł wzrok i spojrzał na mamę, jakby na nią chciał zwalić winę. – Po szkole chodzę do pani Lawrence, ale tam są same dziewczyny – dodał jeszcze na swoje usprawiedliwienie.

– A nie pamiętasz, co ci mówiłem na temat wchodzenia na moją posesję?

Jeff kiwnął głową.

– Pamiętam, że może kiedyś... Ale pomyślałem, że teraz, kiedy mogłem panu pomóc w polerowaniu samochodu i kiedy się zaprzyjaźniliśmy, nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jak tu przyjdę.

– To się więcej nie powtórzy – odezwała się Robin – prawda, Jeff?

– Tak – mruknął chłopiec pod nosem. – Bardzo pana przepraszam.

Przez cały następny tydzień Jeff dotrzymał słowa, jednak już w następny poniedziałek, gdy Robin wróciła z pracy, Heather oznajmiła, że jej syn zniknął w tajemniczy sposób jakieś pół godziny temu. Była pewna, że poszedł do domu, bo mówił, że czeka na telefon. Robin dobrze wiedziała, gdzie go szukać, i tym miejscem nie był ich dom. Ku jej przerażeniu Cole właśnie podjeżdżał pod dom swoim luksusowym wozem. Rzuciła więc na stół torebkę i przebiegła przez ogród. Nigdzie nie było jej syna, ani jego, ani psa. Tylko ulubiona czapka Jeffa leżała na trawie.

– Jeff – zawołała, nie podnosząc zanadto głosu, ale odpowiedziało jej tylko ciche świergotanie ptaków. Spróbowała raz jeszcze trochę głośniejsze, modląc się, żeby nie usłyszał jej Cole, ale znowu bez skutku. Teraz już była pewna, że Jeff razem z Blackiem siedzą w kryjówce. Jedyne marzenie, jakie miała, to dotrzeć tam przed sąsiadem i czym prędzej zabrać syna do domu. Dziura w płocie nie była zbyt duża i tylko z trudem udało się jej przez nią przecisnąć. Musiała się w tym celu mocno przygarbić. Gdy znalazła się wreszcie po drugiej stronie, dostrzegła przed sobą parę lśniących męskich butów. Powoli i niechętnie podniosła się do góry pod ostrzałem podejrzliwego spojrzenia.

– O, cześć – powiedziała, jak gdyby fakt, że przeciska się do jego ogrodu przez dziurę w płocie, był najbardziej oczywistą rzeczą na świecie. – Pewnie zastanawia się pan, co ja tutaj robię...

– Owszem, nie będę ukrywał, że przyszło mi do głowy takie pytanie.

## ROZDZIAŁ TRZECI

– To był najbardziej upokarzający moment w całym moim życiu – Robin powtórzyła dobitnie po raz trzeci, po czym oparła łokcie na kuchennym stole i ukryła twarz w dłoniach, by po chwili się rozplakać.

– Już to mówiłaś – burknął Jeff.

– Więc co cię podkusiło – zachlipała – by znowu iść do ogrodu pana Camdena? Tyle razy ci mówiłam, żebyś tam nie chodził! I co ja mam teraz zrobić? Oddzielić nasze ogrody drutem kolczastym?

Jeffowi naprawdę było głupio.

– No przecież już cię przeprosiłem – powiedział, bawiąc się swoją czapką z daszkiem.

Ale czy to mogło stanowić dla niej jakieś pocieszenie wobec takiego poniżenia? W końcu Cole przyłapał ją, jak przeciskała się przez dziurę w płocie na teren jego posesji. Była pewna, że już nigdy nie zapomni jego wyrazu twarzy.

– Dostałem już przecież przedtem szlaban na telewizję, komputer i telefon – przypomniał jej Jeff.

– Ja też coś muszę robić...

Jakie błędy popełniła, że Jeff stwarzał takie problemy wychowawcze? W takich chwilach bardzo żałowała, że nie ma przy niej Lenny'ego. Potrzebowała go i wciąż za nim tęskniła. Czasem przyłapywała się na tym, że rozmawia z nim w myślach. Zastanawiała się, co on by zrobił w takiej czy innej sytuacji. Może rzeczywiście jej syn miał rację – blokując mu dostęp do telewizji, komputera i telefonu, sama popchnęła go w stronę Blackiego. Musiał się przecież czymś zająć.

– Wciąż zapominasz, że Blackie jest psem pana Camdena.

– Wiem o tym, ale mnie lubi i zawsze się cieszy na mój widok. A ponieważ nie ma tu nigdzie żadnego chłopaka – tu spojrzął na nią z wyrzutem – naprawdę zaprzyjaźniłem się z Blackiem.

– To świetnie, ale nie należy do ciebie.

– No wiem i żałuję. – Jakby na znak zgody podszedł do szafki, wyjął dwa talerze i ustawił je na stole.

Po kolacji, gdy zmywała, rozległ się dzwonek do drzwi. Jeff natychmiast pobiegł, żeby otworzyć, i po chwili wszedł do kuchni z Cole'em Camdenem. Była to ostatnia osoba, jakiej Robin się spodziewała, i ostatnia osoba, jaką miała ochotę oglądać.

– Mamo, to pan Camden – zaanonsował Jeff.

– Witam – powiedziała, siląc się na uprzejmość.

– Napije się pan kawy?

– Nie, dziękuję. Przyszedłem, żeby porozmawiać z wami na temat...

– Proszę raz jeszcze wybaczyć nam to zajście

– weszła mu w słowo. – Odbyłam z Jeffem długą i poważną rozmowę.

Chciałam przy okazji dodać, że doskonale rozumiem pana irytację. I tak jest pan bardzo wyrozumiały wobec niego, ale chcę zapewnić, że to się więcej nie powtórzy.

– Mam nadzieję, że siebie też ma pani na myśli.

– Oczywiście – przytaknęła i zarumieniła się mocno. Czy naprawdę musiał wspominać tę poniżającą scenę? – Tylko szukałam syna...

– Znowu mam szlaban przez cały następny tydzień na komputer, telewizję i telefon – powiedział Jeff poważnie. – Może więc pan być pewien, że nie pójdę więcej do kryjówki w pana ogrodzie, ani nawet do ogrodu – dodał szybko – i poszedłem tam tylko dlatego, że Blackie tak się cieszy na mój widok. Tak go lubię, że jakoś nie mogłem się oprzeć.

– Rozumiem.

Cole uśmiechnął się do Jeffa, ale tak jakoś inaczej niż zwykle i Robin pomyślała, że to nie jest typowy dla niego uśmiech. Tym razem bardziej śmiały się jego oczy niż usta. I nagle znów ujrzała na jego twarzy jakiś ból czy tęsknotę. Powoli przeniósł spojrzenie na nią, i kiedy ich oczy się spotkały, niespodziewanie zaparło jej dech w piersiach.

– Właściwie nie przyszedłem tu po to, by rozmawiać o tym, co zaszło dziś po południu – powiedział. – Muszę na kilka dni wyjechać z miasta, a ponieważ Jeff tak dobrze się dogaduje z Blackiem, pomyślałem, że może zechciałby się nim zaopiekować w tym czasie. Nie musiałbym wtedy oddawać Blackiego do psiego hotelu. Oczywiście zapłacę mu za tę pomoc i jeśli się zgodzi, będzie się mógł bawić w czasie mojej nieobecności w piwniczce w ogrodzie.

Robin spojrzała na Jeffa, który miał teraz tak ogromne oczy ze zdziwienia, jak chyba jeszcze nigdy w życiu.

– Chce pan, żebym się zajął Blackiem? – zapytał z niedowierzaniem. – I zapłaci mi pan za to? A czy będzie mógł u nas spać? Proszę!

– Jak sądzę, jest to odpowiedź na pana pytanie – powiedziała Robin z uśmiechem.

– Może tu spać, oczywiście, jeśli tylko twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu. – Spojrzał pytająco na Robin. – Czy to będzie dla pani problem?

Kiedy patrzył na nią swoim badawczym wzrokiem, trudno jej było oddychać.

– Nie, skąd – wydusiła wreszcie – to żaden problem.

Cole znów się uśmiechnął i tym razem był to uśmiech tak promienny i ciepły, że trafił prosto do jej serca.

– Mamo – zawołał Jeff, wbiegając do domu w czwartkowe popołudnie – idę z Kelly i z Blackiem do kryjówki!

– Chyba nie masz na myśli tej małej dziewczynki, która mieszka po sąsiedzku? – Nie mogła sobie odmówić tej drobnej uszczypliwości.

On jednak tylko wzruszył ramionami i zrobił obojętną minę, po czym odkręcił słoje, w którym przechowywała ciastka, i wsadził do niego rękę. Ale słoje były puste i na jego twarzy malował się wyraźny zawód. Obliznął palce z okruszków i powiedział:

– Właściwie Kelly wcale nie jest taka głupia.

– No, co za niespodzianka... – Robin pokręciła głową. – A wzięłaś smycz dla Blackiego?

– Nie będzie potrzebna, bo idziemy do kryjówki. Bawimy się w Sama Houstona i Daniela Boone'a, że atakuje nas meksykańska armia. Potem będę musiał uciec z Blackiem, przemycić go, więc i tak nie mogę do tego użyć smyczy.

– W porządku, tylko nie wychodźcie poza posesję i wróć na kolację.

– No nie, kolacja jest za niecałą godzinę! – jęknął Jeff.

Robin posłała mu groźne spojrzenie pod tytułem „nie zadzieraj ze mną”.

– Ale ja nie jestem głodny...

– Jeff... – upomniała go już łagodniej.

– Wiesz co, to nie fair – zawołał i wybiegł z domu, a Blackie za nim.

Robin z uśmiechem wsunęła brytfankę z pieczenią do piekarnika i z kubkiem w ręku poszła do ogrodu. Powietrze przenikał zapach wiosennych kwiatów, a łagodna bryza owiewała budzące się do życia drzewa. Wokół panowały cisza i spokój. Co za błogość, pomyślała, i nagle wszystkie te lata, kiedy ciułała grosz do grosza, wydały się jej tego warte. Jej wzrok powędrował do ogrodu Cole'a Camdena. Jeff wraz z Kelly i Blackiem urzędowali w

kryjówce i od czasu do czasu słyszała ich nawoływania. W ciągu ostatnich dni wciąż myślała o Cole'u, o tym, co mówiono o nim w sąsiedztwie, o tym, że stracił syna, i o wszystkich dramatach, które przeżył.

Natarczywy dźwięk dzwonka telefonu przedarł się do jej świadomości, zakłócając tę błogą chwilę. Zerwała się i pobiegła do kuchni.

– Tak, słucham?

– Robin? Tu Angela, nie przeszkadzam?

– Nie, skąd.

Angela pracowała w tym samym dziale co Robin i w ciągu lat nawiązała się między nimi przyjaźń.

– Dzwonię, żeby cię zaprosić na kolację – powiedziała Angela.

– Ach, tak – Robin udała zdziwienie, jakby nie wiedziała, o co chodzi. – Niech pomyślę, na sobotę, żebym mogła poznać twojego kuzyna Franka – zakończyła z namaszczeniem i przewróciła oczami.

Jakiś czas temu Angela postanowiła znaleźć jej męża, i nie miało dla niej żadnego znaczenia, że Robin nie była zainteresowana poznawaniem nowych facetów. Angela nie mogła znieść tej myśli, że ktoś może chcieć żyć samotnie, i postanowiła zostać jej swatką.

– Frank to bardzo miły facet, nie sądzisz chyba, że chcę cię oddać w złe ręce...

Robin uznała, że nie będzie jej przypominać o katastrofalnej randce, którą zaaranżowała dla niej kilka tygodni wcześniej.

– Znam Franka całe swoje życie – powiedziała poważnie – jest porządny i miły.

*Porządny i miły.* Dwa słowa, które zdążyła znienawidzić. Każdy facet, z którym próbowano ją wyswatać, był porządny i miły i zaczęła postrzegać te słowa jako coś, co równoznaczne jest z nudą, małą atrakcyjnością i



emocjonalną manipulacją. Najczęściej byli to świeżo upieczeni rozwodnicy, którzy ochoczo oddawali się w ręce rodziny czy przyjaciół, by ci pomogli im wejść znowu do obiegu.

– Czy nie wspominałaś przypadkiem, że Frank dopiero co się rozwiódł?

– Nie tak dopiero co, już jakieś sześć miesięcy temu.

– A więc nie jestem zainteresowana.

– Co to ma znaczyć? Jak to nie jesteś zainteresowana?

– To znaczy, że nie chcę go poznać. Wiem, że masz dobre chęci, a ja jestem niewdzięcznicą, ale Już tyle razy ci mówiłam, że nie mam ochoty podbudowywać nadszarpniętego ego rozwodników... Jakby nie patrzeć, są to emocjonalne wraki.

– Ale Frank ma już za sobą fazę, o której mówisz.

– W porządku, jeśli za rok wciąż jeszcze będzie to aktualne, wtedy chętnie przyjdę na takie spotkanie.

– Jesteś pewna?

– Absolutnie.

– No dobrze, w takim razie do zobaczenia jutro.

– Do zobaczenia. Przyniosę kawę – dorzuciła Robin, czując się trochę winna.

Wciąż stała w kuchni niezadowolona z przebiegu tej rozmowy. Bardzo nie lubiła, gdy ktoś ją stawiał w tak niekomfortowej sytuacji. Dostatecznie trudno było już powiedzieć „nie”, a do tego świadomość, że Angela naprawdę dobrze jej życzyła, jeszcze bardziej utrudniała całą sprawę. Właśnie odpierała kolejny przyływ wyrzutów sumienia, gdy ponownie zadzwonił telefon. No, super, pomyślała Robin, to pewnie znowu Angela, która słysząc o kawie, wyobraziła sobie, że zaczynam mięknąć. Podniosła słuchawkę, próbując uzbroić się w cierpliwość.

– Jeszcze raz ci powtarzam – powiedziała pewnym i zdecydowanym głosem, by tym razem nie było żadnych wątpliwości – że nie jestem zainteresowana spotkaniem z Frankiem. Nie chodzi mi o to, żeby ci sprawiać przykrość, ale to moje ostatnie słowo.

Przez chwilę panowała dziwna cisza i Robin pomyślała, że teraz to już na pewno Angela się na nią obrazi. Ale wtedy usłyszała:

– Robin? To ty? Tu mówi Cole Camden – nieoczekiwanie zwrócił się do niej po imieniu.

O nie, to niemożliwe, pomyślała z przerażeniem.

– To ty, Cole? – spytała, zamykając ze wstydu oczy. – Przepraszam, myślałam, że to ktoś inny, że to moja przyjaciółka, która bezustannie próbuje mnie z kimś wyswatać – wyjaśniła pospiesznie – i nie rozumie słowa „nie”. Na pewno znasz to z życia, pewnie sam masz dość takich przyjaciół, którzy za wszelką cenę chcą cię na siłę uszczęśliwić.

– Właściwie to nie...

No tak, bo i na co mu osobista swatka, skoro pewnie co druga kobieta w San Francisco marzy o tym, żeby się z nim umówić. Wystarczyłoby, żeby kiwnął palcem, a już każda leżałaby u jego stóp.

– Przepraszam, nie chciałam ci tak nakrzyczeć do ucha.

– Nic się stało.

– Pewnie chciałbyś zapytać Jeffa, co słyhać u Blackiego? Bawi się z nim i z tą małą dziewczynką z sąsiedztwa. Za kilka minut powinien przyjść na kolację. Może więc zadzwonisz za jakiś czas albo, jeśli wolisz, mogę pójść po niego.

– A co robią?

– Bawią się w zdobywanie Alamo...

Cole się roześmiał.

– Nie, skąd, nie chcę cię kłopotać, no i nie chciałbym, żeby cię dopadła amerykańska armia.

– Ja też niekoniecznie.

– A co poza tym?

– Wszystko w porządku.

Musiała to zabrzmieć, jakby się spieszyła, bo zapytał:

– Jesteś pewna, że nie przeszkadzam? Jeśli masz gościa, to mów...

– Nie, w niczym mi nie przeszkadzasz, jestem sama.

Na chwilę zapadła cisza.

– A więc nie macie kłopotów z Blackiem? – zapytał Cole.

– Nie, skądże, naprawdę wszystko jest w porządku. Jeff nie odstępuje go nawet na krok, kiedy wraca ze szkoły. Chyba się bardzo polubili, Blackie nawet śpi obok jego łóżka.

– Mówiłaś, że ma rękę do zwierząt.

Pogodny głos Cole'a, taki ciepły i miły, wywołał niemal szok. Musiała się uszczypnąć, żeby sobie uzmysłwić, że jest prominentnym prawnikiem, szanowanym i bardzo dobrze sytuowanym, z którym jeszcze niedawno miała takie problemy. A ona była zwykłą księgową, i to na dodatek młodszą księgową. Jedno, co ich łączyło, to fakt, że mieszkali teraz obok siebie i że jej syn wprost szalał za jego psem. Cisza, która teraz zapadła, nie była już tak dręcząca jak kiedyś, zupełnie jakby ani ona, ani on nie chcieli jeszcze zakończyć tej rozmowy.

– Nie będę cię dłużej nękał, skoro Jeffa nie ma w pobliżu – przełamał ciszę Cole.

– Powiem mu, że dzwoniłeś.

– Ależ to nic ważnego, właściwie chciałem tylko powiedzieć, że wrócę w piątek późnym popołudniem. Będiesz w domu?

– Oczywiście.

– Wiesz, nigdy nic nie wiadomo, może jednak przyjaciółka namówi cię na to spotkanie z Fredem.

– Z Frankiem? Nie, nie ma takiej szansy – roześmiała się Robin.

– Słyszałem na własne uszy to twoje ostatnie słowo.

– Właśnie.

– W takim razie do zobaczenia w piątek.

– Do zobaczenia, Cole. – Rozłączyła się, ale jeszcze przez dłuższą chwilę stała ze słuchawką w ręce i z uśmiechem na twarzy.

– Mamo, dasz mi pieniądze na lunch?

– Tak, zaraz zejść!

Poranki były stresujące. By dotrzeć na czas na stację metra, musiała wyjść z domu pół godziny wcześniej niż Jeff.

– Co zjadłeś na śniadanie? – zapytała, kończąc makijaż.

– Gofry! – odkrzyknął Jeff. – I nie martw się, nie utopiłem ich w syropie. I nawet opłukałem talerz, zanim wstawiłem go do zmywarki.

– Opłukałeś czy dałeś wylizać Blackiemu? Robin zbiegła po schodach.

– Blackie, czy to przypadkiem nie syrop klonowy masz na nosie?

Labrador, słysząc swoje imię, podszedł do niej i zaczął merdać ogonem. Robin pogłaskała go po głowie, a potem sięgnęła po portfel, żeby dać Jeffowi pieniądze na kanapki.

– O raju, super wyglądasz, mamo!

– Co się tak dziwisz? To chyba normalne – zażartowała Robin i puściła do synka oko. – Dobra, lecę już i pamiętaj, że dzisiaj wraca pan Camden, więc się nie spóźnij.

– Pamiętam, jasne, na pewno się nie spóźnię.

Robin chwyciła torebkę i wyszła z domu. Już w drodze do metra była pewna, że to będzie dla niej długi dzień, jak zwykle zresztą w piątek.

Miała rację. O szóstej wieczorem, kiedy metro wjechało na jej stację, Robin czuła się, jakby spędziła poza domem czterdzieści osiem godzin, a nie zaledwie dziewięć. Cały czas pracowała w pośpiechu, ale tak naprawdę nawet nie wiedziała, dlaczego się spieszy. No, oczywiście, dzisiejszego popołudnia miał wrócić Cole, ale co to miało do rzeczy? Jego powrót nie był przecież żadnym powodem do pośpiechu czy nerwów, ani zresztą do szczególnej radości. W końcu to przecież jedynie jej nowy sąsiad, i właściwie bardziej przyjaciel Jeffa niż jej znajomy. Zbliżała się już do swojej ulicy i pierwsze, co wypatrzyły jej oczy, to porsche Cole'a. Samochód stał zaparkowany przed jego domem.

– Cześć, mamó! – krzyknął Jeff, machając jej z sąsiedniego ogrodu. – Pan Camden wrócił!

– Widzę właśnie – odkrzyknęła, otwierając frontowe drzwi.

Jeff podbiegł do niej z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Powiedział, że się potem ze mną rozliczy. Chciałem zaprosić go na kolację, ale pomyślałem, że lepiej najpierw zapytam ciebie.

– I bardzo mądrze! – Robin odwiesiła kurtkę do szafy i weszła do kuchni. Wyjęła z lodówki zamrożone hamburgery i składniki potrzebne do przyrządzenia sałatki. – A jak ci minął dzień? – zapytała.

Jeff usiadł przy stole i oparł łokcie na blacie.

– Całkiem dobrze. A co będzie na kolację?

– Sałatka meksykańska z *tacos*.

– A nie lepiej zjeść osobno *tacos*? Po co psuć kolację, dodając jakąś zieleninę?

– Myślałam, że lubisz moją sałatkę... – obruszyła się nieco Robin.

– Jest w porządku, ale wolałbym zjeść same *tacos*. A może wypożyczymy dzisiaj jakiś film? – zaproponował.

– Czemu nie – odparła zamyślona, wrzucając na patelnię mięso i poszatkowaną cebulę.

– Ale tym razem ja wybieram – powiedział zdecydowanym głosem. – W zeszłym tygodniu miałaś swój musical. – Chłopiec wykrzywił twarz, jakby zjadł coś wyjątkowo niesmacznego, dając jej do zrozumienia, że zmuszanie go do oglądania tego typu produkcji, w których kobiety i mężczyźni tańczą i śpiewają na ekranie, to wyjątkowa męka.

– Może uda nam się znaleźć jakiś kompromis...

– Jeśli tylko nie będzie głupiego wątku miłosnego... – Jeff znowu zrobił kwaśną minę.

– W porządku, damy radę. – Trudno jej było ukryć rozbawienie. Oczywiście Jeff wolał Scooby Doo, a ją zdecydowanie nudziły takie filmy dla dzieci, pewnie podobnie jak jej synka musicale.

Robin przykryła patelnię pokrywką, by mięso poddusiło się na ogniu, i spojrzała na syna, który siedział zamyślony.

– Coś cię martwi? – zapytała, wsuwając do ust kawałek pomidora.

– Zauważyłaś, że pan Camden nigdy nie wspomina o tym, że miał syna?

Robin odłożyła na bok nóż.

– Pewnie sprawia mu to ból.

Jeff energicznie pokiwał głową i powiedział tajemniczo z iście niewinną mądrością dziecka:

– No właśnie, ten mężczyzna kogoś potrzebuje.

Byli już po kolacji. Robin zmywała właśnie naczynia, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi. Wiedziała, że to musi być Cole.

– Ja otworzę! – krzyknął Jeff i popędził do drzwi.

– Dzień dobry, panie Camden – powiedział z euforią.

Robin szybko wytarła ręce, obciągnęła sweterek i przywołała na twarz uprzejmy, choć dość rzeczowy uśmiech. Zdażyła jeszcze przeczesać palcami włosy, dziwiąc się sama sobie, po co właściwie to robi, skoro Cole przyszedł zobaczyć się z Jeffem, a nie z nią. Słyszała, jak Jeff zarzuca sąsiada nowinkami, opowiadając mu od wejścia o tym, że wypożyczą film i że zwykle musi się zdać na gust mamy, która najbardziej lubi musicale. Potem przeszedł do kolejnego natarcia, że jego mama traktuje wybór filmu jako przywilej rodzica i że dziecko nie ma w tym domu praktycznie żadnych praw. Wyobrażała sobie, jak przewraca przy tym dramatycznie oczami. Wzięła głęboki wdech i postanowiła wejść do salonu, w którym obaj panowie już zdążyli się rozgościć. Jej wzrok natychmiast napotkał oczy Cole'a i pierwszą myślą, jaka zaświtała jej w głowie, było, że w tak pięknym spojrzeniu mogłaby się zatracić praktycznie każda kobieta i nawet by się nie zorientowała, kiedy i jak to się stało. Ona także, ale tym razem było jej to dziwnie obojętne. Dystans, który zwykle powstrzymywał ją od bliższych kontaktów, zniknął gdzieś bez śladu.

– Napijesz się czegoś? – wydusiła przez zaciśnięte gardło.

– Jeśli to nie problem, chętnie napiłbym się kawy.

– Ależ skąd... – A przynajmniej nie stanowiłoby to problemu, gdyby nie ten szaleńczy puls, pomyślała.

– A gdzie Blackie? – zapytał nagle Jeff.

– Zabrałem go do siebie, bo pomyślałem, że pewnie masz go już trochę dość.

– Dość Blackiego? Nigdy w życiu, niech pan nie żartuje! – zaprotestował chłopiec.

– Rzeczywiście, mogłem się domyślić. – Cole pokiwał znacząco głową.



Robin, korzystając z dogodnej okazji, prędko wyszła do kuchni, żeby się pozbierać. Zdążyła zaledwie wyjąć z szafki filiżanki, gdy pojawił się Cole. Jednocześnie usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

– Jeff pobiegł do mnie do domu, żeby przyprowadzić Blackiego – powiedział.

Robin się uśmiechnęła.

– Kawa z mlekiem? Słodzisz?

– Nie, czarna, bez cukru. Dzięki.

Sama też zwykle taką piła, ale dziś, z niewytłumaczalnych dla siebie przyczyn, wsypała sobie sporą łyżeczkę cukru i zaczęła mieszać nerwowo czarny, lekko spieniony płyn.

– Jak ci minęła podróż? – zapytała, niosąc obie filiżanki do salonu, gdzie Cole opadł na miękką sofę.

– Właściwie bardzo dobrze.

– To miło... – Usiadła w bezpiecznej odległości po drugiej stronie stołu, w drewnianym fotelu na biegunach. – Tutaj wszystko poszło gładko, jedynie się obawiam, że Jeff trochę ci rozpieścił Blackiego.

– Też tak podejrzewam. Mówił, że robili wszystko razem, z wyjątkiem chodzenia do szkoły.

– Naprawdę dobrze mu to zrobiło, że mógł zająć się twoim psem. Bardzo doceniam, że dałeś mu tę możliwość. W ten sposób nie tylko zaspokoiliś jego pragnienie, by mieć wreszcie psa, lecz także dałeś mu okazję, by nauczył się odpowiedzialności. No proszę, o wilku mowa, już jest z powrotem – powiedziała Robin z uśmiechem, słysząc, jak Jeff z Blackiem wbiegają do domu.

Na twarzy Jeffa malował się szeroki uśmiech.

– Mamo, czy pan Camden mógłby zostać u nas i obejrzeć z nami film?

– Eee... – Zbita z tropu nie wiedziała, co powiedzieć. Była pewna, że po kilku dniach nieobecności oglądanie filmu z kimś, kogo się prawie nie znało, nie mogło być szczytem marzeń Cole'a. Jednak, ku jej zdziwieniu, Cole skierował wzrok na nią, jakby czekał na jej aprobatę dla tego pomysłu.

– Tak, oczywiście, zapraszamy, jak najbardziej – próbowała wybrnąć z tej niekomfortowej sytuacji – jeśli tylko masz ochotę, możesz zostać, chyba że masz inne plany...

– A jaki film? – zapytał Cole.

– Jeszcze nie wybraliśmy – pospieszył z wyjaśnieniem Jeff. – Mama i ja musimy się jeszcze dogadać. Mama lubi takie płaczliwe filmy, nie chce się nigdy zgodzić na strzelanie, pościgi i różne chłopackie rzeczy. W zeszłym tygodniu zmusiła mnie do oglądania jakiejś miłosnej historii. – Jeff przewrócił po swojemu oczami.

– A co ty na to, żebyśmy razem poszli wypożyczyć film, podczas gdy mama robi dla nas wszystkich popcorn?

– Byłoby super! – Twarz Jeffa rozjaśnił szeroki uśmiech. – Prawda, mamo?

– Oczywiście, to świetny pomysł. – Uśmiech Jeffa zawsze ją rozbijał, więc nawet gdyby uznała, że pomysł nie jest specjalnie dobry, i tak by się zgodziła.

W kilka minut później byli już gotowi do wyjścia, a ona z trudem powstrzymała się od tego, by poinstruować Cole'a, jakie filmy są odpowiednie dla dziesięcioletniego chłopca. Na szczęście w porę ugryzła się w język i postanowiła zaufać jego zdrowemu rozsądkowi. Przez okno widziała, jak wsiadają do sportowego wozu Cole'a. Kamień spadł jej z serca, gdy zobaczyła, że Cole nachyla się, by zapiąć Jeffowi pas. Wyprostował się i niespodziewanie przeniósł wzrok na nią, a ona machinalnie pomachała na pożegnanie.

Odpowiedział jej tym samym. Był to zwykły gest, ale miała wrażenie, że w tym wypadku oznaczał dużo więcej, że nawiązali nie porozumienia.

– Chodź, Blackie – powiedziała – idziemy robić popcorn.

Po chwili pies stał obok niej i patrzył, jak wrzuca paczkę nasion kukurydzy do miski i wstawia do mikrofalówki. Ziarenka zaczęły pękać, a ona, nie wiedząc czemu, nagle zapytała na głos:

– I co, Lenny, jak myślisz, co powinnam zrobić?

Nie to, żeby spodziewała się jakiejś odpowiedzi, ale zawsze, gdy miała wątpliwości, rozmawiała z nim. Było to całkiem spontaniczne i wynikało z głębokiego uczucia, które ich łączyło. Może to głupie i dziecinne, ale często czuła jego obecność.

Chciała się dzielić z nim wszystkim, co było dla niej ważne, a już na pewno radzić się w sprawach związanych z ich synem, bo przecież on również bardzo go kochał. Na początku zastanawiała się, czy powinna się zapisać na wizytę do psychiatry albo na jakąś grupową terapię, ale potem zrozumiała, że każda wdowa przechodzi podobną drogę, w taki czy w inny sposób chce się cofnąć do bezpowrotnie minionych czasów.

– Ostatnio bardzo urósł – powiedziała na głos – prawda? Cieszę się, że poznał Cole'a. Facet stracił synka... Wiesz, to musi być naprawdę straszne, i myślę, że Jeff również może zaspokoić jakieś jego tęsknoty.

Wsypała gotowy popcorn do miski i wyjęła z lodówki zimne napoje. Ledwo zdążyła zanieść tacę do pokoju, gdy do domu weszli Cole z Jeffem. Dokonali wyboru, który okazał się być świetnym kompromisem. Była to komedia dla nastolatków, ale zaskakująco mądra i dowcipna. Jeff rozsiadł się na dywanie i wziął się za popcorn, dokarmiając przy okazji Blackiego. Cole zajął miejsce na sofie, a ona wybrała fotel na biegunach. Zsunęła buty ze stóp i podkurczyła nogi. Film był naprawdę zabawny, kilka razy zdarzyło się jej

nawet wybuchnąć głośnym śmiechem. Cole i Jeff też się śmiali, i to najczęściej w tych samych miejscach, choć stanowili dość specyficzny duet: jeden głos był niski, a drugi wysoki i trochę piskliwy. Mimo to doskonale ze sobą harmonizowały, można by powiedzieć, że wprost idealnie. Na pierwszy rzut oka było widać, że dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Choć to niełatwe, starała się nie przypisywać temu żadnego specjalnego znaczenia, gdyż mogło to stanowić poważne niebezpieczeństwo dla jej stanu emocjonalnego. Jednak nie potrafiła wyrzucić tej myśli z głowy, po prostu, gdy raz tam wpadła, nie chciała już wyjść. Po niedługim czasie Cole wskazał bez słów na Jeffa, który oparł mu głowę na kolanach i zasnął.

– Śpi – szepnął z ciepłym uśmiechem.

Robin wstała szybko i poszła do kuchni, by odnieść miskę i szklanki. Cole delikatnie oparł głowę chłopca o sofę i wzięwszy swoją szklankę, podążył za nią. Potem wrócił do salonu i wyjął z odtwarzacza płytę z filmem.

– Pomogę ci zanieść go na górę – powiedział.

– Nie, nie trzeba, pomyślałby rano po przebudzeniu, że potraktowaliśmy go jak małe dziecko. Ego dziesięciolatka jest bardzo przewrażliwione.

– Pewnie masz rację.

Gdy Jeff spał i nie trajkotał tak jak zwykle, cisza, która zawisła między nimi, wydawała się jeszcze bardziej wymowna. Robin poczuła się niezręcznie.

– To bardzo miło, że zostałeś – powiedziała w końcu, nie wytrzymując napięcia. Nie to, żeby miała akurat coś ważnego do powiedzenia, ale musiała przerwać to świdrujące milczenie. – To znaczyło naprawdę bardzo wiele dla Jeffa.

Z tego, co mówił Jeff, Cole prowadził dość aktywne życie. To samo słyszała od Heather, która twierdziła, że często wyjeżdża na weekendy. Nie

bardzo wiedziała, co ma o tym sądzić, ale jeśli w grę wchodziły kobiety, nic jej do tego.

– Dla mnie to też wiele znaczyło – odparł, wkładając płytę do pudełka.

Kuchnia i salon, zwykle takie przestronne, teraz, gdy Cole stał zaledwie kilka kroków od niej, wydały się jej duszne i ciasne. Chciała zrobić jakąś błyskotliwą uwagę, ale w głowie miała absolutną pustkę.

– To ja już pójdę – powiedział.

Czyżby słyszała w jego głosie niezdecydowanie? Z jednej strony miała ochotę wypchnąć go za drzwi, z drugiej jednak nie chciała, żeby wychodził. Ale po co właściwie miałby zostawać?

– Odprowadzę cię – odparła.

– Blackie! – zawołał Cole – musimy już iść.

Pies nie wyglądał na zadowolonego. Podniósł się mozolnie z podłogi i powoli podszedł do pana. Już właśnie miała otworzyć drzwi, by ich wypuścić, gdy nagle zdała sobie sprawę, że nie podziękowała Cole'owi za wypożyczenie filmu. Odwróciła się raptownie i niespodziewanie znalazła się z nim twarzą w twarz. Ich spojrzenia się spotkały, a myśli zawirowały niebezpiecznie. Siliła się na uśmiech, ale wypadł dość niepewnie, gdyż ciężko jej było zapanować nad emocjami, gdy z tak niewielkiej odległości patrzył na nią tym swoim baczny wzrokiem. Z zapartym tchem obserwowała, jak przenosi wzrok na jej usta i w tym samym momencie, gdy oblizwała wargi, poczuła, jak jego palce wplatają się w jej włosy. Wciąż wpatrywał się w nią, jakby liczył na to, że powie nie, że go powstrzyma, ale nie była w stanie ani poruszyć się z miejsca, ani wypowiedzieć choćby jednego słowa. Hipnotyzował ją wzrokiem. Jego usta były tuż-tuż, widziała, jak lekko przechyla głowę, jak zamyka oczy, a potem poczuła miękki dotyk gorących warg. W tym samym momencie i ona zamknęła oczy. To jedyna reakcja, na jaką było ją stać. Po chwili ponowił pocałunek. Robin

jęknęła cicho, nie w proteście, ale ze zdziwienia i z rozkoszy. Tak dawno mężczyzna nie całował jej w ten sposób, tak dawno, że zapomniała, jak cudowne wrażenie mógł wywołać jeden niewinny pocałunek. Zsunęła ręce na jego tors i poczuła pod palcami miękką tkaninę swetra. Usta drżały z onieśmienia, do oczu napłynęły łzy. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć, poczuła tylko, że łzy płyną jej po policzku. Gdy Cole zauważył, że płacze, przerwał pocałunek i spojrzał jej w oczy. Potem kciukiem otarł łzy i szepnął czule:

– Zraniłem cię?

Potrząsnęła głową.

– Więc dlaczego...?

– Nie wiem. – Bezradnie wzruszyła ramionami. Nie mogła mu wyjaśnić czegoś, czego sama nie rozumiała. Siłąc się na uśmiech, otarła łzy. – No cóż, nie byłabym sobą, gdybym nie zachowała się oryginalnie – powiedziała z udawaną wesołością i odrobiną sarkazmu. – Trzeba być niezłym oryginałem, by rozplakać się przy pocałunku.

Cole nie wiedział, co powiedzieć, tylko patrzył na nią trochę zmieszany i trochę zdziwiony.

– Naprawdę, nie przejmuj się, nic mi nie jest – próbowała go przekonać – wszystko jest w porządku. – Ale tak naprawdę sama nie wiedziała, co się z nią dzieje.

– Porozmawiajmy o tym, Robin – poprosił.

– Nie ma o czym – powiedziała cicho, ale stanowczo. To była ostatnia rzecz, jakiej chciała. – Sama tego nie rozumiem, więc o czym tu rozmawiać? Myślę – dodała z namysłem – że możemy to zwalić na długi, ciężki tydzień, który mam za sobą.

– Wydaje mi się, że to nie takie proste... .

– Pewnie masz rację, ale proponuję zwyczajnie o tym zapomnieć.

Proszę...

– Ale na pewno nie sprawiłem ci przykrości, nic ci nie jest?

– Zaczekaj, niech popatrzę, nadal mam dwie ręce i nogi, i... Nie, wszystko się zgadza – starała się obrócić jego słowa w żart, ale nie wyszło to najlepiej.

Był poważny i zatroskany, i nie mogła sobie pozwolić na dalsze roztkliwianie się, zwłaszcza gdy pomyślała, przez co sam w życiu przeszedł. Nagle wszystko stało się jeszcze trudniejsze niż przed chwilą.

– Przepraszam, naprawdę bardzo cię przepraszam – powtórzyła – ale chyba będzie lepiej, jak już pójdziesz do siebie.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

– Wiesz, na co mam teraz ochotę? – zapytała Angela Lansky, przysiadając w poniedziałkowy poranek na biurku Robin.

– Mam nadzieję, że powiesz: na lunch – odparła Robin – bo jestem strasznie głodna.

– Dokładnie, ale nie na byle jaki lunch, tylko na sałatkę z krewetkami – dużymi, soczystymi krewetkami.

– Szczerze mówiąc, myślałam o chińszczyźnie, ale teraz, kiedy to mówisz, sałatka z krewetkami brzmi naprawdę kusząco – przyznała Robin. Otworzyła dolną szufladę biurka i wyjęła z torebki portfel.

Angela była drobnej, wręcz kruchej budowy, niska i szczupła do pozazdroszczenia. Miała bujne, lśniące ciemne włosy, które niczym kaskady wodospadu opadały jej na ramiona. Podpinała je z boku spinkami, żeby nie zasłaniały twarzy. Trzeba było przyznać, że bardziej wyglądała na dwudziesto- niż trzydziestopięciolatkę, którą była.

– Znam boskie miejsce – powiedziała tajemniczo Angela. – Nazywa się Blue Crab i jest w porcie. Wierz mi, nie będziesz żałować.

– Wchodzę w to! – Robin klasnęła w ręce.

Po drodze wstąpiły jeszcze do banku, a potem ruszyły do portowej restauracji.

– A jak właściwie ma się mały? – zapytała niespodziewanie Angela.

Ona i jej mąż, którego całkowicie pochłaniał handel, nie planowali dzieci, ale Angela lubiła słuchać opowieści o Jeffie.

– Zapisał się na baseball i zaczyna w tym tygodniu treningi. Czuł się bardzo samotny w czasie ostatniego weekendu, po tym, jak wrócił Cole i zabrał z powrotem do siebie Blackiego.

– Ale chyba nadal jeszcze u was bywa?

– Czasami bywa, ale wyjechał w sobotę wczesnym rankiem i zabrał psa ze sobą. Przez niemal cały weekend Jeff chodził przygnębiony.

– A gdzie to wybył twój przystojny sąsiad?

– Nie mam zielonego pojęcia, bo i skąd miałabym to wiedzieć? – Uśmiechnęła się, chcąc zatuszować rozczarowanie, jakie wywołał w niej swoim weekendowym wyjazdem. – Niestety, przyznaję ze smutkiem, że nie uzgadnia ze mną swoich planów. – Dostatecznie bolało ją, że wyjechał bez słowa pożegnania czy wyjaśnienia. A dodatkowo wciąż nosiła w sobie to paskudne uczucie, że zrobiła z siebie kompletną idiotkę, płacząc, kiedy ją pocałował. Dobry Boże, pewnie zrobi teraz wszystko, żeby się z nią już więcej nie spotkać.

– Sądzisz, że kogoś ma, że spotyka się z jakąś kobietą?

– To nie moja sprawa i nie mój interes – odparowała szybko Robin.

– A nie mówiłaś mi przypadkiem, że wspominała coś na ten temat twoja sąsiadka? Że weekendy spędza z jakąś kobietą? – Angela nie odpuszczała.

Robin nie przypominała sobie, by podzieliła się tą informacją z koleżanką, ale najwyraźniej musiała to zrobić. Na darmo starała się przekonać przed chwilą samą siebie, że gdy podzieli się z Angellą informacjami na temat Cole'a, udaremni tym samym pomysły przyjaciółki związane z wyswataniem jej z żadnymi pocieszenia rozwodnikami. Jednak obróciło się to tylko przeciwko niej, bo w chwili obecnej ostatnią osobą, o jakiej chciała rozmawiać, był właśnie Cole, a tymczasem Angela napierała dalej.

– Więc jak – nalegała – spędza weekendy z jakąś kobietą czy nie?

– To, co Cole robi w wolnym czasie, to nie moja sprawa – broniła się Robin, udając, że nie ma to dla niej żadnego znaczenia. Ale, niestety, miało, i to duże, choć wcześniej poprzysięgła sobie solennie, że nie będzie temu

pocałunkowi nadawać żadnego znaczenia. Ani całemu zajściu, ani temu, co się jej zdawało, że czuje do tego mężczyzny. Tymczasem, gdy dowiedziała się, że Cole znowu wyjechał na weekend, była bardziej zawiedziona niż jej dziesięcioletni synek.

– Szczerze mówiąc, miałam nadzieję, że coś was połączy – burknęła Angela. – Skoro już nie jesteś zainteresowana spotkaniem z Frankiem, to myślałam, że może chociaż wywiąże się coś między tobą i twoim sąsiadem.

Robin posłała koleżance błagalne spojrzenie.

– Cole Camden mieszka w największym i najbardziej rzucającym się w oczy domu w całej okolicy, jest współnikiem w znanej prawniczej firmie Blackwell, Burns i Dailey, która, jak obie wiemy, jest najbardziej prestiżową firmą tego typu w San Francisco. Jeździ samochodem, którego nazwę nawet trudno mi powtórzyć. I co ktoś taki miałby we mnie widzieć?

– Bardzo wiele – powiedziała spokojnie Angela.

– Niechętnie odzieram cię z iluzji, droga przyjaciółko, ale jedyne, co nas łączy, to fakt, że mój mały ogródek graniczy z jego olbrzymią posesją.

– Może, ale tylko na pierwszy rzut oka... – powiedziała Angela, unosząc do góry brew. – Wiem, że byłaś nim zaintrygowana już wtedy, gdy po raz pierwszy wymieniłaś jego imię.

– To niedorzeczne! – oburzyła się Robin.

– Wcale nie, obserwuję cię już od ładnych paru lat i naprawdę uważam, że dobrze cię poznałam. Wiem, jak to zwykle wygląda, gdy poznasz jakiegoś nowego faceta. Wszystko jest niby w porządku: facet wykazuje zainteresowanie, ty się uśmiechasz, potem spotykasz się z nim kilka razy, a może nawet trochę więcej, ale zanim zdąży się coś rozwinąć, zrywasz znajomość, nie dając jej tak naprawdę żadnej szansy.

Akurat w tym względzie nie było sensu zaprzeczać, bo Robin dobrze wiedziała, że tak właśnie przedstawiała się prawda.

– Nic na to nie poradzę, że mam wysokie wymagania – odparła w odpowiedzi na ten wykład i roześmiała się nieco nerwowo.

– Wysokie wymagania? Nic lepszego nie słyszałam już od lat! Ty byś miała zastrzeżenia nawet do księcia z bajki – powiedziała oskarżycielsko Angela.

Robin przewróciła oczami, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu. Musiała przyznać, że było w tym trochę racji. Tym bardziej się dziwiła, że nie powstrzymywało to Angeli od zadawania sobie trudu swatania jej z różnymi kandydatami.

– Jednak sprawy mają się zgoła inaczej, gdy chodzi o twojego nowego sąsiada... – Angela zmieniła niespodziewanie ton. – Odkąd wspomniałaś o nim pierwszy raz, nastąpiła w tobie jakaś przemiana i szczerze mówiąc, moja droga, jestem naprawdę podekscytowana, żeby nie powiedzieć wstrząśnięta. Odkąd się znamy, zdarza się po raz pierwszy, że poświęcasz facetowi tyle uwagi. Do tej pory nigdy jeszcze tak nie było.

– Mylisz się, nie jestem zainteresowana Cole'em – wyrecytowała Robin – i daj z tym wreszcie spokój! Naprawdę nie wiem, skąd ci w ogóle przychodzą do głowy takie pomysły. Chyba się naczytałaś za dużo romansów.

– Jasne, jasne – Angela pogroziła jej palcem – już ja cię znam. Nie zbędziesz mnie takimi tekstami, tak więc zostaw sobie te wykręty dla kogoś innego. Ten facet cię pociąga i to cię przeraża.

Obie spojrzały na siebie z powagą, obie zbyt uparte, by ponieść porażkę. Jednak w obliczu determinacji koleżanki Robin w końcu się poddała.

– No i dobrze – powiedziała podniesionym, poirytowanym głosem, aż wszystkie głowy pasażerów czekających na przystanku zwróciły się w ich kie-

runku. – Dobrze, niech ci będzie – dodała już ciszej – podoba mi się Cole, ale kompletnie tego nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia? – Angela zmarszczyła czoło. – Jest atrakcyjny, zamożny, szaleje za twoim synem, jest hojny i miły, a ty nie rozumiesz, dlaczego ci się podoba?

– Ale nie należy do mojej ligi.

– Lepiej będzie, jak przestaniesz się wślaczać w jakieś ramy i dzielić ludzi na kategorie. Zupełnie jakbyś uważała, że nie jesteś dla niego dostatecznie dobra, a to nieprawda.

Robin westchnęła ciężko. Z opresji wybawił ją nadjeżdżający tramwaj. Miała chwilę oddechu, nim wsiadły do środka i znalazły sobie miejsca. Zawsze gdy wsiadała do wagonu, przypominała jej się historia, której uwielbiał wprost słuchać Jeff, a ona kochała mu ją opowiadać. A było to tak: Andrew Hallidie zaprojektował tramwaj ze względu na swoją ogromną miłość do koni. Dzień po dniu przyglądał się, jak chodzą w górę i w dół po dość karkołomnych wzniesieniach miasta, ciągnąc z mozołem ciężkie wagoniki. W trosce o zwierzęta wymyślił więc tramwaj i dla wielu ludzi, takich jak Jeff czy Lenny, został prawdziwym bohaterem.

Do Fisherman's Wharf było niedaleko i gdy tylko wysiadły, natychmiast porwał je strumień rozbawionych przechodniów i radosna atmosfera. W porcie, na wodzie, kołysały się łódki i kutry i choć Robin nigdy nie była nad Morzem Śródziemnym, widok ten przypominał jej obrazki francuskich czy włoskich przystani. Dzień był piękny, niebo błękitne i bezchmurne, a woda lśniła w promieniach słońca, jakby to był środek lata. Wiosna tego roku zaskoczyła wszystkich wyjątkowo wysokimi temperaturami. Zwykle Robin wcale nie była zdziwiona, gdy w środku czerwca, zwłaszcza o poranku, wszystko oblepiała

gęsta mgła połączona z chłodną bryzą, i trzeba było włożyć ciepły płaszcz. Ale tej wiosny pogoda przywoływała uśmiech na usta.

– Zjedźmy na zewnątrz – zaproponowała Angela, wskazując wolny stolik w patio.

– Jasne – ucieszyła się Robin.

Blue Crab był bardzo popularną restauracją, choć jedną z wielu w porcie. Wewnątrz urządzono ją naprawdę elegancko, ale przy stolikach wystawionych na zewnątrz, na chodniku, panowała miła, luźna atmosfera.

Gdy tylko usiadły, podszedł kelner i w kilka minut później miały już przed sobą swoje sałatki z krewetkami.

– A więc, moja droga – zaczęła Angela, rozkładając na kolanach serwetkę i przyglądając się bacznie przyjaciółce – opowiedz mi, proszę, coś więcej o swoim sąsiedzie.

Robin aż zamarła.

– Sądziłam, że już zakończyłyśmy ten temat. Jeżeli jeszcze dotąd nie nazbyt jasno się wyraziłam, naprawdę wolałabym nie rozmawiać więcej o Cole'u.

– Owszem, wyraziłaś się jasno i trudno było nie zauważyć na przestrzeni lat twojej niechęci do rozmów o związkach z mężczyznami, ale muszę cię zmartwić, ja dopiero zaczęłam ten temat. A to z tej przyczyny, że akurat tobie rzadko który facet do tego stopnia wpada w oko. Trudno mi się więc pogodzić z myślą, że prawie nic o nim nie wiem. Nadeszła pora, bym wreszcie dowiedziała się czegoś więcej, a najlepiej wszystkiego – dodała z nieskrywanym uśmiechem.

– Ale tu nie ma nic do opowiadania, powiedziałam ci już o nim wszystko, co wiem.

W tym momencie Robin zaczęła się zastanawiać, czy przyjaciółka zdążyła się domyślić, że Cole ją pocałował. Nie miała wątpliwości, że pod naporem jej nieustających pytań i ciągłych ataków nawet się nie obejrzy, jak jej wszystko wygada. Myślała o tym z coraz bardziej narastającą paniką. Jakoś nie chciała na razie mówić zbyt wiele na ten temat, bo sama jeszcze nie wiedziała, co ma o tym wszystkim sądzić. Ale Angela nie знаła słowa „nie” i Robin szczerze żałowała, że nie ma w zanadrzu żadnej techniki, dzięki której mogłaby niespostrzeżenie zmienić temat rozmowy. Na szczęście dla niej na stół wjechały akurat dwie duże szklanki z mrożoną herbatą i trochę jej ulżyło, ale już po chwili okazało się, że może być znacznie gorzej. Gdzieś nieopodal za jej plecami rozległ się męski śmiech do złudzenia przypominający śmiech Cole'a. Cała zamieniła się w słuch i jakby od niechcienia zaczęła lustrować wzrokiem sąsiednie stoliki. To musiał być on, nie mogła się pomylić. Nagle oddech uwiązał jej w krtani.

– On tu jest – powiedziała zdławionym szeptem, nie potrafiąc w tej sytuacji zdobyć się na milczenie, choć znacznie lepiej byłoby trzymać język za zębami.

– Kto? – zapytała Angela wyrwana z rozmyślań.

– Cole – odparła Robin jeszcze ciszej. – Słyszałam jego śmiech. Odchyliła się nieco do tyłu, by zajrzeć do środka lokalu, do sali, i szybko przeleciała wzrokiem po wszystkich twarzach, jednak nie znalazła swojego sąsiada.

– A jak on wygląda? – spytała szeptem Angela. Mogłaby go opisać co najmniej na sto sposobów, ale teraz trzeba było podać krótki rysopis. Tylko co jej miała powiedzieć? Że ma ciemne, krótko przystrzyżone włosy, oczy w kolorze kawy i jest bardzo wysoki? Ten opis wydał się jej mało charakterystyczny, a więc niewystarczający i przecież pasowałby dla tysiąca innych



mężczyzn. To, że był zabójczo przystojny, tylko jeszcze bardziej komplikowało sprawę,

– Powiedz, na litość boską, kogo mam szukać. No dalej, Robin, chcę zobaczyć twojego idola. Nie mogę pozwolić, by taka okazja przeleciała mi koło nosa. Założę się, że jest wspaniały... – dokończyła zniżonym głosem.

Robin jednak nadal milczała, sparaliżowana sytuacją. Obejrzała się dyskretnie za siebie, chcąc dojrzeć twarze gości siedzących za jej plecami. Wciąż jednak nie zauważyła nikogo, kto choćby w przybliżeniu przypominał jej Cole'a. Wcale nie była pewna, czy pokaże go Angeli, nawet gdyby rzeczywiście gdzieś tam był. Wprawdzie nienawidziła kłamać, ale wyglądało na to, że tym razem nie będzie to konieczne. Może ta cała sytuacja była jedynie wytworem jej wyobraźni, co wydawało się całkiem możliwe, biorąc pod uwagę, że myślała o nim niemal bez przerwy, a natrętne pytania Angeli tylko jeszcze wyraźniej przywoływały obraz Cole'a. Wciąż rozmawiały tylko o nim, więc chyba całkiem naturalne by było, gdyby... Nagle serce zaczęło jej walić jak młotem, a oddech zamarł w piersiach. Z restauracyjnego foyer wyszedł Cole. Nie był sam.

Trzymała go pod rękę wysoka, szczupła kobieta, z nogami zdającymi się sięgać nieba, o pięknie wyrzeźbionej figurze tancerki. Była najbardziej zniewalającą blondynką, jaką Robin kiedykolwiek widziała. W porównaniu z nią czuła się niczym chwast przy klasycznej róży. Szli pod rękę, a ona uśmiechała się do niego swoimi ogromnymi błękitnymi oczami, które pewnie każdemu facetowi zawróciłyby w głowie. Robin poczuła, jak zaciska się jej żołądek.

– Robin? – zapytała Angela z niepokojem, pochylając się do przodu. – Co się dzieje?

Cole przechodził właśnie obok ich stolika. Robin, nie chcąc, by ją zauważył, zanurkowała w tej samej chwili pod stół pod pretekstem, że musi poszukać portfela.

– Robin – syknęła Angela, zaglądając pod stół – co ty wyprawiasz?

– Nic, dlaczego? – udała, że nie wie, o co chodzi, choć oczywiste było, że postępuje irracjonalnie. Zrobiło się jej niedobrze. Chyba jeszcze nigdy nie zachowała się tak zupełnie bez klasy jak przed chwilą. – Nic się nie dzieje, po prostu szukam portfela.

– Po co ci teraz portfel?

– No dobra, a uwierzysz, że spadła mi serwetka?

– Chyba nie bardzo...

Nagle w polu widzenia Robin, która wciąż mocno przygięta udawała, że szuka czegoś pod stołem, pojawiła się para czarnych wypolerowanych butów.

Odwróciła powoli głowę i jej wzrok powędrował ku górze. Potem przymrużyła oczy, by mimo oślepiającego słońca dostrzec ich właściciela. Na szczęście był to kelner. Wyprostowała się, oddychając z ulgą. Cole zniknął, a w każdym razie nie było go już nigdzie w pobliżu.

– Zobaczyłaś go, prawda? – powiedziała Angela z wyrzutem w głosie i nadąsaną miną.

Nie było sensu udawać, że jest inaczej, więc kiwnęła głową.

– Był z kimś...?

– Nie tylko z kimś, ale z najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałam. Szła u jego boku i trzymała go pod rękę.

– To jeszcze nic nie znaczy. – Angela wzruszyła ramionami. – Nie sądzisz, że trochę za szybko wyciągasz wnioski? To wcale jeszcze nie oznacza, że jest dla niego kimś ważnym.

Robin naprawdę nie miała teraz ani siły, ani ochoty na walkę słowną. To, co zobaczyła, ściągnęło ją na ziemię, czyli tu, gdzie było jej miejsce.

– Przecież to mogła być klientka! – Angela nie dawała za wygraną.

– Tak, pewnie masz rację – przyznała Robin i sięgnęła po widelec, choć nie miała zielonego pojęcia, jakim sposobem mogłaby teraz przełknąć choćby jedną krewetkę, a co dopiero całą potężną porcję. Westchnęła ciężko i desperacko wbiła widelec w kawałek sałaty. Mimowolnie uniosła wzrok i spojrzała przed siebie. Ku jej przerażeniu po drugiej stronie ulicy stał Cole ze swoją boginią. Pograżeni byli w rozmowie, więc naprawdę nie miała pojęcia, dlaczego akurat w tej sekundzie spojrzał dokładnie w jej kierunku. Gdy napotkał ją wzrokiem, zamarł w pół słowa, jakby zaszokowany tym niespodziewanym widokiem.

Za to Robin, jak gdyby nigdy nic, wsunęła szybko do ust liść sałaty dyndający na widelcu, udając, że pochłonięta jest jedzeniem. Po chwili, gdy mimowolnie raz jeszcze spojrzała w tym kierunku, Cole'a już nie było.

– Mamo, ale ja muszę przecież z kimś poćwiczyć – jęknął Jeff, który stał teraz tuż przed nią, trzymając w jednej ręce kij do baseballa, a w drugiej piłkę.

– Sądziłam, że ćwiczysz razem z Jimmym.

– Musiał iść do domu. Potem Kelly rzuciła mi kilka piłek, ale też musiała iść do domu. Poza tym to dziewczyna.

– A ja to co, nie dziewczyna?

– Ale ty jesteś moją mamą – odparł Jeff. – Mam szansę zostać rzucającym w naszej drużynie, jeśli tylko znajdę kogoś, kto ze mną poćwiczy.

– No, dobrze – Robin odłożyła na bok druty i sweterek i wyszła z synem do ogrodu.

Jeff wręczył jej rękawicę do baseballa i ustawił ją plecami do posesji sąsiada. Wprawdzie nie udało się jej całkowicie unikać Cole'a przez ostatni

tydzień, ale przynajmniej zachowała jakiś dystans do całej tej historii. On zresztą też najwyraźniej nie dążył do spotkania. No i bardzo dobrze, utwierdzała się w przekonaniu, że lepiej będzie, gdy pozostanie po swojej stronie płotu. Kiedyś, gdy minął ją w drodze do pracy, machnął tylko bezmyślnie ręką, a ona machinalnie odwzajemniła ten gest. A gdy zdarzyło się, że wychodzili akurat w tym samym momencie z domu, wymienili tylko uśmiechy i uprzejme pozdrowienia, ale nic poza tym. Miała wrażenie, że Cole spędza teraz więcej czasu poza domem. Ona zresztą też starała się trochę wychodzić.

Jeff przebiegł na drugi koniec ogrodu i zawołał:

– No dobra, kucnij!

– Słucham? – odkrzyknęła oburzona. – Nie było mowy o kucaniu!

– Mamo – Jeff był zniecierpliwiony – przecież mam teraz rzucać, a ty łapać, więc musisz kucać.

Marudząc pod nosem, że to głupie i że zabrudzi sobie spodnie, uklękła.

– No przecież nie tak! – Jeff, załamany, rozłożył bezradnie ręce.

Potem powiedział coś, czego do końca nie zrozumiała, ale chodziło o filozoficzne zgoła pytanie, dlaczego mamy nie mogą być chłopakami. W końcu, z wyraźną niechęcią, przybrała postawę, o którą poprosił. Była pewna, że jej kolana długo tego nie wytrzymają.

Jeff zamachnął się i rzucił pierwszą piłkę. W tym samym momencie Robin zamknęła oczy i wyciągnęła do przodu rękę odzianą w grubą rękawicę. Była tak zdziwiona, że złapała piłkę, że z wrażenia przewróciła się na trawę.

– Super, mamo! Wszystko w porządku? – zawołał Jeff, biegnąc w jej kierunku.

– W porządku, w porządku. – Podniosła się, otrzepała spodnie i ustawiła się w odpowiedniej pozycji w oczekiwaniu na kolejną piłkę.

Jeff wrócił na swoje miejsce i przymierzył się do rzutu. Znowu zamknęła oczy, ale tym razem nic się nie wydarzyło. Ostrożnie otworzyła więc jedno oko, zdziwiona tym opóźnieniem. Wtedy przypomniało się jej, jakie ruchy wykonywali w podobnej sytuacji gracze w telewizji i sama też kilkakrotnie zacisnęła palce.

– Co to było? – zapytał Jeff, oparłszy rękę na biodrze.

– Sygnał... chyba. Widziałam to w telewizji, gdy była transmisja z meczu.

– Daj spokój, pozostaw to zawodowcom, a ja chcę tylko, żebyś łapała moje piłki i odrzucała je. Z otwartymi oczami będzie ci łatwiej...

– Staram się.

– Dziękuję.

W głosie Jeffa słychać było irytację. Tylko dlaczego? Przecież starała się, jak mogła. W takich chwilach jak ta tęskniła za Lennym najbardziej. Kiedy rodzice mieszkali jeszcze w pobliżu, jej ojciec wpadał zawsze, gdy Jeff potrzebował ojcowskiej ręki, ale odkąd przenieśli się do Arizony, skończyło się i to. Z kolei rodzice Lenny'ego mieszkali w Teksasie i nie pojawili się u nich od pogrzebu, mimo że matka Lenny'ego co roku przysyłała Jeffowi prezenty na urodziny i na święta.

– Gotowa? – krzyknął Jeff.

– Tak, gotowa!

Nastawiła rękę, by złapać tę głupią piłkę, gdyż najwyraźniej było to dla jej syna bardzo ważne. On zrobił krok do przodu i zamachnął się, ale przygotowania do rzutu trwały całą wieczność, aż ją zaczęły boleć kolana.

– Rzucisz wreszcie, czy będziesz się tak gapił przed siebie? – zawołała.

– No nie – zezłościł się Jeff i rzucił piłkę o ziemię. – Dlaczego burzysz mi koncentrację?

– A na czym się tu chcesz tak koncentrować? – Wyprostowała bolące nogi, które zaczęły jej mrowieć.

– Nie, tak się nie da – prychnął Jeff załamany, idąc w jej kierunku. – Kelly jest dopiero w trzeciej klasie, a robi to znacznie lepiej od ciebie.

Postanowiła zignorować słowa syna. Przyłożyła rękę do krzyża w nadziei, że ból zaraz minie.

– Cześć, Jeff! Cześć, Robin! – usłyszała za swoimi plecami.

Raptownie się wyprostowała i przeszył ją jeszcze większy ból.

– Dzień dobry, panie Camden! – krzyknął euforycznie Jeff, jak gdyby ich sąsiad był bohaterem powracającym prosto z wojny. – Gdzie pan był przez cały tydzień?

– Byłem zajęty – odparł Cole i przeniósł wzrok na Robin.

Próbowała oderwać od niego oczy, ale nie było to takie proste. Jego spojrzenie jakby pytało, czemu go unikała, jej zaś próbowało przekazać, że to on jej unikał.

– Musiał być pan naprawdę zajęty, bo od wielu dni w ogóle pana nie widziałem.

W tym momencie przez dziurę w płocie przecisnął się Blackie i podbiegł do chłopca. Jeff ukląkł koło psa i mocno go przytulił.

– Jak twój baseball? – zapytał Cole.

Jeff posłał mamie zdeglustowane spojrzenie i wzruszył ramionami.

– Chyba w porządku.

– A na jakiej grasz pozycji?

– Mógłbym być rzucającym, ale nie mogę znaleźć nikogo, z kim można by było poćwiczyć. Kelly próbowała, ale jest dziewczyną, a mama, niechętnie to mówię, ale sobie nie radzi.

– Staralam się – zaprotestowała Robin – i złapałam piłkę.

- Z zamkniętymi oczami – wyjaśnił sceptycznie Jeff.
  - To może do mnie porzucasz? – zaproponował Cole.
- Jeff zamrugał powiekami, sądząc, że się przesłyszał.
- Do pana? Mam porzucać do pana?
  - Tak.
  - Na pewno?
  - Na pewno.

Jeff miał trudną do opisanía minę, gdy Cole jednym susem przeskoczył przez płot, ostatecznie rozwiewając wątpliwości chłopca, na którego twarzy malował się teraz szeroki uśmiech. Przez ułamek sekundy Robin stała zagubiona, nie wiedząc, jak powinna się zachować i co powiedzieć. Spojrzała niepewnie na Cole'a, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Była mu niezmiernie wdzięczna za tę propozycję, ale też zmieszana i podekscytowana zarazem jego obecnością.

- Mamo – zawołał Jeff – jakbyś nie zauważyła, stoisz na boisku.
- Będziesz tak miła – zwrócił się do niej Cole zniżonym głosem – i zrobisz mi potem kawę, i zaprosisz na miłą pogawędkę?
- Muszę jeszcze załatwić kilka spraw i... i... – wydusiła z trudem Robin, nie mając pojęcia, co właściwie chce powiedzieć.
- Chyba musimy pogadać – ciągnął dalej Cole, nie spuszczać jej z oczu.
- Mamo, zejdziesz z boiska?
- Tak, tak, już schodzę. – Szybkim krokiem weszła na taras i stamtąd przyglądała się śmigającym w powietrzu piłkom. Po kilkunastu rzutach Cole przerwał na chwilę grę i podszedł do Jeffa, żeby go poinstruować. Robin niechętnie wróciła do domu. Zaczęła krzątać się po kuchni, która i tak już była



wysprzątana na błysk, i próbowała przestać myśleć o tej piękności, którą widziała u boku Cole'a w porcie.

Nagle do domu wbiegł Jeff.

– Mamo, czy nie masz nic przeciwko temu, żeby pan Camden przywiązał starą oponę do naszej jabłoni?

– Chyba nie, a po co?

– Bo będę wtedy mógł samodzielnie ćwiczyć rzuty i nie będę musiał zwracać głowy ani tobie, ani Kelly.

– Ale chyba nie mamy żadnej starej opony – powiedziała Robin.

– O to się nie martw, pan Camden ma i da mi ją.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, już go nie było.

W kilka minut później znowu zjawił się w ogrodzie razem z Cole'em, co nie do końca było jej na rękę. Uśmiechnęła się blado. Tamta kobieta była tak nieskończenie idealna, pomyślała, bez najmniejszej skazy, zupełnie jak z bajki o królewnie, którą porywa rycerz w lśniącej zbroi na białym koniu. Nie to co ja, opuszczony Kopciuszek, pomyślała zestresowana.

Z rozmyślań wyrwał ją Cole, który wszedł właśnie do kuchni, a w ślad za nim Jeff.

– Czy nie czas już na kąpiel? – zapytał chłopca.

Przez moment zanosilo się na to, że Jeff zacznie się wyklócać, jak to miał w zwyczaju, i chyba po raz pierwszy w życiu Robin nie miałaby nic przeciwko temu.

On jednak, jakby nigdy nic, odparł posłusznie:

– Chyba tak – choć wieczorną kąpiel kochał tak samo jak odrabianie pracy domowej.

– Nie zrobiłam jeszcze kawy – powiedziała niepewnie. A prawda była taka, że po prostu nie potrafiła patrzeć na Cole'a, by nie widzieć obok niego tamtej kobiety.

– Nic nie szkodzi, właściwie bardziej zależy mi na tym, żeby porozmawiać. – Pewnym krokiem podszedł do stołu, odsunął krzesło i usiadł, wskazując jej miejsce obok.

– Musimy porozmawiać... o tym pocałunku...

– Proszę, nie – szepnęła Robin przerażona. – To przecież nic nie znaczyło. Oboje mieliśmy za sobą szalony tydzień, byliśmy zmęczeni, a do tego ja nie byłam sobą...

Poczuła jego palące spojrzenie, jakby przewiercał ją wzrokiem na wylot.

– Więc dlaczego płakałaś?

– Nie wiem... Gdybym wiedziała, powiedziałabym ci, ale naprawdę nie wiem. Czy nie możemy o tym zwyczajnie zapomnieć?

– Staralem się to zrobić przez cały tydzień – przeczesał nerwowo palcami włosy – ale nic z tego, po prostu nie dałem rady.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

– Ja wymazałam to z pamięci i chciałabym, żebyś ty również to zrobił.

– Uwierz mi, próbowałem, ale zwyczajnie nie mogę. – Jego usta rozplynęły się w uśmiechu, a oczy, wciąż bacznie się jej przypatrując, zdawały się mówić „nie oszukasz mnie”. – Też było mi trudno się do tego przyznać...

– Ja... – zaczęła Robin, ale słowa uwięzły jej w krtani.

Na jego twarzy malowało się wyczekiwanie. Nie wiedziała, jak to się stało, ale nagle znalazła się w jego objęciach i po raz pierwszy od śmierci męża poczuła się bezpieczna. To błogie odczucie zupełnie ją oszołomiło, a gdy wsunął jej palce we włosy, odpłynęła na dobre. Jeszcze jej nie pocałował, a już czuła tę niewypowiedzianą obietnicę czegoś niezwykłego, co za chwilę miało się zdarzyć. I choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, pragnęła, by trzymał ją mocno i nie wypuszczał z ramion. I wtedy pochylił się, a jego gorące wargi dotknęły jej ust. Musiał wyczytać to pragnienie z jej oczu. Potem patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a był tak blisko, że czuła na sobie jego ciepły oddech. Przyciągał ją do siebie jak magnes, i tylko dzięki resztkom zdrowego rozsądku i sił, które jakimś cudem udało jej się wykrzesać, szepnęła cicho:

– Nie, proszę... – Więcej nie była w stanie powiedzieć, ale chcąc wzmocnić działanie tych dwóch krótkich słów, pokręciła głową.

– Tak... proszę – odszepnął Cole i w chwilę później ich usta się złączyły.

Pocałunek był cudowny jak wtedy, tyle że bardziej intensywny i bardziej namiętny. Poruszył ją do głębi i wbrew własnej woli poczuła, że ulega czarowi tej chwili, że bez reszty się w niej zatracza, że wręcz zapomina oddychać. Cole pokrywał teraz drobnymi pocałunkami całą jej twarz. Westchnęła rozmarzona. To było takie cudowne! Nic nie mogła na to poradzić, nie potrafiła się oprzeć

temu zniewalającemu mężczyźnie. Jego dotyk był magiczny i nie mogła winić się za to, że tak trudno było się jej wyrwać spod działania tego czaru. Odchyliła do tyłu głowę, odsłaniając szyję. Natychmiast i tam poczuła jego usta, spełniające tę milczącą, nieświadomioną prośbę. Myśli Robin zaczęły się niebezpiecznie zapełniać zmysłowymi wyobrażeniami.

Nieskończenie cudownie czuła się w jego ramionach, ciepło i bezpiecznie. Jednego tylko nie rozumiała: dlaczego to robił. Widziała go przecież z inną kobietą, kobietą, która znacznie lepiej do niego pasowała niż ona. Czyż przez ostatnie dni nie cierpiała katuszy na myśl, że może to właśnie z nią spędza swoje weekendy?

– Nie, proszę, nie... – westchnęła, ale nawet dla jej uszu brzmiało to mało przekonywająco.

On jednak gorącymi pocałunkami stłumił wszelki jej opór.

– Czemu tak ze mną walczysz, czemu tak się bronisz? – szepnął. Objął dłońmi jej twarz, która znowu była cała wilgotna. Nawet nie zauważyła, że po policzkach płyną jej łzy.

Na schodach rozległy się kroki. Na myśl, że Jeff mógłby znaleźć ją w objęciach Cole'a, wpadła w panikę. Wyszła z niego i podeszła do okna, zatapiając wzrok w nieprzeniknionej ciemności. Miała nadzieję, że uda jej się szybko pozbierać.

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wparował Jeff.

– Już się pocałowaliście? – zapytał bez ogródek. Jednak nie czekając na odpowiedź, podeszedł do Robin i wziął ją za rękę. – Mamo – spojrzał na nią badawczo – a co ty o tym myślisz?

– Ale... o czym? – spytała zmieszana.

– No, o pocałunku pana Camdena, zrobił to już czy nie?

Chciała zaprzeczyć, ale jakoś nie umiała.

– Nie bardzo wiem, co ci mam odpowiedzieć...

– No, czy się już wreszcie pocałowaliście, jak na tych twoich filmach?

– Wygląda na to, że tak.

– I jak?

– Ale co jak? Mam ocenić ten pocałunek w skali od jeden do dziesięciu?

Jeff zawahał się, po czym spojrzał z powątpiewaniem na Cole'a.

– Mama ma u mnie dziesięć punktów – niespodziewanie wyparował Cole z szerokim uśmiechem na ustach.

– No dobra... niech będzie – powiedziała Robin. – Mocna siódemka.

– Mocna siódemka – powtórzył Jeff i pokręcił z niezadowoleniem głową. Potem podszedł do Cole'a i spojrzał na niego jak mężczyzna na mężczyznę. – Wyszła z wprawy – powiedział nieco konspiracyjnie – i zapomniała, jak to jest. Musi pan być dla niej wyrozumiały i dać jej trochę czasu do namysłu.

– Jeff! – Robin nie wierzyła własnym uszom. Ta rozmowa nie mogła odbywać się naprawdę i nie mógł przecież tego mówić jej dziesięcioletni synek! To musiał być jakiś koszmarny sen! Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Cole'a i ze zdziwieniem stwierdziła, że wyglądał na całkiem zadowolonego z obrotu sprawy.

– Prawie w ogóle nie wychodzi z domu – ciągnął dalej Jeff. – Wprawdzie ma tę przyjaciółkę, która koniecznie chce ją wyswatać i organizuje dla niej randki, ale to bez sensu. Nie uwierzyłby pan, z kim się spotykała. Taki jeden kiedyś tu przyszedł do domu... – Jeff machnął ręką i przewrócił aż nazbyt znacząco oczami.

– Jeff, dość tego – powiedziała ostro. – Wystarczy już!

– Ale ktoś musi mu to przecież wreszcie powiedzieć – zaprotestował chłopiec. – Inaczej pan Camden nigdy nie będzie wiedział, o co tu chodzi.

– Pan Camden właśnie wychodził. – Tu spojrzała porozumiewawczo na Cole'a, dając mu do zrozumienia, że nie zniesie sprzeciwu.

– Tak, racja, twoja mama miała mnie właśnie odprowadzić do drzwi, prawda, Robin? – Cole podszedł do niej, wziął ją za rękę i ruszyli do drzwi wyjściowych.

Nie stawiała oporu, a Jeff z szerokim uśmiechem na ustach pokazał Cole'owi kciuk uniesiony do góry, jak gdyby chciał powiedzieć: super, właśnie tak trzymaj!

– A teraz – powiedział zniżonym głosem Cole, gdy znaleźli się już sami w przedpokoju – chcę wiedzieć, co jest nie tak?

– Ale dlaczego? Co ma być nie tak?

– Czy to z powodu Victorii?

– Victorii? Jakiej Victorii? – udawała, że nie rozumie, o co mu chodzi, choć domyślała się, że to imię tej kobiety, z którą widziała go w restauracji.

– Dobrze wiesz, o co chodzi, dokładnie widziałem, jak nurkujesz pod stół, udając, że mnie nie widzisz.

– Ja? No coś ty! – próbowała udąć obojętność, ale czuła, że głos jej drży.  
– Nie rozumiem, czemu miałabym nurkować pod stół.

– No właśnie, dlaczego?

Nic nie odpowiedziała. Nie potrafiła nic sensownego wymyślić. Wmówiła sobie, że nie ma dla niej żadnego znaczenia, czy Cole ma jakąś kobietę, a jednak miało większe, niż chciała przyznać.

– Proszę, powiedz mi – nalegał.

Robin spuściła wzrok. Może gdyby nie te jego ręce, których dotyk rozpraszał ją przez cały czas, mogłaby jaśniej myśleć.

– Pasujecie do siebie, stanowi dla ciebie idealne uzupełnienie – powiedziała w końcu. – Taka wysoka, niesamowicie atrakcyjna blondynka i...

– ...zimna jak lód – dokończył Cole. – Victoria jest jedynie moją współpracowniczką, jedliśmy razem lunch i nic poza tym. Jest dla mnie mniej więcej tak pociągająca, jak... góra lodowa.

– Proszę, nie tłumacz się, Cole, przecież to nie moja sprawa, z kim jadasz lunch czy widzisz się w weekendy. Nie powinno mnie interesować, z kim spędzasz czas. Naprawdę byłoby lepiej, gdybym milczała. Nie wiem, po co w ogóle się odzywałam. To błąd z mojej strony, duży błąd...

– I co, jak mają się sprawy? – zawołał Jeff, wyglądając z kuchni.

– Dobrze – odchrząknęła – właśnie dziękuję Cole'owi, że poćwiczył z tobą rzuty piłką.

– Wiem, to super z jego strony – potwierdził Jeff.

– Może dziewczyny są nawet czasem całkiem fajne, ale baseball nie jest ich mocną stroną.

Robin otworzyła drzwi.

– Dziękuję – szepnęła – za wszystko.

– Wszystko?

Na myśl o pocałunku oblała się rumieńcem i zanim przyszła jej do głowy błyskotliwa riposta, Cole musnął ją ustami.

– Hej, Cole – Jeff podbiegł do drzwi – mam mecz baseballowy w czwartek wieczorem, przyjdiesz?

– Bardzo chętnie – odrzekł Cole, patrząc Robin głęboko w oczy. Po chwili odwrócił się i wyszedł.

– Jeff, jeśli natychmiast nie wyjdziemy, spóźnisz się na mecz – powiedziała ostrzegawczo Robin.

– Ale Cole wciąż jeszcze nie wrócił do domu – zaprotestował Jeff – a przecież obiecał mi, że będzie.



– Na pewno jest na to jakieś dobre wytłumaczenie – próbowała go pocieszyć, choć sama była równie zawiedziona co jej syn. – Może utknął w korku albo musiał dłużej zostać w pracy. Jest naprawdę tysiąc różnych możliwości, ale jestem więcej niż pewna, że nie zapomniał o tobie i że nie robi tego naumyślnie. – Chodź już, musimy iść, to twój wielki dzień. – Był to pierwszy mecz w tym sezonie i Jeffowi przydzielono upragnioną pozycję głównego rzucającego. Jeff był święcie przekonany, że tylko dzięki pomocy Cole'a udało mu się awansować w drużynie. Jeszcze mu o tym nie powiedział, bo chciał, żeby to była niespodzianka.

– Jak zobaczysz Cole'a, nic mu nie mów, że jestem w drużynie pitcherem, dobrze? – powiedział, gdy szli do samochodu. – Sam chcę mu o tym powiedzieć, a zresztą może zobaczy, jeśli przyjdzie...

– Oczywiście, będę milczeć jak grób.

Wsiedli do samochodu, ale Robin cały czas zerkała przez ramię, a potem do lusterka, czy przypadkiem nie nadchodzi Cole. W końcu włączyła silnik i ruszyła z miejsca. Mecz miał się rozegrać w parku Balboa nieopodal ich domu, a więc dojazd nie zajął dużo czasu. Robin usiadła wysoko na trybunach, żeby mieć dobry widok na boisko i na park. Cole wiedział wprawdzie, gdzie ma się odbyć mecz, ale nie wiedział, w którym miejscu, a park był naprawdę duży. Wyobrażała sobie, że straci sporo czasu, nim ich tam odnajdzie.

W drugiej części meczu dosiadła się do niej Heather Lawrence.

– Cześć – powiedziała na powitanie. – Jaki jest wynik?

Robin uśmiechnęła się i powiedziała:

– Na razie zero do zera, ale to dopiero druga część.

– A co u was słychać?

– Och, Jeff ma się świetnie, naprawdę zaskakująco dobrze sobie radzi.

Chyba bardziej przeżywam ten mecz od niego.

– Doskonale to rozumiem, że mną jest podobnie – uśmiechnęła się Heather. – Kiedy w zeszłym roku Kelly grała w swojej drużynie piłki nożnej na pozycji bramkarza, każdy gol przeciwników był dla mnie jak prawdziwy cios w serce. Myślałam, że osiwieję z nerwów.

– A właśnie, gdzie jest Kelly?

Heather pokazała głową przeciwległą stronę boiska. Dziewczynka stała oparta o drzewo i przyglądała się grze.

– Nie chciała, żeby Jeff wiedział, że przyszła go oglądać. Mecz jej drużyny skończył się zaledwie przed kilkoma minutami. Przegrali, ale to ich pierwszy rok i gra przypominała bardziej komedię pomyłek – powiedziała Heather i się roześmiała.

To miło, pomyślała Robin, że Heather wpadła, by zobaczyć, jak idzie Jeffowi.

– Jeff dużo mówi ostatnio o Cole'u Camdenie... – rzuciła niespodziewanie. Bardziej to zabrzmiało jak pytanie niż jak stwierdzenie faktu. Wzrok miała utkwiony w boisko.

– Serio? – Robin nie bardzo wiedziała, jak ma zareagować. – Cole był tak miły, że zaoferował Jeffowi swoją pomoc przy rzutach i trochę go podszkolił.

– Ale wy też chyba coraz lepiej się dogadujecie?

Dziwnym trafem zaczęło jej to trochę przypominać rozmowę z Angelą.

– Muszę powiedzieć – ciągnęła dalej Heather – że jestem zadziwiona zmianami, jakie zauważyłam u Cole'a, odkąd się tu wprowadziliście. Kelly marzyła o tym, by wejść do tej kryjówki w jego ogrodzie, odkąd tylko dowiedziała się o jej istnieniu, ale udało się to dopiero wtedy, gdy zabrał ją tam ze sobą Jeff.

– To fakt, Cole jest bardzo dobry dla mojego syna – powiedziała nostalgicznie Robin, skupiając wzrok na rozgrywce. Jej myśli były jednak

skoncentrowane na czymś zupełnie innym, zaczęła się zastanawiać nad pobudkami Cole'a. Stracił syna, co z pewnością pozostawiło bolesną rysę w jego sercu. Na początku nie pozwalał wchodzić Jeffowi na swoją posesję ani nie pochwalał jego przyjaźni z Blackiem. Nagle jednak jakby to wszystko odeszło w niepamięć, a Jeff niemal każdego dnia bawił się w jego ogrodzie z jego psem i to z pełnym błogosławieństwem właściciela. Miał też niemal ciągły dostęp do tajemniczej kryjówki i często zabierał tam ze sobą inne dzieci z sąsiedztwa, a więc i na to Cole musiał wyrazić zgodę. Może dostrzegł więc w Jeffie w pewnym sensie substytut syna, jakąś rekompensatę, którą zesłał mu los. Trudno byłoby jednak go o to zapytać, i Robin postanowiła dłużej o tym nie rozmyślać.

– Szczerze mówiąc, Jeff prawie cały czas mówi o Cole'u. Dziś rano też był szalenie podekscytowany i opowiadał, że Cole ma przyjść obejrzeć mecz. Stało się coś? Czyżby utknął w pracy?

– Nie wiem, najwyraźniej coś go zatrzymało, skoro się spóźnia. O, proszę, o wilku mowa. – Na twarzy Robin pojawił się szeroki uśmiech. – Właśnie przyszedł, jest tam.

– Odkąd mieszkamy na Orchard Street, rozmawiałam z nim może kilka razy. Zawsze trzymał się na dystans i widywałam go praktycznie wyłącznie wtedy, gdy akurat oboje robiliśmy coś w ogrodzie. A na ulicy, gdy się przypadkiem spotykaliśmy, na ogół wymienialiśmy krótkie pozdrowienie i na tym koniec. Byłam szczerze zaszokowana, gdy ostatnio wpadliśmy na siebie w sklepie, bo uśmiechnął się do mnie. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło i wydaje mi się, że ta przemiana nastąpiła dzięki tobie i Jeffowi.

– A ja myślę, że przypisujesz nam zasługi, których wcale nie mamy – powiedziała Robin, obserwując uważnie Cole'a.

– Wcale nie, może nie widzisz tej zmiany w jego zachowaniu, bo jesteś tu nowa, ale każdy, kto go zna trochę dłużej, powie ci, że stał się innym człowiekiem.

Jeff, który siedział teraz na ławce rezerwowych, wstał nagle i zaczął entuzjastycznie machać. Jego twarz rozświetlił promienny uśmiech. Podeszedł do trenera, wymienili kilka słów, a potem Jeff ruszył biegiem w stronę trybun, gdzie stał Cole. Robin odczuła niespodziewaną ulgę. Nawet nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo była spięta. Doskonale rozumiała niepokój syna i niemal fizycznie odczuwała rozczarowanie, które przeżywał, zwłaszcza że Cole właściwie nigdy dotąd go nie zawiódł.

– Dobra, Robin, będę już lecieć, pogadamy przy następnej okazji.

– Jasne, wielkie dzięki, że wpadłaś.

Heather zeszła w dół schodami i jeszcze raz się odwróciła, żeby pomachać sąsiadce. Robin przez chwilę odprowadzała ją wzrokiem, a potem spojrzała na Jeffa. Wszedł właśnie na boisko, a raczej biegł w stronę kolejnej bazy. Gdy rzucił jej krótkie spojrzenie, widziała, że jego twarz promieniała szczęściem. Uniosła do góry kciuk na znak, że cieszy się razem z nim, gdy nagle usiadł obok niej Cole.

– Przepraszam za to spóźnienie, ale utknąłem na biznesowym spotkaniu. Gdy wreszcie mogłem zadzwonić, nie było was już w domu, a na komórkę nie dostałem numeru...

– Domyślaliśmy się, że coś cię musiało zatrzymać...

– Proszę, proszę, Jeff został rzucającym – powiedział nagle, nie skrywając dumy.

Był naprawdę zdziwiony i miło zaskoczony.

– Uważa, że to wyłącznie dzięki tobie.

– Jakoś mi to wcale nie przeszkadza. – Cole wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale ma prawdziwy talent, nauczyłem go jedynie trochę dyscypliny i pokazałem, jak może trenować sam.

– Gdyby sądzić po tym, co mówi, ty go nauczyłeś wszystkiego, co wie na temat baseballu.

Cole pokręcił głową.

– W każdym razie cieszę się, że nie przegapiłem całego meczu.

– Na szczęście to dopiero pierwszy mecz w tym sezonie, będą kolejne – powiedziała Robin. W głębi duszy jednak była bardzo szczęśliwa, że się pojawił. Odkąd wyszli z Jeffem z domu, oboje wyczekiwali w napięciu Cole'a. Ją mógł sobie spokojnie wystawiać, ale nie wybaczyłaby mu, gdyby zawiódł jej syna. Więc odczuwała tak intensywny niepokój tylko dlatego, że Cole spóźnił się na mecz do parku Balboa? Nagle uderzyło ją i przeraziło, jak bardzo Jeff stał się od niego zależny i, co gorsze, nie tylko Jeff.

– Wiem, ale to bardzo ważny moment dla Jeffa – powiedział, jakby czytał w jej myślach. – Nie mogłem go zawieść. Może gdyby chodziło o kogokolwiek innego, nie miałbym z tym takiego problemu, ale Jeff stał się dla mnie ważny – wyznał. Zawiesił na chwilę głos i spojrzał na nią. – Tak samo jak ty – dodał po krótkim milczeniu.

Robin poczuła się tak, jakby ogromny kamień spadł jej z serca. Po raz pierwszy od śmierci Lenny'ego dostrzegła, że dotąd uspiła bez reszty wszystkie pragnienia, całe życie, nie chcąc nikogo wpuścić do swojego świata. A wszystko w obawie, by ktoś nie zranił jej lub jej synka. Od lat nosiła w sercu ogromny żal, do którego trudno było się jej przyznać, nawet przed samą sobą, i z którym nie umiała walczyć. Angela miała tu całkowitą rację, rzadko chodziła na randki i zawsze za sprawą namowy, a do tego wszystkich potencjalnych adoratorów trzymała na bezpieczny dystans. Jednak w przypadku Cole'a

wyglądało to całkiem inaczej, nie potrafiła jakoś swoich zasad wprowadzić w życie, choć nie rozumiała, co było tego przyczyną. Przeczuwała aż nadto wyraźnie zbliżające się poważne niebezpieczeństwo, że zakocha się w tym mężczyźnie i to bez reszty, po same uszy.

– Zjedliście już kolację? – zapytał Cole.

– Nie, Jeff był zbyt przejęty, żeby coś zjeść – powiedziała pospiesznie, wyrwana z rozmyślań, gdy się już zorientowała, że Cole czeka na odpowiedź.

– To świetnie, niedaleko stąd jest wspaniała chińska restauracja i moglibyśmy iść tam po meczu, aby uczcić rozpoczęcie sezonu.

– Byłoby miło... – odparła z uśmiechem, jednocześnie zastanawiając się usilnie nad tym, jak by się tu wymigać od tego wspólnego wypadu. Gdzieś tam, głęboko w podświadomości, tliła się w niej jednak myśl, że tak naprawdę wcale nie chciała tego uniknąć.

– Mogę jeszcze trochę ryżu? – zapytał Jeff.

Robin patrzyła ze zdziwieniem, jak Cole podaje mu salaterkę z ryżem, a jej syn nakłada sobie już trzecią porcję na talerz.

– Wygraliście – westchnęła raz jeszcze z zadowoleniem – jestem taka dumna.

– Mamo, nie powtarzaj wciąż tego samego, mówisz to już czwarty raz. Wiem przecież, że wygraliśmy – powiedział Jeff i przepaszająco spojrzał na Cole'a, jakby chciał się usprawiedliwić za swoją mamę. Najwyraźniej cierpiał z powodu tego przyływu nadopiekuńczości.

– Ale byłeś fantastyczny, synku! – Naprawdę nie mogła się nacieszyć, była taka dumna.

– Nie tylko ja, cała drużyna była super. – Chłopiec sięgnął po kolejne sajgonki i nalał sobie trochę sosu na talerz.



– Ale ja naprawdę nie wiedziałam, że taki z ciebie świetny gracz – ciągnęła dalej, wciąż pod wrażeniem sportowych zdolności syna. – OK, wiedziałam, że dobrze rzucasz, ale najpierw jedna baza, a potem druga... Jeff, nawet nie wiesz, jaka jestem z ciebie dumna! I oczywiście z całej twojej drużyny. – Tak trudno było myśleć teraz o tym, że Jeff był tylko jednym z graczy, a jego sukces tylko częścią zbiorowego wysiłku.

– Chciałem zagrać najlepiej, jak umiem, zwłaszcza że pan Cole oglądał mecz – powiedział, patrząc na Cole'a, a potem sięgnął po dokładkę, tym razem kurczaka w migdałach.

Za to Robin nie była w stanie zbyt wiele przełknąć. Cole wcale nie przesadził, mówiąc, że jedzenie w Złotym Woku jest doskonałe. To chyba najlepsza chińszczyzna, jakiej w życiu kosztowała.

Zresztą Jeff najwyraźniej podzielał jej opinię, bo miała wrażenie, że po prostu nie może przestać jeść. Kiedy zaśmiewali się nad ciasteczkami szczęścia, do uszu Robin dotarły skrawki rozmowy, która toczyła się przy stoliku za jej plecami.

– Założę się, że świętują jakąś szczególną okazję – powiedział starszy męski głos.

– Tak, ich synek chyba dobrze się spisał w meczu baseballowym – odparł kobiecy głos.

Ich synek... Robin kilka razy powtórzyła te słowa w myślach. A więc odnosili wrażenie, że są rodziną, a Cole i Jeff to ojciec i syn. Powoli przeniosła spojrzenie na Cole'a. Raczej nie słyszał tej rozmowy, a nawet jeśli, nic nie dał po sobie poznać.

– Rodzice są z niego bardzo dumni, tylko spójrz.

– To znowu była ona. – Jak miło patrzeć na takich szczęśliwych młodych ludzi. Tak, rodzina powinna spędzać czas ze sobą.



Rodzina... A więc wyglądali dla innych jak rodzina. Robin znów spojrzała na Cole'a, ale on wciąż sprawiał wrażenie, jakby niczego nie słyszał, albo świetnie udawał, że nie słyszy. Jednak musiał wyczuć jej badawcze spojrzenie, bo odwrócił głowę i popatrzył na nią. Nie towarzyszyło jej już to skrępowanie, gdy spotykały się ich oczy, które nękało ją na początku ich znajomości.

W drodze do domu Jeff cały czas trajkotał jak nakręcony. Co chwila zagadywał Robin, pytając ją o najróżniejsze rzeczy. Wracali oddzielnie, bo Cole przyjechał swoim samochodem. Na podjeździe przed domem pożegnali się i każdy poszedł w swoją stronę. Jeff musiał jeszcze odrobić lekcje, a ona nastawić pranie. Potem chwila na telewizję, szybka kąpiel i oboje byli gotowi do snu. Choć Jeff protestował, że jest już za duży, Robin opatulila go kołdrą i cmoknęła na dobranoc. Długo nie walczył, z czego wywnioskowała, że tak naprawdę całkiem mu się to podoba.

– Dobranoc, Jeff.

– Dobranoc, mamó, i karaluchy pod poduchy...

– Ale jesteś dzisiaj romantyczny! – zażartowała. Miała wrażenie, że zanim jeszcze zgasła światło, mały zapadł w głęboki sen. Zeszła na dół, żeby zamknąć na noc drzwi, a potem wróciła na górę do swojej sypialni. Na chwilę jeszcze zatrzymała się przy drzwiach syna. Dla nich obojga był to długi dzień. O dziesiątej leżała już w łóżku i czytała kryminał, gdy nagle rozległ się dzwonek telefonu.

Szybko podniosła słuchawkę, żeby hałas nie zbudził Jeffa. Poza tym nie przepadała za tak późnymi telefonami, gdyż zawsze się obawiała, że to złe wieści.

– Więc nie śpisz jeszcze... – usłyszała głos Cole'a i natychmiast poczuła, że przyspiesza jej puls.

– Nie, jeszcze nie, czytam... – wydusiła przez zaciśnięte gardło.

– A mnie przyszło nagle do głowy, że właściwie nie dokończyliśmy jeszcze tamtej rozmowy...

– Jakiej rozmowy? – zapytała Robin.

– Tej w drzwiach, kiedy przeszkodził nam Jeff.

Przypomnij mi przy okazji, żebym mu powiedział parę słów na temat wyczucia sytuacji...

– Nawet już nie pamiętam, o czym mówiliśmy. – Robin oparła głowę o poduszkę, rozkoszując się brzmieniem jego aksamitnego głosu. Wprost pławiła się w tej odrobinie intymności, że może go słuchać, leżąc w łóżku. Zamknęła oczy.

– Mówiłaś o tym, że to nie twoja sprawa, z kim jadam lunch i z kim spędzam weekendy, z czego wnioskuję, że sądzisz, że jestem związany z jakąś kobietą.

Robin raptownie otworzyła oczy.

– Nic podobnego, wcale tak nie myślę.

– Chyba powinienem wyjaśnić te weekendy...

– Ależ nie, Cole, to naprawdę nie jest moja sprawa i nie musisz mi niczego tłumaczyć. Poza tym to nie ma żadnego znaczenia...

– Kilkadziesiąt kilometrów stąd na północ – ciągnął dalej Cole, nie zważając na jej protesty – mam farmę, około czterdziestu akrów ziemi. Kiedyś należała do mojego dziadka, a po jego śmierci ja przejąłem tę posiadłość. Zresztą dom, w którym mieszkam, należał również do niego. Tutaj się też urodził i wychował mój ojciec, a potem ja. Sporo czasu zajęła mi przebudowa i renowacja starego, farmerskiego domu. Może kiedyś w przyszłości się tam przeprowadzę...

– Rozumiem. – Robin nie chciała nawet o tym myśleć, że Cole miałby zniknąć któregoś dnia z sąsiedztwa.

– Ale wciąż jest tam jeszcze dużo do zrobienia, a ja lubię taką pracę i całkiem nieźle mi to idzie.

– Brzmi cudownie...

– Chciałabyś mnie może o coś zapytać? – Cole zniżył głos.

– Oczywiście, że nie, dlaczego miałabym chcieć? – zbyła go natychmiast.

– A byłabyś skłonna przyznać się do tego, że mój pocałunek sprawił ci przyjemność? Mocna siódemka mnie nie zadowala i Jeff ma chyba rację, musielibyśmy jeszcze trochę poćwiczyć, żeby poprawić wynik.

Robin nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa, zwyczajnie ją zatkało.

– Ja jestem gotów podjąć to wyzwanie...

Nie widziała go, ale była pewna, że uśmiecha się tym uroczym, uwodzicielskim uśmiechem. Odgarnęła do tyłu włosy.

– Nie wierzę, że prowadzimy taką rozmowę – powiedziała.

– Więc może zacniemy ode mnie, może ułatwię ci, gdy powiem, jaką ogromną przyjemność sprawił mi ten pocałunek.

– Proszę, nie... – szepnęła. Nie chciała, żeby o tym mówił, żeby dzielił się z nią swoimi odczuciami. Z każdym jego pocałunkiem była coraz bardziej rozbita, mimo poczucia bezpieczeństwa, gdy trzymał ją w objęciach. Ale coś w środku nie pozwalało jej do końca zapomnieć, otworzyć się na nowe doznania. Przerazała ją ta wizja, że mogłaby się bez reszty zakochać w Cole'u, a także to, co miało nadejść potem, w przyszłości.

– Ten pierwszy wstrząsnął mną bardziej, niż bym chciał się przyznać – powiedział. – Pamiętasz ten piątkowy wieczór, gdy wypożyczyliśmy film?

– Oczywiście, że pamiętam. – Jak by miała o tym zapomnieć?

– Przez cały tydzień cię unikałem i starałem się trzymać od ciebie z daleka.

Nic nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co należy powiedzieć w takiej sytuacji. Leżała oparta o poduszkę i patrzyła w sufit. Poczła jakieś nieopisane ciepło, otuchę i szczęście. Na chwilę zapadła cisza. Robin, chcąc, by ta rozmowa przebiegała w mniej intymny, a co za tym idzie w mniej ryzykowny sposób, powiedziała:

– Bardzo ci dziękuję za zaproszenie na kolację. Sprawileś tym Jeffowi naprawdę ogromną przyjemność. – Jej także, ale nie potrafiła się do tego przyznać.

– Nie ma za co. Dla mnie to też była wielka przyjemność.

– Wyjeżdżasz na weekend do swojej posiadłości? – Właściwie nie miała prawa go o to pytać, dlatego zdziwiła się, z jaką łatwością przeszło jej to pytanie przez usta.

– Nie, chyba nie. Powiedz, kiedy ostatnio byłaś na pikniku i puszczałaś latawce?

– Już nawet nie pamiętam...

– Więc może chciałabyś się wybrać ze mną na piknik? Ty i oczywiście Jeff, nasza trójka...

– Byłoby wspaniale... Jeff bardzo by się ucieszył.

– A ty? Czy ty także się ucieszysz?

– Tak – odparła szeptem – ja również się ucieszę. – Zdawało się, że powiedzieli sobie już wszystko, co było do powiedzenia, i wołała już zakończyć tę rozmowę. – Powiem rano Jeffowi, gdy tylko się zbudzi. Wyobrażam sobie jego minę, kiedy to usłyszy. Dziękuję ci i do usłyszenia jutro.

– Tak, do jutra. Dobranoc, Robin.

– Dobranoc, Cole – szepnęła zauroczona i uśmiechnęła się do siebie. Cole wypowiadał jej imię w taki sposób, jak zawsze pragnęła, by wypowiadał je mężczyzna: łagodnie i z odrobiną pożądania.

Jeszcze długo po zakończeniu rozmowy Robin leżała ze wzrokiem wbitym w sufit i ze słuchawką w ręce. Gdy wreszcie wyłączyła światło, równie szybko co jej syn zapadła w błogi sen. Zbudziła się o północy. Serce biło jej mocno, a pościel była rozrzucona po podłodze. Nawet prześcieradło zsunęło się z łóżka, a wokół nóg miała owiniętą powłoczkę na kołdrę. Usiadła zdziwiona, wyplątała nogi, odgarnęła włosy z twarzy i zaczęła się zastanawiać, co wywołało w niej taki niepokój. Coś podobnego zdarzało się jej naprawdę bardzo rzadko, gdyż zwykle była tak zmęczona, że przesypiała noc jak kamień. Włożyła kapcie i szlafrok i zeszła na dół, żeby napić się mleka. Usiadła na chwilę przy stole w kuchni i nagle zrozumiała... Przypomniała się jej rozmowa tej pary w chińskiej restauracji i od razu stało się oczywiste, że nie tylko ona ją słyszała, ale Cole również. Uderzyło ją to z taką siłą, że poczuła zawrót głowy. „Ich synek, szczęśliwa rodzina...” Słowa, które padły, zdawały się świdrować jej myśli. Przecież Cole stracił syna, syna, który musiał być wtedy mniej więcej w tym wieku co Jeff. Tyle przeszedł... najpierw rozwód, potem tragiczną śmierć dziecka. Jak bardzo musiał cierpieć, pomyślała Robin i jej serce przeszły ostry ból. Nagle wszystko zaczęło się układać w spójną całość i poczuła, jak narasta w niej dziwna panika. Łączyły ich nie tylko graniczące ze sobą ogrody, ale także bolesne przeżycia, dramatyczna przeszłość, której oboje stali się ofiarami. To oczywiste: Cole pragnął na nowo stworzyć rodzinę, którą los mu tak bezlitośnie odebrał. Była tak bardzo zaplątana we własne emocje, że nie chciała dotąd dostrzec tej brutalnej prawdy. Ignorowała docierające do niej sygnały i spychała na bok wszelkie podejrzenia czy obawy. Woląла o tym nie myśleć, niczego nie analizować. Tymczasem prawda była całkiem banalna:

oboje, ona i on, byli zranionymi, samotnymi ludźmi. Ale czy taki związek może trwać wiecznie? Czy na tak kruchej podstawie można w ogóle budować związek? Gdy Cole zaspokoi swoje potrzeby i pragnienia, odkryje, że są zupełnie innymi ludźmi i że należą do innych światów. Dopiero wtedy do niego dotrze, że tak naprawdę nie mają ze sobą wiele wspólnego.

TTLR

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Co to ma znaczyć? Dlaczego nagle chcesz się spotkać z moim kuzynem? – zapytała Angela, unosząc znad biurka wzrok na koleżankę. Była zaszokowana.

– Przecież od tygodni mnie namawiasz, żebym się umówiła z Fredem...

– Nie z Fredem, lecz z Frankiem. Tak, zgoda, Robin, ale to było w erze przed Cole'em. Nie oszukasz mnie tak łatwo. A właściwie, co tam właściwie u was słychać? Jest coś w końcu między wami?

– Nic, zupełnie nic.

– Jasne, a tu mi kaktus rośnie – rzuciła kpiąco Angela, wyciągając do Robin otwartą dłoń. Potem wstała z miejsca, obeszła swoje biurko i stanęła przed Robin ze skrzyżowanymi rękami, rzucając jej wyzywające spojrzenie.

Robin dobrze wiedziała, że nie uda się jej ukryć swoich uczuć. Ta noc była naprawdę wyjątkowo niespokojna, musiała mieć to wypisane na twarzy. Nie tylko miała podkrążone oczy, lecz także bolało ją całe ciało, a najbardziej głowa. Intuicja podpowiadała, że nagła chęć spotkania się z kuzynem Angeli będzie odebrana przez przyjaciółkę jako akt rozpacz.

– Ostatnio jeszcze mówiłaś, że macie iść razem z Cole'em na mecz baseballowy Jeffa...

– I byliśmy.

– I co? – Angela nie odpuszczała.

Robin wzięła do ręki kartonikowy kubek z kawą, który przyniosła ze sobą na górę, zdjęła z niego wieczko i upiła mały łyk.

– I świetnie, Jeff grał w pozycji rzucającego i rozegrał wspaniały mecz. – Miała nadzieję, że Angela nie będzie już dalej drażnić tematu. Ta jednak nawet na moment nie odrywała od niej baczego spojrzenia. Przeszywa mnie



wzrokiem na wylot, pomyślała Robin zdesperowana, i jak tu przed nią się ukryć? – No, co jest, co mam ci powiedzieć? – palnęła w końcu, nie mogąc znieść narastającego napięcia. Znowu upiła łyk kawy, za duży, i sparzyła sobie usta. – Aj – syknęła i zachciało się jej płakać. Jeżeli cały dzień miał wyglądać tak jak dzisiejszy poranek, lepiej od razu było iść do domu. Z każdą minutą nasilała się w niej pokusa, by wrócić do łóżka i schować się przed światem pod ciepłą pierzyną.

– Powiedz, co z Cole'em! – napierała Angela.

– Nic, powiedziałam ci przecież, przyszedł na mecz i to wszystko. Co chcesz jeszcze wiedzieć?

– Chciałabym wiedzieć, co się jeszcze wczoraj wydarzyło – wycedziła Angela, wypowiadając dobitnie i z namaszczeniem każde słowo, jakby miała do czynienia z kimś głuchym.

– Ale przed meczem czy po meczu? – spytała niewinne Robin, jakby nie wiedziała, o co chodzi. Angela przysunęła sobie krzesło i usiadła tuż obok.

– Najlepiej jedno i drugie – syknęła.

Pod takim naporem trudno było się nie poddać. Robin odstawiła kubek, rozłożyła bezradnie ręce i opowiedziała od początku do końca, jak wyglądał wczorajszy dzień, wszystko po kolei. Mówiła szybko i bez przystanków, chcąc wyrzucić z siebie to, co od długich godzin nie dawało jej spokoju.

– Nie spotkaliśmy się w domu tak jak to było planowane, bo coś zatrzymało go dłużej w biurze. Jeff był bardzo zawiedziony, ale po rozmowie ze mną zrozumiał, a właściwie wspólnie doszliśmy do wniosku, że to nie jego wina, cokolwiek spowodowało to spóźnienie. Pojechaliśmy więc do parku Balboa bez niego. Cole dotarł tam pod koniec drugiej części, kiedy akurat miał rzucać Jeff. W sumie w ciągu całej gry miał tylko trzy rzuty, a zaliczył dwa razy bazę. Potem Cole zabrał nas do chińskiej restauracji, świetnej zresztą, o

której już kiedyś słyszałam, ale nigdy wcześniej tam nie byłam. Będziemy musiały koniecznie wybrać się tam razem.

Może przy najbliższej podwyżce, dobra? No i potem wieczorem zadzwonił do mnie i zapytał, czy nie chciałabym wybrać się z Jeffem i z nim na piknik w najbliższą sobotę. Coś mi się wydaje, że chce nas zabrać do parku Golden Gate, bo mówił coś o puszczeniu latawców. – Robin urwała nagle, wzięła głęboki oddech, a potem rzuciła koleżance wyzywające spojrzenie, które mówiło: zrób teraz z tą informacją, co tylko chcesz.

– Rozumiem... – po krótkim zastanowieniu Angela kiwnęła głową.

– To bardzo dobrze. – Robin nie zamierzała wdawać się w szczegóły, więc jeśli Angela nie rozumiała wszystkiego, miała pecha. Czuła, że znalazła się niebezpiecznie blisko tego, by pozwolić emocjom zawładnąć swoim życiem. Coraz bardziej pociągał ją mężczyzna, który pragnął tylko wypełnić pustkę w swoim życiu po utracie syna. Musiała znaleźć jakiś sposób, by nie podążać ślepo za sercem, które szalało, gdy tylko znalazła się w objęciach Cole'a.

– To co, przedstawiś mnie Frankowi czy nie? – zapytała jeszcze raz, starając się brzmieć przekonująco. Angela wciąż przewiercała ją wzrokiem.

– Jakoś mi się nie wydaje w obecnej sytuacji, żeby to miało sens.

– Jak to ci się nie wydaje? – warknęła Robin. Była naprawdę wkurzona. – Od tygodni mi go zachwalasz i zgodnie z tym, co mówiłaś, twój kuzyn jest półbogiem: ciężko pracuje, zarabia krocie, chodzi do kościoła i używa nici dentystycznej!

– Tak twierdziłam? Jesteś pewna?

– Coś w tym stylu.

– Cholera, z tą nicią dentystyczną to raczej chyba przesadziłam.

– A kiedy już wreszcie chcę się umówić z tym chodzącym ideałem, ty mi mówisz, że nie wiesz, czy chcesz nas ze sobą poznać. Myślałam, że się ucieszysz!

– No i cieszę się – powiedziała niezbyt entuzjastyczne Angela – ale jestem też zmartwiona.

– Tylko że nie na tym polega tu twoja rola – powiedziała Robin pewnym głosem. – Wszystko, czego od ciebie oczekuję, to że zadzwonisz do Franka i powiesz mu, że jestem wolna w sobotę wieczorem i mogę z nim pójść na drinka, na kolację, na film czy też na cokolwiek innego. Niech sobie wybierze, co mu najlepiej odpowiada.

– O ile dobrze słyszałam, jeszcze przed chwilą mówiłaś, że wybierasz się w sobotę na piknik z Cole'em.

Robin włączyła swój komputer, żeby rozpocząć wreszcie pracę. Miała nadzieję, że gdy będzie wyglądać na szalenie zajętą i poczęstuje koleżankę odrobiną nonszalancji, Angela szybciej przystanie na jej prośbę.

– Piknik będzie wcześniej, w ciągu dnia – rzuciła od niechcienia – więc nie widzę problemu. Dopilnuję, żebyśmy wrócili odpowiednio wcześnie do domu.

Angela ściągnęła brwi. Wyglądała na poważnie zatroskana.

– Nie dziw się, proszę – powiedziała – ale naprawdę się o ciebie martwię. Jeszcze nigdy nie byłaś taka... taka zdeteminowana. Nie znam cię takiej...

– Zawsze byłam zdeteminowana, chyba rzeczywiście mnie nie znasz – syknęła i powoli przeniosła wzrok z koleżanki na monitor.

– OK, w porządku, zgadzam się z tobą w stu procentach, jesteś chodzącą determinacją, ale nie jeśli chodzi o mężczyzn. – Angela westchnęła ciężko. – Tak na serio, moja trzynastoletnia bratanica lepiej sobie radzi z płcią przeciwną niż ty.

– Mamo, spójrz, jak wysoko poleciał! – krzyknął Jeff ze wzrokiem wlepionym w niebo, gdzie na wysokości koron drzew szybował jego latawiec.

– Prawie dotyka chmur! – odkrzyknęła, po czym oboje się roześmiali.

Mimo wszelkich obaw dotyczących Cole'a, naprawdę doskonale się bawiła tego popołudnia. Na początku myślała, że ten dzień stanie się prawdziwą katastrofą. Była pewna, że wystarczy tylko jedno jego spojrzenie i będzie wiedział, że na wieczór umówiła się z innym facetem. Za siebie zresztą też nie mogła ręczyć, bo nie wiedziała, czy sama z tym nie wyskoczy, jeśli on się niczego nie domyśli. Cole cieszył się jak dziecko, gdy planowali z Jeffem wspólny piknik i przygodę z latawcem. Spędzili długie godziny przy projektowaniu jego konstrukcji, a potem przy klejeniu i upiększaniu. Teraz obaj śmiali się i zagrzewali entuzjastycznie do boju, gdy latawiec wznosił się wyżej niż inne dookoła. Miło jej było patrzeć na ich zabawę i szczęście, jakie malowało się na twarzy syna. Pogoda też im sprzyjała, niebo było nieskazitelnie błękitne, a wiatr wprost optymalny. Po lekko wzburzonej wodzie jeziora, mieniającej się różnymi odcieniami zieleni, sunęły majestatycznie żaglówki. Jednak serce Robin, w odróżnieniu od tego niefrasobliwego świata, który ją otaczał, było pełne trosk. Gdy patrzyła na Cole'a, tak opiekuńczego i cierpliwego w stosunku do jej synka, przepelniały ją sprzeczne emocje. Z jednej strony powinna mu dziękować za każdy uśmiech, który wywoływał na twarzy Jeffa, za to, że wniósł tyle światła i radości do ich życia. Z drugiej jednak strony wyczuwała jakieś zagrożenie, od którego chciała uciec jak najdalej, ukryć się, nie myśleć i zapomnieć.

– Mamo, patrz! – zawołał Jeff uszczęśliwiony, przyglądając się z zachwytem, jak jego latawiec trzepocze na wietrze.

W wesołych podskokach podbiegł do niego Blackie. Robin spojrzała w górę. Czerwono-niebieski latawiec przecinał błękitne niebo. Nagle obrócił się i

zaczął pikować. W ostatniej chwili Jeff szarpnął za linki i poderwał go do góry, a latawiec zaczął się znowu wznosić, wciąż wyżej i wyżej.

– Jesteś mistrzem! – zawołała. Nigdy nie widziała go szczęśliwszego, promieniał dumą i radością, i poruszał ją tym niemal do łez.

Tuż za Jeffem stał Cole, również wpatrzony w latawiec. Jedna jego ręka spoczywała na ramieniu jej syna, a drugą osłaniał oczy przed słońcem. Śmiali się obydwaj i znów uderzyła ją ta niezwykła mieszanka: niskiego, dojrzałego i wyważonego śmiechu i wysokiego, radosnego i bardzo rozentuzjasmowanego. Jedno jednak łączyło ich ze sobą nierozzerwalnie: ich głosy brzmiały, jakby byli szczęśliwi. Wkrótce potem Cole podszedł do koca, na którym siedziała, uśmiechnął się i usiadł obok niej. To wystarczyło, by poczuła motyle w brzuchu. Nagle Cole wyciągnął przed siebie nogi i oparł się na łokciach.

– Już nie pamiętam – zaczął, wystawiając twarz do słońca – kiedy ostatnio tyle się śmiałem.

– Chyba obaj dobrze się bawicie – powiedziała Robin. Musiał widzieć, że coś ją gryzie, ale nie dopytywał zbyt nachalnie i była mu za to naprawdę wdzięczna. Cieszyła się, że ostatecznie nie wspomniała mu o randce z kuzynem Angeli. Za nic by nie chciała, żeby pomyślał, że próbuje w nim wzbudzić zazdrość. Nie o to jej chodziło. Tak naprawdę sama nie wiedziała, co chce właściwie osiągnąć, idąc na randkę z Fredem czy raczej z Frankiem. Kilka razy powtórzyła sobie w pamięci jego prawdziwe imię. Dlaczego wciąż je myliła? To pozostawało jednak nadal zagadką tak samo, jak nie wiedziała, po co w ogóle zdecydowała się z nim umówić. Gdy rozmawiała na ten temat z Angellą, wydawało się to być sprawą życia i śmierci. Teraz jednak, gdy ochłonęła, czuła zmieszanie i żałowała, że przyszedł jej do głowy tak absurdalny pomysł.

– Jeff wspominał coś, że masz dziś wieczorem randkę... – zagał niespodziewanie Gole.

No i cały wysiłek, by utrzymać tę randkę w tajemnicy, poszedł na marne. Spojrzała na Cole'a. Wzrok miał tak obojętny, jakby mówił o pogodzie.

– Mam się spotkać z kuzynem mojej przyjaciółki. Od miesiący nie daje mi spokoju i namawia, żebym się z nim umówiła. Mamy iść z Frankiem na kolację.

– Czyżby był to ten sam Frank, z którym nie zamierzałaś się umówić pod żadnym pozorem?

Robin wlepiła wzrok w Cole'a.

– Pamiętasz, że wykrzyczałaś to do słuchawki, gdy zadzwoniłem, żeby zapytać o Blackiego?

– No tak... pamiętam. – Trudno byłoby jej o tym zapomnieć. Nagle poczuła, że powinna podać jakiś sensowny powód tej nagłej zmiany zapatrywań. – Chodzi o to, że Angela męczy mnie już od dawna i nie daje za wygraną. Doszłam więc do wniosku, że jak raz ulegnę i pójdę z nim na tę kolację, da mi wreszcie spokój. Podobno jest bardzo miły i zabawny. – Na szczęście udało się jej jakoś z tego wybrnąć i była z siebie całkiem zadowolona. Ale wciąż jeszcze miała wrażenie, że nie do końca wyjaśniła sytuację. Po chwili więc ciągnęła dalej: – Sądzę, że takie spotkanie nie powinno mi zaszkodzić...

– Daj spokój, Robin – przerwał jej Cole – nie musisz się przede mną tłumaczyć.

W jednej chwili umilkła. Wiedziała, że Cole ma rację, a jednak czuła się winna, a teraz jeszcze na dodatek było jej naprawdę głupio i nic nie mogła na to poradzić. Dlaczego się tak bezsensownie zawsze pogrążała?

– Nie jestem typem zazdrośnika – powiedział Cole.



– Wcale nie próbuję wzbudzić w tobie zazdrości – zaprotestowała Robin.

– I dobrze. – Cole wzruszył ramionami i przeniósł wzrok na Jeffa, który biegł w ich kierunku. Wokół niego skakał Blackie, poszczekując wesoło.

Wprawdzie Cole nie zapytał, kto zajmie się w tym czasie jej synem, ale znowu czuła się w obowiązku mu to wyjaśnić.

– W tym czasie, kiedy mnie nie będzie, Jeff pójdzie z Heather i Kelly do kina.

Cole nic nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się nieznacznie tym swoim zabójczym uśmiechem, który już dobrze знаła, a który zdawał się mówić, że może się umawiać, z kim tylko zechce, a jemu jest to zupełnie obojętne. No cóż, tak jak powiedział, nie był zazdrośnikiem. Wspaniale, pomyślała z sarkazmem, właśnie o to jej chodziło, o takiej reakcji marzyła. Mogła się umawiać z kim chciała, a Jego Wysokość miał wszystko w nosie... No, może z wyjątkiem Jeffa, zależało mu wyłącznie na jej synu.

– Daj znać, jak będziesz chciała już iść – powiedział z irytującą pewnością siebie – bo nie chciałbym, żebyś się przeze mnie spóźniła.

Robin zerknęła na zegarek i ze zdumieniem stwierdziła, że jest już dobrze po czwartej. Tak świetnie się bawili, że niemal cały dzień minął w okamgnieniu. Uniosła wzrok i zobaczyła, że Cole przygląda się jej wyczekująco.

– Mam jeszcze trochę czasu – powiedziała, ale zaczęła sprzątać po pikniku.

Dochodziła piąta, gdy zapakowali latawce i lodówkę turystyczną do bagażnika samochodu i opuszczali park Golden Gate. Na drogach panował wzmożony ruch i dłuższy czas jechali w korkach. Robin zaczynała odczuwać zniecierpliwienie, a nawet lekkie podenerwowanie. Oczywiście, że nie była to wina Cole'a, przecież nie zaaranżował wypadku na autostradzie, żeby



powstrzymać ją przed pójściem na randkę. Niemal całą drogę śmiał się i rozmawiał z Jeffem, nie zważając na utrudnienia na trasie, i tylko ona czuła się zestresowana. Gdy dotarli wreszcie do domu, szybko pomogła Cole'owi rozpakować samochód, mimo że wcale tego nie oczekiwał. Blackie biegał między domem i samochodem, radośnie poszczekując, czym wywoływał jeszcze większe zamieszanie.

– Chyba już pójdę do siebie – powiedziała w końcu, rzucając Cole'owi przelotne spojrzenie. Żałowała, że nie ma przy sobie Jeffa, który wnosił akurat rzeczy z werandy do środka. Czuła się jakoś niezręcznie i wiele dałaby teraz, żeby stał pomiędzy nimi. – Dziękuję za to popołudnie, to był naprawdę bardzo miły piknik. – Nie mogła go obwiniać za swoje rozterki, nawet jeśli niepotrzebnie rozpoczął ten niezbyt wygodny dla niej temat. Przecież przez cały dzień dotrzymywał im towarzystwa i troszczył się o nich.

Nagle, jak spod ziemi, pojawił się w drzwiach Jeff i patrzył na nich spod przymrużonych powiek.

– Cole, pozwolisz jej na to? – powiedział, niespodziewanie zwracając się do Cole'a po imieniu.

– Na co? – spytała Robin, karcąc syna wzrokiem.

– Żebyś wyszła z tym innym facetem. – Powiedział to takim tonem, jakby był stróżem sprawiedliwości. – Nie mogę zrozumieć, dlaczego się na to zgadzasz – zwrócił się znów do Cole'a.

– Jeff, to nie pan Camden decyduje o tym, co robię wieczorami – przywołała go do porządku.

– No dobra, ale popełniasz błąd – prychnął i spojrzał na Cole'a z wyrzutem. – Oboje popełniacie błąd – powiedział obrażony i ruszył w stronę domu.

– Jeszcze raz dziękujemy za wspaniałe popołudnie, Cole. – Robin uśmiechnęła się nieco zmieszana tą sytuacją.

– Żaden problem – odparł Cole, wsunąwszy ręce do kieszeni spodni. – Baw się dobrze z Frankiem.

– Dziękuję. – Robin rzuciła mu jeszcze krótkie spojrzenie, a potem w ślad za synem poszła do siebie.

Cholera, naprawdę czuła się winna, chociaż nie było przecież choćby najmniejszego powodu, by mieć jakiegokolwiek wyrzuty sumienia. Miała prawo chodzić na kolację, z kim jej się podobało. A jednak było inaczej. Cole z pewnością bez trudu się domyślił, jakie są prawdziwe pobudki jej działania, inaczej nie życzyłby jej dobrej zabawy. Czasami miała wrażenie, że zbyt dobrze wszystko rozumiał i wyczuwał.

Napuszczała wodę do wanny, gdy Jeff wbiegł po schodach.

– Mamo, dasz mi pieniądze na kino? – zapytał i rzucił jej portfel. – Ile mi dasz na słodycze?

– Słodycze? – zdziwiła się.

– No wiesz, popcorn i jakieś batony. Umieram z głodu.

– Jeff, co się z tobą dzieje? Cały dzień tylko jesz! A co jest z tymi dwoma hot dogami, które przed chwilą ci zrobiłam?

– Zjadłem je, ale to było już dawno temu.

– Dawno temu? Minęło może piętnaście minut.

– To co ja na to poradzę, że znowu jestem głodny?

Robin wręczyła mu po chwili piętnaście dolarów, przygotowana na protest syna. Wiedziała, że to mu wystarczy jedynie na bilet do kina i popcorn z colą.

Ale Jeff wziął od niej pieniądze i tylko spojrzął na nią niepewnie. Potem pokręcił głową i najwyraźniej chciał coś jeszcze powiedzieć, ale go uprzedziła, by uciąć dalsze dyskusje.

– To wszystko, skarbie.

– A czy ja coś mówię? – zapytał, patrząc na nią niewinnie swoimi błękitnymi oczami.

– Nic mi nie musisz mówić, bo to, co chciałbyś powiedzieć, masz wypisane na twarzy.

Wzięła kąpiel, a potem u siebie w pokoju próbowała dobrać strój na dzisiejszy wieczór.

– Mamo, to ja już lecę – Jeff wsunął głowę przez szparę w drzwiach – bo przyjechała po mnie Heather z Kelly.

– W porządku, baw się dobrze. Będę najpóźniej o dziesiątej trzydzieści.

– A nie mógłbym poczekać na ciebie po kinie u Cole'a?

– Absolutnie wykluczone. – Niemal stanęło jej serce, gdy wypowiedział te słowa. Ostatnią osobą, którą chciałaby widzieć na koniec dzisiejszego dnia, był jej sąsiad, Cole Camden. – Chyba się u niego nie zapowiedziałeś?

– Nie... ale nie wiem, czy mam ochotę znowu iść do Kelly. – Jeff zrobił zmartwioną minę. – Jestem tam przecież codziennie.

– Wybacz, kochanie, obiecuję, że nie będę późno.

– Jesteś pewna, że nie mogę iść do Cole'a?

– Jeffrey – Robin zrobiła zniecierpliwioną minę – skończ już z tym, proszę, i nawet się nie waż kłopotać Cole'a! Zrozumiałeś mnie?

Rzadko używała wobec syna tego tonu, ale nie miała teraz ani czasu, ani energii, żeby się z nim wyklócać.

– No dobra – powiedział, wzdychając dramatycznie. – Ale czy możesz być o dziesiątej?

– A dlaczego mam być o dziesiątej?

– Bo nie chcę zrobić z siebie głupka i zasnąć u Kelly – powiedział niechętnie.

– Wrócę najszybciej, jak to będzie możliwe. – Robin spojrzała na zegarek i jęknęła. Już teraz była spóźniona, a zanim dotrze na miejsce, będzie kompletna katastrofa. Od pierwszej chwili, kiedy umówiła się z Frankiem, nie traktowała tego poważnie, a już na pewno nie jak coś, co się naprawdę wydarzy. Czuła się zmęczona całym tym zamieszaniem i nie lubiła takich sytuacji, to nie była po prostu jej bajka. Wybierała się do nieznannej sobie restauracji, z nieznanym facetem... i po co to wszystko? Tego naprawdę nie wiedziała. Wsunęła stopy w czółenka i pobiegła do łazienki, by skropić się perfumami. Nie za dużo, tylko tyle, by dodać sobie odrobinę pewności. Szybko zbiegła po schodach, chwyciła torebkę i już miała rękę na klamce, gdy zadzwonił telefon. W pierwszej chwili chciała to zignorować, sądząc, że to Jeff chce jej jeszcze raz przypomnieć, żeby wróciła przed dziesiątą. Ale co, jeśli to rodzice lub może Frank? Może chciał odwołać randkę? Z każdą sekundą głos dzwonka stawał się bardziej natarczywy. Doszła do wniosku, że musi odebrać, żeby przez cały wieczór nie myśleć, kto to mógł być. Podbiegła do telefonu i podniosła słuchawkę.

– Halo? – rzuciła niecierpliwie.

– Robin? Tu mówi Cole...

Brzmiał jakoś dziwnie, nie tak jak zazwyczaj.

– Skłamałem...

To jedyne, co powiedział, a zaraz potem rozległ się w słuchawce sygnał przerwane połączenia.

Robin odsunęła słuchawkę od ucha i przyglądała się jej przez chwilę.

– Skłamał? – powiedziała na głos sama do siebie. – Ale w czym? – Boże, po co on w ogóle zadzwonił? Żeby powiedzieć jej, że skłamał? Nic nie rozumiała, ale nie miała teraz czasu, żeby oddzwonić i zapytać, o co mu chodzi.

– Czego się napijesz? – zapytał Frank Eberle, przeglądając kartę win.

Okazał się naprawdę całkiem przyjemnym facetem, co stanowiło dla Robin miłe zaskoczenie. Można nawet powiedzieć, że był atrakcyjny. Miał jasnoniebieskie oczy i gęste włosy. Angela wspomniała kiedyś, że Frank jest raczej nieśmiały, wtedy na dobre spanikowała, bo sama była cholernie nieśmiała, przynajmniej w obecności mężczyzn. Wyobraziła sobie, że będą się gapić na siebie przez większość wieczoru bez pomysłu na rozmowę. A jednak coś ich łączyło, mieli wspólny temat, a była nim Angela. Ale to nie to samo co z Cole'em... Z nim zawsze sama kleiła się rozmowa. Nie, nie chciała i nie mogła teraz myśleć o swoim sąsiedzie i tym telefonie, który wykonał tuż przed jej wyjściem z domu. Nie chciała być na randce z jednym facetem, a myśleć o drugim, a dokładnie na to się zanosilo.

Wlepiała wzrok w menu, udając, że próbuje wybrać między żeberkami polecanymi przez szefa kuchni, a świeżym halibutem. Jednak przez cały czas, gdy niby to studiowała kartę dań, głowiła się nad tym, żeby wymyślić jakiś rozsądny temat do rozmowy. Niespodziewanie Frank przyszedł jej z pomocą.

– Cieszę się, że Angela w niczym nie przesadziła, jesteś naprawdę wspaniałą niespodzianką.

– Ach, tak... – W głębi duszy rozbawiło ją, że wypowiedział słowa, które były echem jej własnych myśli w odniesieniu do niego.

– Kiedy do mnie zadzwoniła, nie byłem pewien, czego mam się właściwie spodziewać, zwłaszcza że dość często prosi, żebym się spotkał z

którąś z jej koleżanek. I, o dziwo, okazuje się, że zna mnóstwo wspaniałych kobiet, z którymi się przyjaźni, a które chcą mnie poznać.

– Powinna chyba założyć biuro matrymonialne – roześmiała się Robin. – Już nawet nie pamiętam, ile razy próbowała mnie z kimś wyswatać.

– Naprawdę dobrze się czuję w twoim towarzystwie, od razu mi się zdawało, że tak będzie – powiedział Frank.

– Dziękuję, ja... też nie byłam pewna, czego mam się spodziewać. Angela już od tygodni piała na twój temat i koniecznie chciała nas ze sobą poznać.

– Robin przeniosła na chwilę wzrok z menu na swojego towarzysza, a potem znowu zagłębiła się w lekturze. Za każdym razem, gdy godziła się na którąś z tych zaaranżowanych randek, miała te same obawy.

– Od sześciu miesięcy jestem znowu wolnym strzelcem, to znaczy odzyskałem wolność, że tak powiem. Ale po czternastu latach małżeństwa trudno mi się przyzwyczaić do kawalerskiego życia, randek i takich tam...

– Wiem, co masz na myśli, wszystko wydaje się takie sztuczne i niezręczne. Kiedy zaczęłam spotykać się z Lennym, byliśmy jeszcze w szkole średniej. To był taki beztroski czas, o nic nie trzeba było się martwić. Wiedzieliśmy, czego chcemy i co musimy zrobić, by dotrzeć do celu.

Frank się uśmiechnął.

– Teraz, gdy jesteśmy starsi i... – tu urwał nagle – waham się użyć tego słowa „mądrzejsi”, a może dojrzałsi, życie wydaje się być znacznie bardziej skomplikowane. – Frank objął dłońmi szklankę. – Czuję się, jakbym zupełnie wyszedł z wprawy.

Z pomocą przyszła im tym razem kelnerka, która chciała przyjąć zamówienie. Dalej wieczór potoczył się już gładko. Robin zadziwiło poczucie więzi, które od pierwszej chwili połączyło ją z Frankiem. On zresztą też czuł

się w jej towarzystwie ewidentnie swobodnie i, zanim się obejrzała, zaczęła mu opowiadać o Cole'u.

– Wygląda na to, że jest jednym z tych facetów, dla których niemal każda kobieta rzuciłaby się z mostu... – skwitował krótko Frank.

Robin kiwnęła tylko głową.

– Jest też wspaniały dla mojego syna, Jeffa.

– To w czym problem? – Frank był wyraźnie zdziwiony.

– W jego żonie i synu...

– Więc jest żonaty? – Teraz opadła mu szczeka.

– Był – sprostowała Robin. – Z tego co zrozumiałam, żona go rzuciła, a w jakiś czas potem zmarł jego syn.

– Ciężka sprawa – zasepił się Frank. Uniósł do ust filiżankę z kawą. – A kiedy to się wydarzyło?

– Tego nie wiem, to nie on mi o tym powiedział. Sam nigdy nawet nie wspomniał ani o żonie, ani o synu.

– Nigdy nie wspomniał?

– Dokładnie, nigdy. Dowiedziałam się o tym od sąsiadki.

– A więc to cię tak zajmuje...

Stwierdzenie to przywróciło ją do rzeczywistości. Podświadomie, odkąd poznała bliżej Cole'a, czekała na to, by sam jej powiedział o tej stracie, a tym samym okazał jej zaufanie.

Frank i Robin siedzieli jeszcze jakiś czas przy kawie, rozmawiając o polityce, ekonomii i paru innych ciekawych dziedzinach, jednak pytanie dotyczące Cole'a po prostu nie chciało zniknąć z jej myśli. Pożegnali się przed restauracją. Frank pocałował ją na pożegnanie w policzek, ale oboje doskonale wiedzieli, że nie spotkają się raz jeszcze. Czas, który spędzili dziś razem, dał



im swego rodzaju wytchnienie: Frankowi pozwolił lepiej uporać się z samotnością, a Robin zrozumieć, co tak naprawdę męciło jej spokój.

Gdy podjechała pod dom, pierwsza rzecz, na którą zwróciła uwagę, to fakt, że w domu Cole'a było ciemno. Ciemno, głucho i samotnie, podobnie jak w jej życiu. Musiała z nim porozmawiać, zapytać o ten dziwny telefon, o żonę i o syna, a jednak czuła, że to nie jest odpowiedni moment. Była dziwnie przygnębiona i rozczarowana. Przez jakiś czas siedziała jeszcze w samochodzie, próbując zebrać myśli.

Heather przywitała ją uśmiechem i palcem wskazującym przytkniętym do ust.

– Dzieci były takie wykończone, że zasnęły na sofie w salonie, gdy tylko wróciliśmy do domu.

– Mam nadzieję, że Jeff nie sprawił ci kłopotu – zmieszła się Robin.

– W żadnym razie, przetrwał dzielnie cały seans, aż do samego końca.

– To niezłe osiągnięcie po tak długim dniu. Ja też jestem ledwo żywa. – Ziewnęła przeciągle. Była zupełnie wypompowana i marzyła teraz tylko o tym, żeby ukryć się przed światem w swoim pokoju pod ciepłą kołdrą i spać jutro do południa.

– Napijesz się kawy? – zapytała Heather.

– Nie, dziękuję, lepiej będzie, jak się już położę.

– Powinna być wdzięczna losowi, że obdarzył ją łaskawie przyjaznymi sąsiadami: Heather po prawej i Cole'em po lewej.

Zdała krótką relację z minionego wieczoru, a potem obudziła Jeffa, który marudził pod nosem, że się spóźniła, bo był zbyt zaszpany, by zauważyć, że dochodziła dopiero dziewiąta trzydzieści i że wróciła wcześniej, niż zamierzała. Po drodze do domu Jeff zadawał jej sporo pytań, ziewając przy tym jak hipopotam. Gdy tylko weszli do środka, zaprowadziła go na górę do

jego pokoju, odrzuciła kołdrę na bok, a on zdjął buty i padł jak nieżywy. Nie pierwszy raz zasypiał w ubraniu. Zdjęła mu spodnie i okryła go kołdrą, a potem zeszła do kuchni, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała numer Cola. Była szczerze zaskoczona, gdy odebrał już po pierwszym dzwonku.

– Halo...? Halo!?! – powtórzył, gdy odpowiedziała mu cisza.

– W czym skłamałeś? – zapytała w końcu łagodnym głosem.

– Gdzie jesteś?

– W domu.

– Zaraz będę – rzucił i bez pożegnania odłożył słuchawkę.

W chwilę potem stał u jej drzwi i patrzył na nią takim wzrokiem, jak gdyby nie widzieli się od miesięcy.

– Wygrałaś – powiedział i wszedł do środka.

– Co wygrałam? – Trudno jej było powstrzymać rozbawienie.

Cole nie odpowiedział, tylko poszedł do kuchni i ciężko usiadł na jednym z drewnianych krzeseł.

– Dobrze się bawiłaś? Usiadła naprzeciwko niego.

– Bardzo dobrze. Frank jest bardzo przyjemnym, troskliwym facetem.

Spotkaliśmy się w Higher Ground, to taka urocza, mała restauracyjka blisko metra...

– Wiem, gdzie jest – wszedł jej w słowo.

– W porządku. A wracając do twojego telefonu, Cole...

– Jaki on jest? – przerwał jej po raz drugi.

– Kto? Frank?

Cole przechylił głowę na bok, jakby chciał zapytać: „No a kto?”.

– Tak jak powiedziałam, bardzo sympatyczny. Jest po rozwodzie i czuje się samotny.

– A czym się zajmuje?

– Nie wiem dokładnie, chyba pracuje w urzędzie miejskim, ale nie rozmawialiśmy o naszym życiu zawodowym. – Pewnie by się nieźle zdziwił, gdyby się dowiedział, że większość czasu przegadała z Frankiem o nim i o ich znajomości.

– Więc o czym rozmawialiście?

– Wiesz co, nie jestem pewna, czy powinniśmy analizować mój wieczór spędzony z Frankiem. Napijesz się kawy? Mam bezkofeinową.

– Spotkacie się jeszcze? – drażył dalej.

Zignorowała to pytanie. Wstała od stołu i wzięła się za przygotowanie kawy. Była naprawdę zmęczona i nie usłyszała, gdy niemal bezszelestnie podszedł i stanął tuż za nią. Odwróciła się i niespodziewanie spojrzała prosto w najciemniejsze, najbardziej zmieszane i sfrustrowane oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

– Ojej – powiedziała wystraszona – nie wiedziałam, że jesteś tak blisko. – Po chwili poczuła na ramionach jego silne ręce.

– Powiedz, czemu się z nim spotkałaś? Czyżby w jego głosie pobrzmiwał smutek?

W każdym razie po obojętności, jaką demonstrował dzisiejszego popołudnia, nie było nawet śladu. Ściągnęła brwi, zadziwiona bólem w jego spojrzeniu. I nagle wszystko stało się jasne: w przeciwieństwie do tego, co twierdził, był zwyczajnie zazdrosny, naprawdę szczerze zazdrosny.

– Pocałował cię? – zapytał z natarczywością, jakiej dotąd u niego nie znała.

Nie bardzo wiedziała, co ma mu powiedzieć i czy chce coś w ogóle powiedzieć. Wtedy położył palec na jej ustach i zapytał raz jeszcze, patrząc jej wprost w oczy:

– Powiedz, czy cię pocałował?

Pokręciła głową, a wtedy jego palec zsunął się na jej dolną wargę.

– Ale chciał, prawda? – nalegał Cole z dość ponurą miną.

– Nie wiem, czy chciał, ale mnie nie pocałował. – Z trudem, ale udało się jej to wreszcie wydusić. I tak nie byłaby w stanie pocałować ani Franka, ani żadnego innego faceta, bo jedynym mężczyzną, którego chciała całować, był ten, który teraz stał tuż obok niej, patrzył jej prosto w oczy i z każdą sekundą coraz bardziej niebezpiecznie przybliżał się do jej ust.

TTLR

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

– I co, podobał ci się ten facet, z którym byłaś na randce? – zapytał rano Jeff ze wzrokiem wlepionym w płatki śniadaniowe.

– Jest całkiem fajny. – Robin naląła sobie kawy i dosiadła się do synka. Spała dziś do późna z zamiarem spędzenia leniwego niedzielnego poranka. Przed pójściem do kościoła na jedenastą chciała zjeść razem z Jeffem śniadanie.

Jeff wahał się przez chwilę, a potem rzucił niby mimochodem:

– Jest fajniejszy od Cole'a?

– Cole jest... fajniejszy – przyznała niezbyt chętnie.

Słowa „fajny” i „fajniejszy” nie wydawały się jej najbardziej właściwe, by opisać różnicę między Frankiem i Cole'em, ale być może dla jej dziesięcioletniego syna były właśnie w sam raz. Pewność dał jej uśmiech, który powoli zaczął się pojawiać na twarzy Jeffa.

– Widziałem wczoraj, jak cię przytulał – powiedział zadowolony i się wyszczerzył.

– Kiedy? – wypaliła i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to bardzo głupie pytanie.

Oczywiście, że mogło to być tylko wtedy, gdy przyszedł z nią porozmawiać i gdy przyznał się, że jest zazdrosny o Franka. Twierdził, że stoczył prawdziwą walkę ze swoimi emocjami, ale koniec końców i tak wyszedł na głupka. Robin natomiast była przekonana, że to ona się zachowała jak kompletna idiotka. Słowa jednak okazały się niepotrzebne i, zanim zdążyli pewne sprawy wyjaśnić, padli sobie w ramiona.

– Myślałaś pewnie, że śpię? Ale jak usłyszałem Cole'a, chciałem go zapytać, co ma zamiar zrobić z tamtym facetem, no i w ogóle z wami, więc

zszedłem na dół i zobaczyłem, że wasze twarze się ze sobą stykają... Nie wyglądało to tak, jakbyś tego nie chciała. Ja i Cole rozmawialiśmy kiedyś o dziewczynach i Cole mówił, że może nie są specjalnie zachwycające, gdy mają dziesięć lat, ale później robią się dużo bardziej interesujące. Powiedział, że dziewczyny są jak jabłka: na początku zielone i kwaśne, że aż wykrzywia usta, ale gdy dojrzeją, stają się słodkie i są naprawdę smaczne.

– Rozumiem – pokiwała głową, choć nie bardzo jej odpowiadało, że została przyrównana do jabłka.

– Jak zszedłem wtedy na dół, to się nie odzywałem, bo... no wiesz...

Robin nic nie powiedziała, upiła tylko łyk kawy, chcąc ukryć zmieszanie, które z pewnością łatwo było zauważyć na jej twarzy. Jeff przyłożył do ust miskę, z której jadł płatki, i wypił resztkę mleka, niemiłosiernie przy tym siorbiąc i mlaszcząc, a na koniec wytarł usta wierzchem dłoni.

– Nie siorb tak – upomniała go – i wycieraj buzię serwetką, a nie rękawem.

– Dobrze, a będziesz miała teraz dziecko?

Wprawił ją tym pytaniem w takie zakłopotanie, że nie była w stanie się odezwać. Omal nie udławiła się kawą, którą właśnie przełykała. Zaczęła krztusić się, prychać i kaszleć. Jeff, chcąc jej pomóc, uderzył ją otwartą dłonią w plecy, co jeszcze bardziej pogorszyło jej pożałowania godny stan. Gdy wreszcie uspokoiła się i złapała oddech, łzy spływały jej ciurkiem po twarzy.

– Mamo – spytał Jeff z troską w głosie – wszystko w porządku? – Zniknął nagle, a po chwili wrócił z pudełkiem chusteczek.

– Dziękuję – szepnęła Robin i otarła twarz. Musiała się pozbierać, co zajęło jej dłuższą chwilę. Owszem, planowała przeprowadzić z nim taką rozmowę w najbliższej przyszłości, ale jeszcze nie teraz. – Posłuchaj, Jeff, od pocałunku nie zachodzi się w ciążę...

– Nie? Naprawdę? – W jego głosie wyraźnie pobrzmiwał zawód. – A ja myślałem... to znaczy miałem nadzieję... To nie będziesz miała dzidziusia?

– Nie, nie od pocałunku – powtórzyła Robin zniżonym głosem.

– A ja już myślałem, że następną rzeczą, jaką mi powiesz, to że będziemy musieli oszczędzać na dzidziusia, tak jak musieliśmy oszczędzać na dom, a teraz na płot, żebyśmy mogli kupić psa.

Ta rozmowa coraz bardziej zaczynała się zapętlać.

– Nie, nie będziemy musieli oszczędzać na dzidziusia – wyjaśniła raz jeszcze, wyraźnie intonując każde słowo.

– A właściwie dlaczego nie? W sumie chciałbym być starszym bratem. Może kiedyś o tym nie myślałem, ale jak jedliśmy kolację w tej chińskiej restauracji, taka babcia z dziadkiem obok nas myśleli, że jesteśmy rodziną, i właśnie wtedy zacząłem zastanawiać się nad tym, jak by to było mieć rodzeństwo.

– Jeff – powiedziała Robin, próbując zebrać myśli – zanim pojawi się dziecko, musi pojawić się mąż. – Zakłopotana, potarła nerwowo czoło.

– No, przecież wiem – odparł Jeff, jakby to było dla niego całkiem oczywiste i jakby go dotknęła, sądząc, że nie wie tak podstawowych rzeczy. – Najpierw musiałabyś wyjść za mąż za Cole'a. Ale ja nie mam nic przeciwko temu, przecież lubisz go, prawda? Gdybyś go nie lubiła... to chyba byś go tak nie całowała? – dokończył po krótkim wahaniu.

Robin westchnęła ciężko. Oczywiście, że lubiła Cole'a, ale to wszystko nie było takie proste, jak sądził Jeff, i nie była pewna, czy potrafi to wyjaśnić w sposób zrozumiały dla dziesięciolatka.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś się tak całowała z jakimś facetem – ciągnął dalej Jeff. – To wyglądało całkiem na serio. I słyszałem jeszcze, kiedy



wchodziłem po schodach na górę, że Cole cię pyta, czy nie poszłabyś z nim na kolację. To chyba dobrze, o ile znam się na tym.

Następnym razem, gdy Cole zechce mnie pocałować, musimy być bardziej czujni, pomyślała Robin. Może powinniśmy skorzystać z kryjówki w jego ogrodzie? Ach, te dzieci...

– I co, pójdziesz z nim na kolację?

– Tak, ale...

– No to w czym problem? Poproszę go, żeby się z tobą ożenił, jeśli chcesz...

– Jeff! Dość tego – krzyknęła Robin i zerwała się na równe nogi. – Absolutnie wykluczone, to sprawa między mną i Cole'em i obawiam się, że w tym przypadku twoja pomoc będzie całkowicie zbyteczna. Rozumiemy się?

– No dobra, jak nie, to nie, chciałem tylko pomóc. – Nie wyglądał na zadowolonego. Zrezygnowany wziął kolejny tost i spojrzał na nią pytająco. – Ale weźmiecie ślub, dobrze?

– Nie wiem, Jeff.

– Czemu nie? Cole to najlepsza rzecz, jaka mogła się nam przytrafić! – Patrzył na nią z entuzjazmem i z wyrzutem zarazem.

Naprawdę trudno jej było znaleźć odpowiednie słowa.

– To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje, możesz mi wierzyć, skarbie. – Zerknęła na zegarek. – Zresztą pora już się ubierać i iść do kościoła.

Jeff kiwnął głową i wbiegł po schodach na górę, a ona powoli podążyła za nim, ciesząc się, że zakończyli już tę trudną i kłopotliwą rozmowę. Gdy wrócili do domu po mszy, Jeff wziął swoją rękawicę baseballową i powiedział:

– Idę z Jimmym Wallachem na boisko szkolne, żeby poćwiczyć rzuty, dobra?

– W porządku – zgodziła się machinalnie, bo była pochłonięta swoimi myślami. – A kiedy wrócisz?

– Za jakąś godzinę.

– Dobrze, pójdę w tym czasie na zakupy. Jak nie będzie mnie w domu, wiesz, co masz robić...

– Jasne, pracę domową – powiedział niezbyt uszczęśliwiony.

– Pani Robin Masterson? – zapytała wysoka kobieta w średnim wieku, próbując precyzyjnie się obok Robin ze swoim wózkiem na zakupy.

– Tak – odparła Robin.

Spojrzenie kobiety było ciepłe, a uśmiech przyjazny.

– Tak mi się zdawało, widziałam panią kiedyś z daleka z Jeffem. Nazywam się Joyce Wallach. Jimmy zaprzyjaźnił się z pani synem i bawią się teraz razem na boisku.

– Ach, tak, wiem, miło mi.

Robin ucieszyła się z tego spotkania. Rozmawiała z mamą Jimmy'ego kilka razy przez telefon i poznała jej męża, gdy odbierała od nich Jeffa. Chłopcy chcieli grać w jednej drużynie i byli bardzo zawiedzeni, gdy przydzielono ich do dwóch różnych. To właśnie Jimmy powiedział Jeffowi o śmierci syna Cole'a.

– Bardzo chciałam was zaprosić na kawę, ale zaczęłam pracę na pół etatu i jakoś nie mogę się zorganizować.

– Wiem, co to znaczy – powiedziała Robin. Całe jej życie wypełniała dotąd praca i opieka nad Jeffem. Nie rozumiała, jak inne matki są w stanie pogodzić tyle rzeczy.

– A w ogóle, to mów mi Joyce. Może masz teraz chwilę, żeby pogadać? Mogłybyśmy przysiąść na moment w którejś z kawiarenek...?

– Świetnie, jestem Robin. Ja też się cieszę z tego spotkania, również bardzo chciałam cię poznać.

Wallachowie mieszkali zaledwie dwie ulice dalej i naprawdę szczerze się cieszyła, że Jeff znalazł w Jimmym przyjaciela. Z Kelly także się zaprzyjaźnił, ale wiadomo, jako dziesięciolatek nie lubił się afiszować ze swoją znajomością z dziewczyną. W jego oczach Kelly wciąż była jeszcze zielonym jabłkiem z anegdoty Cole'a. Jeszcze parę lat i z pewnością doceni to, że mieszka dosłownie obok, pomyślała Robin.

– Czy Jeff też tak uwielbia baseball? – spytała Joyce, nalewając sobie kubek mrożonej herbaty w barze samoobsługowym.

– Tak, przepada za tym sportem i był bardzo rozżalony, że nie może grać w jednej drużynie z Jimmym.

– Teraz podzielili dzieciaki zgodnie z rokiem urodzenia. Jimmy jest ze stycznia, więc przeszedł do innej grupy. Moim zdaniem to nie ma sensu – powiedziała Joyce, marszcząc zabawnie nos, a potem się roześmiała.

Jej śmiech był taki zaraźliwy, że i Robin zaczęła się śmiać. Zapłaciły w kasie i usiadły przy jednym ze stolików w strefie gastronomicznej.

– Mam ochotę cię uściskać – ciągnęła dalej Joyce z szerokim uśmiechem na ustach. – Widziałam Cole'a Camdena w parku Balboa i nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Miałam wrażenie, że czas cofnął się o dziesięć lat. Był z nim Jeff...

– Tak, Cole był taki miły i przyszedł na jego pierwszy mecz.

– Nie wiem, czy dotarły już do ciebie te plotki, że Cole ostatnio bardzo się zmienił. Nawet nie masz pojęcia, jak przyjemnie jest na to patrzeć. Ten człowiek tyle wycierpiał...

– Jest naprawdę cudowny dla Jeffa – powiedziała Robin i przełknęła nerwowo. Wciąż prześladowała ją myśl, że przede wszystkim pragnie znaleźć

w Jeffie utraconego syna, a dopiero w drugim rzędzie zbliżyć się do niej, i to jej bardzo przeszkadzało.

– Wydaje mi się, że to znajomość z wami tak go zmieniła i tak doskonale na niego wpłynęła.

Robin czuła, jak powoli zamiera jej uśmiech na ustach. Spuściła wzrok i wbiła go w plasterek cytryny, który pływał w filiżance z herbatą.

– Zналиśmy Camdenów z mężem naprawdę dobrze, zanim się rozeszli. Larry, to znaczy mój mąż, grał w każdą sobotę z Cole'em w golfa. I nagle dowiedzieliśmy się, że Jennifer go zostawiła. To był szok, i na dodatek zabrała ze sobą Bobby'ego. Cole starał się, jak mógł, żeby uratować ich małżeństwo, ale, jak się okazało, już od dawna mieli kłopoty. Był wyjątkowym ojcem i nie widział świata poza swoim synkiem, dlatego zrobiłby chyba wszystko, żeby mu zaoszczędzić tej traumy związanej z rozwodem. Za to Jennifer nie była skłonna do ustępstw... – Joyce zawiesiła głos, jakby nagle zdała sobie sprawę, że może za dużo już powiedziała. – Może nie powinnam już tego drażnić, nie miałam takiego zamiaru. W końcu to przeszłość. Ale chciałam, żebyś wiedziała, że jest mi bardzo miło, że cię poznałam.

– Może to i przeszłość, ale Cole nie zdradził mi zbyt wiele na ten temat. – Musiała ugryźć się w język, żeby nie poprosić Joyce o dalszy ciąg tej opowieści. – Ja też bardzo się cieszę, że cię poznałam i że Jeff znalazł wreszcie przyjaciela, którego tak długo szukał. Jakoś mało jest tu w okolicy chłopców w jego wieku. Był taki szczęśliwy tego dnia, kiedy poznał Jimmy'ego w szkole i dowiedział się, że mieszkacie zaraz obok. Większość dzieci, które mieszkają w pobliżu, to dziewczynki, co, mówiąc delikatnie, nie zachwyciło mojego dziesięciolatka. To wspaniale, że zaprzyjaźnił się z twoim synem.

Joyce uśmiechnęła się ciepło. Była energetyczna i ekspresyjna, gdy coś opowiadała, zawsze żywo gestykulowała. Robin odnosiła wrażenie, jakby znała ją już od lat.

– Zwykle w najbliższym sąsiedztwie nie zmienia się zbyt wiele – powiedziała Joyce. – Od dawna stanowimy zgraną paczkę, jak pewnie zdażyłaś się już zorientować. Heather Lawrence też jest wyjątkowo urocza, szkoda tylko, że nie mam więcej czasu, żeby ją lepiej poznać. A Cole... cóż, ten wielki dom chyba od pokoleń należy do jego rodziny, ale szczerze mówiąc, sądziłam, że go opuści po śmierci Jennifer i Bobby'ego i przeniesie się na wieś.

Na chwilę zapadła głucha cisza.

– Co powiedziałaś? – zapytała Robin zszokowana.

– No, że nie rozumiem, dlaczego Cole wciąż mieszka na Orchard Street.

– Nie, potem, o śmierci Jennifer i Bobby'ego. – Słowa z trudem przeciskały się jej przez zaciśnięte gardło.

– Myślałam, że wiesz... oboje zginęli... w wypadku. – Joyce była wyraźnie zmieszana i zatroskana zarazem. – Byłam pewna, że Cole ci o tym powiedział.

– Nie, wiedziałam tylko o Bobbym, bo Jimmy powiedział o tym Jeffowi... ale nie miałam pojęcia, że żona Cole'a również nie żyje. Heather Lawrence powiedziała mi o rozwodzie, ale nie wspomniała ani słowem o śmierci Jennifer.

– Wcale nie jestem pewna, czy Heather o tym wie, wprowadziła się tu długo po ich rozwodzie, a Cole na ogół nie opowiada nikomu o sobie.

– Kiedy się to wszystko wydarzyło? – zapytała Robin, będąc wciąż jeszcze w szoku.

– Jakies pięć, może sześć lat temu. To straszna tragedia, na samo wspomnienie boli mnie serce. Nie chcę rozpowiadać plotek, ale jeśli można tu

kogoś winić, to na pewno Jennifer. Nie należała do osób, które łatwo dają się poznać czy polubić. Nie powinno się źle mówić o zmarłych i nie chcę być złośliwa, ale można powiedzieć, że Jen, zostawiając Cole'a, wyświadczyła mu niemal przysługę. Oczywiście on tego tak nie widział, był zakochany w swojej żonie i szalał za synkiem. Prawdę mówiąc, myślę, że przymykał oko na wady swojej żony ze względu na Bobby'ego.

– Ale co się właściwie wydarzyło? – Może nie powinna była o to pytać, ale chciała już raz wreszcie zakończyć ten temat. Cole nigdy nie zdradził jej ani słowa i nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek to zrobi, a trudno było żyć obok kogoś, o kim tak niewiele się wiedziało.

– Jennifer nigdy nie była zachwycona statusem Cole'a, który przyjął pracę adwokata w sektorze państwowym. Czasem, gdy spotykałyśmy się na kawie, narzekała, że Cole marnuje swój potencjał i że mógłby zarabiać znacznie większe pieniądze. Według niej był przeznaczony do wyższych i lepszych celów, ale on kochał pracę i czuł się zobligowany, by dobrze wypełniać swoje obowiązki. Jen nigdy tego nie rozumiała i nawet nie starała się podjąć takiej próby. Liczył się tylko jej punkt widzenia i wysoki standard życia. Wciąż chciała więcej, ale sama nie pracowała, więc zaspokojenie jej aspiracji spoczywało na barkach Cole'a. – Joyce wzruszyła ramionami. Była wyraźnie smutna. – Jen nie była usatysfakcjonowana swoim życiem, nienawidziła tego domu i sąsiedztwa, ale chyba zauważyła, że narzekanie i próby manipulacji nic tu nie pomogą. Cole nie chciał zrezygnować ze swojej pracy, więc zrobiła to, co uważała za słuszne: zostawiła go i zabrała ze sobą Bobby'ego.

– I Cole nie próbował dochodzić swoich praw jako ojciec?

– Oczywiście, że tak, wiedział, jak zresztą wszyscy, że Jen używa ich synka niczym pionka w grze. Nigdy nie była uosobieniem macierzyństwa, wiesz, o co mi chodzi, a poza tym... – Joyce zawiesiła na chwilę głos, jakby się

wahała – skoro masz poznać całą prawdę, musisz wiedzieć, że nadużywała alkoholu. Nieraz, jak odwoziłam Bobby'ego do domu, miałam wrażenie, że piła alkohol. Zresztą chciałam zeznawać na ich sprawie rozwodowej na korzyść Cole'a i nawet mu to powiedziałam, ale potem wydarzył się ten wypadek i było już za późno...

– Wypadek? – Robin robiło się coraz ciężiej na duszy i zaczęły przypominać się jej rzeczy, o których tak bardzo chciała wreszcie zapomnieć... Ten straszny dzień, kiedy okrutny los odebrał jej męża.

– To była wina Jennifer, mam na myśli tę kraksę. Piła i nie powinna była usiąść za kierownicą. Zaledwie dzień wcześniej Cole konsultował się z prawnikami, prosząc o szybkie rozpatrzenie ich sprawy, bo czuł, że Jen traci nad sobą kontrolę i staje się coraz bardziej nieodpowiedzialna jako matka. Odkąd się wyprowadziła, jej choroba alkoholowa zaczęła się pogłębiać. Była już bardzo uzależniona...

– O, nie – wyszeptała Robin ze ściśniętym sercem. – Jak bardzo musiał czuć się winny.

– To było naprawdę straszne – ciągnęła dalej Joyce z przejęciem. – Nie byłam pewna, czy Cole przetrwa ten pierwszy rok. Zamknął się w tym swoim starym domu i nie kontaktował się z nikim w sąsiedztwie. Trawiła go potworna gorycz i rozpacz. Po jakimś czasie zdawało się być trochę lepiej, ale nigdy już nie był tym samym pogodnym facetem co dawniej. Największą ironią w tym wszystkim jest fakt, że Jennifer mogłaby ostatecznie dostać to, czego chciała, bo kilka lat temu Cole wszedł w spółkę z jedną z najlepszych kancelarii adwokackich w okolicy. Gdyby tylko miała więcej cierpliwości, dopięłaby swego, bo wyrobił sobie naprawdę dobrą markę jako adwokat, choć pieniądze i rozgłos nigdy nie były dla niego szczególnie ważne. Nie zdziwiłabym się, gdyby któregoś dnia to wszystko rzucił.



– Chyba masz rację. Powiedział mi kiedyś, że niedaleko stąd ma posiadłość po dziadku i że gdy wykona niezbędne prace remontowe, będzie chciał się tam przenieść. To tam właśnie spędza większość swoich weekendów.

– Właśnie się tak nad tym zastanawiałam, gdzie jeździ na weekendy. Chodziły plotki, że w grę wchodzi jakaś kobieta, ale każdy, kto zna Cole'a trochę lepiej, wiedział, że to wierutna bzdura, bo nie jest typem do potajemnych romansów.

Robin poczuła wstyd, przypominając sobie, że sama była skłonna w tę plotkę uwierzyć.

– Cały czas poważnie się zastanawiałam, czy kiedykolwiek uda mu się przetrwać śmierć Jennifer i Bobby'ego. Ale myślę, że wreszcie nastął ten moment, i wciąż nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to w dużej mierze zasługa twoja i Jeffa.

– A może po prostu stopniowo wyszedł ze swojej skorupy – powiedziała Robin, nie chcąc przypisywać sobie tak znacznych zasług. – Czas leczy wszystkie rany...

– Może, ale to, co ostatnio się z nim dzieje, jest naprawdę bardzo obiecujące. Nie wiem, czy czujesz coś do Cole'a i czy jest coś między wami, ale wierz mi, trudno byłoby znaleźć lepszego faceta.

– Ja... chyba się w nim zakochałam – powiedziała Robin, po raz pierwszy ubierając w słowa to, co czuła. Gdy raz zawisły już w powietrzu, było za późno, by je cofnąć.

– To wspaniale, naprawdę – ucieszyła się Joyce.

– Sama nie wiem... – Robin wciąż była zszokowana swoim niecodziennym wyznaniem. Jednocześnie była trochę zła na Cole'a, że jej o niczym nie powiedział, nie wspomniał nawet słowem o tragedii, którą przeżył przed laty, i to bolało ją bardziej, niż by tego chciała. Jednak zdawała sobie

sprawę, że ten ból był niczym w obliczu cierpienia, które musiał odczuwać Cole każdego ranka, gdy tylko się budził, cierpienia, które odcisnęło piętno na całym jego życiu.

– O matko – westchnęła Joyce, widząc w oczach Robin łzy – lepiej by było, gdybym trzymała język za zębami. Niepotrzebnie cię tylko rozstroiłam tą moją opowieścią.

– To nie tak... – Robin siliła się na uśmiech. – Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś, pomimo że to naprawdę bardzo bolesna historia. – Żal jej było Cole'a z całego serca, ale czuła też coś znacznie mniej szlachetnego: żal do niego, że nie okazał jej zaufania.

W drodze do domu była bardzo roztrzęsiona, tak bardzo, że zapomniała skręcić tam gdzie zwykle. Dlatego, by dotrzeć do Orchard Street, musiała pojechać okrężną drogą przez małe, wąskie uliczki. Cole podlewał akurat trawnik w swoim ogrodzie i pomachał do niej przyjaźnie, ale udała, że go nie widzi. Potrzebowała trochę czasu, żeby oswoić się z tym, co usłyszała, zanim stanie z nim twarzą w twarz. Wyśliznęła się z samochodu i przemknęła wzdłuż muru w stronę drzwi wejściowych. Była już prawie bezpieczna, gdy usłyszała nagle jego donośny głos:

– Robin! Zaczekaj chwilę – zawołał i podbiegł w jej kierunku. Jego piękne oczy lśniły szczęściem.

Zdażyła się wyprostować, zaczerpnąć powietrza i przybrać miły wyraz twarzy. Nie chciała, żeby poznał po niej, że wie więcej, niż zechciał jej sam powiedzieć.

– Czy Jeff wspominał coś o naszym wczorajszym pocałunku? – zapytał.

Miała tak sucho w ustach, że musiała kilka razy przełknąć, nim udało się jej wydusić odpowiedź.

– Tak, ale nie martw się, wyjaśniliśmy to sobie.

– Cholera! – zaklął Cole i pstryknął palcami. – A już miałem nadzieję, że dojdzie do małżeństwa z przymusu – roześmiał się.

– No nie żartuj – pokręciła głową i spuściła wzrok. Nie chciała, żeby wyczytał z jej oczu emocje, które nią targały.

– Robin... – szepnęła z czułością – czy coś jest nie tak?

Znowu potrząsnęła głową i przełożyła siatkę z zakupami z jednej ręki do drugiej.

– Wszystko jest w porządku – powiedziała z udawaną wesołością.

Wziął od niej torbę, a ona nie miała nawet siły, żeby zaprotestować. Czowała się bezgranicznie wyczerpana. Ruszyła w stronę domu, wiedząc, że Cole pójdzie za nią.

– No powiedz, co się dzieje? – zapytał, gdy znaleźli się już w kuchni.

Żeby tylko wiedział, pomyślała, jak trudno jest jej odpowiedzieć na to pytanie. Jak miała dobrać słowa, by opisać to, o czym się właśnie dowiedziała, żeby go nie urazić i nie sprawić mu przykrości?

– Nic, mam po prostu jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, jeśli mamy wyjść dziś wieczorem.

– Ubierz się szalowo, bo chcę cię zabrać do czterogwiazdkowej restauracji.

– Szalowo ubrać? – Oczyma wyobraźni przeszukała swoją szafę, w której naprawdę trudno by było znaleźć coś szalowego.

– Nie mogę przecież pozwolić, żeby przebił mnie jakiś Frank – powiedział ze śmiechem.

Nie musiał się starać, bo nie istniało takie zagrożenie. Była zaledwie o włos od tego, żeby zakochać się w nim na zabój i ani Frank, ani żaden inny facet nie miał już u niej szans; tak blisko, że wszystko wypaplała dziś kobiecie, którą znała zaledwie pięć minut. Odstawiła torby z zakupami na blat obok tych,

które postawił Cole, i stała przez chwilę bez ruchu ze spuszczoną głową. Na ramionach poczuła silne ręce Cole'a, a wraz z nimi bezpieczeństwo i czułość.

– To naprawdę nie jest konieczne... – powiedziała i zamknęła oczy.

Cole odwrócił ją do siebie i zapytał:

– Co nie jest konieczne?

– No, ta kolacja i to wszystko...

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem, zupełnie tak, jakby ktoś to wyreżyserował, padli sobie w objęcia. Głuche westchnienie wyrwało się z piersi Cole'a, gdy zetknęły się ich usta. Ręce wplątał w jej gęste kasztanowe włosy i całował ją z taką czułością, jakby była najdelikatniejszą istotą na ziemi. Robin wspięła się na palce i mocno objęła go za szyję. Cały świat zaczął wirować w coraz szybszym tempie, a serce waliło jej młotem, gdy usłyszała szcęk zamka w drzwiach. Ze stłumionym jękiem zdążyła odsunąć się o krok, zanim do kuchni wbiegł Jeff. Stał jak wryty i zmarszczył brwi, z czego jasno wynikało, że połapał się w sytuacji.

– Cześć, mamó, cześć, Cole – powiedział, a potem z opuszczoną głową podszedł do lodówki i zajrzał do środka. – Mamy coś porządnego do picia? – zapytał.

– Woda? – zaproponowała Robin.

– Bardzo śmieszne, mamó. – Jeff przewrócił oczami.

– W samochodzie zostały jeszcze torby z zakupami, może je przyniesiesz?

Jeff spojrział na nią niezbyt zachwycony tą perspektywą.

– Znajdziesz tam sześciopak lemoniady – powiedziała.

– No dobra – rozchmurzył się i wybiegł z domu.

– Po chwili wrócił z dużą siatką i zaczął wystawiać jej zawartość na blat kuchenny.

– Pomogę ci – zaferował Cole, kładąc chłopcu rękę na ramieniu. Rzucił Robin przelotne spojrzenie, które mówiło, że dokończą tę rozmowę w bardziej dogodnej chwili.

Robin zaczęła więc rozpakowywać zakupy, nie zwracając większej uwagi na Jeffa i Cole'a, którzy wnosili do domu kolejne siatki. Gdy skończyli, Cole powiedział, że odbierze ją o szóstej, i wyszedł.

– Mogę iść na chwilę do Cole'a i pobawić się z Blackiem? – zapytał Jeff, popijając lemoniadę z puszki.

– Jasne, idź – kiwnęła głową wdzięczna, że będzie miała parę minut dla siebie, i zabrała się za przygotowanie dużej kanapki na lunch dla Jeffa. Musiała go bardzo wciągnąć ta zabawa z Blackiem, bo zapomniał nawet o swoim głodzie. Wyszła więc na werandę i przez chwilę przyglądała się, jak biegają razem po ogrodzie. Jej syn naprawdę miał smykałkę do zwierząt. Za każdym razem przychodziło jej to do głowy, gdy patrzyła na ich harce. Po chwili zza domu wyłonił się Cole, który podlewał trawnik. Uśmiechnęła się do niego i zawołała syna. – Jeff, chodź, zrobiłam ci pyszną kanapkę.

– Już idę, chwilka. Popatrz – krzyknął, rzucając przed siebie piłkę. Labrador pobiegł za nią, schwycił ją w pysk i zadowolony biegał w kółko.

– Do nogi, Blackie! – zawołał Jeff, a gdy pies stanął obok niego, powiedział, śmiejąc się: – Teraz ty rzucasz!

– A niby jak ma to zrobić? – zdziwiła się Robin pomysłem syna.

– Naprawdę umie, popatrz tylko.

I faktycznie, Blackie podskoczył, odrzucił głowę do tyłu i piłka poleciała w kierunku ulicy.

– Zaraz ją złapię! – krzyknął Jeff.

Robin spojrzała na Cole'a, ale niespodziewanie zamiast uśmiechu dostrzegła przerażenie malujące się na jego twarzy. Upuścił wąż i z krzykiem

ruszył pędem przed siebie. Była, podobnie jak jej syn, tak bardzo oczarowana umiejętnościami Blackiego, że nie zauważyła nadjeżdżającego samochodu, który zmierzał wprost na Jeffa.

TTLR

## ROZDZIAŁ ÓSMY

– Jeff! Uważaj! – krzyknęła co sił i ugięły się pod nią kolana. Widziała, jak Cole w ostatniej sekundzie chwytła Jeffa w pól i odciąga go na bok, dosłownie tuż przed maski samochodu. Potem razem upadli na trawę. Podbiegła do nich, krzycząc niemiłosiernie. – Tyle razy ci mówiłam, Jeff, tyle razy, żebyś się rozglądał, zanim wybiegniesz na ulicę! – Jej głos był piskliwy i histeryczny. – Za ten kaskaderski wyczyn zasługujesz na takie lanie, jakiego jeszcze nigdy nie dostałeś! – krzyknęła, wybuchając płaczem. Nie była w stanie zapanować nad nerwami.

– Ale ja widziałem ten samochód – bronił się Jeff. – Zatrzymałbym się, naprawdę... – Mówiąc to, wstał z trawy, otrzepał się i zrobił obrażoną minę, by uzmysłować wszystkim, że taka panika nie była potrzebna.

– Wracaj do domu – powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu. Tak się trzęsła, że trudno jej było mówić.

Chłopiec, z opuszczoną głową, bez gadania poszedł w kierunku domu. Blackie, nie rozumiejąc, co się dzieje, pobiegł za nim z piłką w pysku. Najwyraźniej chciał dokończyć grę.

– Koniec zabawy na dziś – wycedził Jeff ze złością na tyle głośno, by to usłyszała. – Moja mama dostała ataku paniki i zostaliśmy za to ukarani.

Cole nie otrząsnął się tak szybko po tym zdarzeniu jak Jeff. Wciąż siedział na ziemi, pocierając nerwowo ręką czoło. Był blady jak kreda, a na jego twarzy wciąż malowało się skrajne przerażenie.

– Wszystko jest w porządku – powiedziała, ocierając łzy, i uklękła obok niego. – Nic się Jeffowi nie stało.

Cole, wyraźnie nieobecny, tylko pokiwał głową. Wzrok miał pusty i nie mógł wydusić ani słowa.



– Cole... Dobrze się czujesz? Nic sobie nie zrobiłeś?

– Nie, nie wiem... – wycedził z trudem przez zaciśnięte wargi i pokręcił głową. Potem uśmiechnął się blado, lecz spojrzenie wciąż miał jakby niewidzące. – Przez chwilę myślałem, że Jeff nie zauważył samochodu i... nie wiem... Gdyby mu się coś stało...

– Nic się nie stało, wszystko jest w porządku, bardzo ci dziękuję za szybką reakcję. – Obiema dłońmi pogładziła go po twarzy, pragnąc dodać mu otuchy, chociaż sama czuła się okropnie. Tyle razy w ciągu ostatnich tygodni snuła podejrzenia, że uczucie Cole'a ma więcej wspólnego z chęcią znalezienia sobie rodziny niż z miłością do niej. Ale teraz nagle nie miało to znaczenia.

Niespodziewanie Cole objął ją mocno w talii, przyciągnął do siebie i skrył twarz w jej włosach. Ciężko oddychał, a serce omal nie wyskoczyło mu z klatki piersiowej.

– Chodź, wejdiesz do mnie i napijemy się kawy – powiedziała.

Wydał z siebie cichy pomruk zgody, ale nawet nie drgnął, jakby nie zamierzał jej puścić. Zresztą ona również się nie poruszyła, tylko zatopiła mu rękę we włosach i przycisnęła policzek do jego policzka. Napawali się tą chwilą bliskości, a gdy minął już najgorszy strach, Cole powiedział niemal szeptem:

– Straciłem syna... – Słowa te zdawały się pochodzić z najgłębszych zakamarków jego duszy. Było w nich takie cierpienie, które mógł zrozumieć tylko ktoś, kto sam przeżył podobną tragedię. – W wypadku samochodowym, sześć lat temu – wyznał.

– Wiem, słyszałam o tym...

Wtedy odsunął się i uniósł wzrok. Gorycz mieszała się z zakłopotaniem.

– Kto ci powiedział?

– Joyce Wallach, przyjaźniliście się...

Cole zamknął na chwilę oczy.

– Kiedyś tak, to prawda. – Pokiwał głową.

– Chyba dobrze mi zrobi kawa.

Oboje wstali, a Cole objął ją w pół, lecz sam nie wiedział, czy po to, by dać jej wsparcie, czy raczej po to, by samemu się wesprzeć. Przed domem na schodach siedział Jeff z brodą opartą na kolanach. Blackie, jak zwykle lojalny, leżał u jego stóp.

Gdy otworzyła drzwi, Jeff spojrzął za nimi i powiedział raz jeszcze z wyrzutem:

– Widziałem ten samochód, naprawdę, wszystkim się zawsze tak przejmujesz... Ale co się stało Cole'owi? – Spojrzął na sąsiada, a potem na mamę. – Nie wygląda dobrze. Nic ci nie zrobiłem, jak upadaliśmy? – zwrócił się do Cole'a zmartwiony.

– Nie, wszystko w porządku – powiedział słabym głosem Cole.

– To nie brzmi przekonująco. – Jeff zmarszczył brwi. – Jesteś całkowicie pewien, że nic ci nie jest?

– Tak.

Jeff pokiwał głową bez przekonania.

– OK... skoro tak mówisz.

– Ty też nie wyglądasz najlepiej – odwzajemnił mu się Cole.

– Zrobi mi się lepiej, jak się dowiem, jakie mama ma plany wobec mnie.

Dlaczego mi nie wierzycie, naprawdę zamierzałem zatrzymać się przy krawężniku, serio no...

Świetny materiał na prawnika, pomyślała Robin, patrząc na synka.

– Może moja reakcja była trochę przesadna – przyznał Cole. Rozłożył ramiona, a Jeff bez chwili wahania przytulił się do niego.

Cole zamknął oczy, jakby w cichej wdzięczności za życie Jeffa. Był bezpieczny i tylko to się liczyło.

– Nie chciałem cię przestraszyć, zatrzymałbym się...

– Wiem, a przynajmniej mam taką nadzieję, bo nie mogę być zawsze w pogotowiu...

Cole wypuścił chłopca z uścisku i westchnął ciężko. Potem spojrzał na Robin.

– Mówiłaś coś o kawie?

– Tak, już robię. Jeff, możesz iść do ogrodu, ale nigdzie nie odchodź i nie rzucaj daleko piłką, żeby Blackie nie wybiegał za posesję.

– Dobrze, mam, ale co, to już wszystko? Nie dostanę żadnej kary? No, tak, jasne że nie – poprawił się szybko. – Przecież w końcu nic się nie stało. Dzięki, mam – zawołał i zbiegł po schodach, a Blackie zaraz za nim.

Robin odetchnęła z ulgą. Sytuacja była opanowana. Nalała kawę do przygotowanych filiżanek i postawiła je na stole, przy którym siedział już Cole. Zajęła miejsce naprzeciwko niego i spojrzała zatroskana na jego bladą twarz. Bez słowa sięgnął po jej rękę i zamknął ją w swoich dużych, silnych dłoniach. Potem pogładził ją kciukiem i przez chwilę siedział w milczeniu ze wzrokiem wbitym w ich splecione ręce.

– Bobby, mój syn, zginął, gdy miał dziesięć lat – powiedział z ciężkim sercem. – Dokładnie tyle, ile teraz ma Jeff... Był jak żywe srebro i trudno się było przy nim nie uśmiechać.

Mówienie o Bobbym wyraźnie sprawiało mu ból. Chciała mu jakoś pomóc, ale niełatwo było wymyślić coś, co mogłoby uśmierzyć jego cierpienie,

– Był chłopcem, o jakim marzy każdy ojciec: dociekliwy, wrażliwy, trochę psotny, obdarzony bujną wyobraźnią...

– Przypomina mi to Jeffa – powiedziała Robin.

Cole pokiwał głową.

– Często mi powtarzał, żebym się nie zamartwiał za bardzo Jennifer, moją byłą żoną, bo on, mój dziesięcioletni synek, zaopiekuje się mną.

W jego oczach malował się niewyobrażalny ból, aż Robin wstrzymała oddech.

– Nie musisz mi o tym opowiadać... – Nie, jeśli miałyby to rozdrapać zabliznione rany, dodała w myślach.

– Powinienem ci już dawno o tym powiedzieć, a wciąż jeszcze, mimo upływu lat, ciężko mi mówić o moim synu. Przez ten cały czas czułem się tak, jakby wraz z Bobbym odeszła także jakaś część mnie, ta najlepsza... Ale teraz już tak nie myślę...

– Jeff przypomina ci Bobby'ego, prawda? – Wiele razy się zastanawiała, czy rozumie, że przenosi swoje ojcowskie uczucia na jej syna.

Cole uśmiechnął się słabo.

– Był wyższy od Jeffa i jego ulubionym sportem była koszykówka, chociaż wolał oglądać rozgrywki, niż sam grać. Tak naprawdę kochał komputery. Myślę, że gdyby żył, z pewnością poszedłby w tym kierunku. Jen tego nigdy nie mogła zaakceptować, wolałaby, żeby był sportowcem i miał bardziej atletyczną budowę, a on starał się, jak mógł, żeby ją zadowolić. – Cole spuścił wzrok. – Jennifer i ja wzięliśmy rozwód przed tym wypadkiem. Zginęła razem z nim i jedyne, co mnie pociesza, to fakt, że nie cierpieli. Nie zniósłbym myśli, że musieli cierpieć. – Cole upił łyk kawy i skrzywił się. – Dodałaś cukru?

– Pomyślałam, że przyda ci się odrobina cukru.

Uśmiechnął się.

– Jestem ci winien ogromne podziękowania...

– Mnie? – zdziwiła się.

– Pamiętasz to popołudnie, gdy Jeff uciekł?

Naturalnie, że pamiętała, nie było łatwo o tym zapomnieć. Przy Jeffie nie musiała się obawiać za niskiego tętna, swoimi wybrykami zawsze utrzymywał ją w formie.

– Wkrótce potem pojechałem w podróż służbową do Seattle...

Robin kiwnęła głową.

– Wtedy, kiedy Jeff zajmował się Blackiem – powiedziała.

– Dokładnie, i późnym popołudniem, gdy zakończyło się już spotkanie i miałem jeszcze kilka godzin do kolacji, poszedłem na spacer. Było jeszcze jasno i nagle znalazłem się na nabrzeżu. Niebo było nieskazitelnie błękitne, a woda przejrzysta jak kryształ. Mam to przed oczami, jak gdyby wydarzyło się dopiero wczoraj. Stałem sam w porcie i przyglądałem się, jak prom dobija do jednej z wysepek, torując sobie drogę przez fale. Myślałem o Bobbym intensywniej niż zwykle, bardziej wyraziście, chociaż zawsze jest w moich myślach, nawet teraz. I wtedy stała się bardzo dziwna rzecz, aż trudno mi to wyjaśnić. – Przez chwilę wahał się, jak gdyby w poszukiwaniu właściwych słów, które najlepiej by odzwierciedlały to, co zaszło. Nagle potrząsnął głową, jakby sprawa była z góry skazana na przegraną, jakby się poddał.

– Powiedz mi, proszę – powiedziała cicho. – Chcę to wiedzieć.

– Cóż, stojąc tam, w porcie, po raz pierwszy odkąd straciłem syna, poczułem jego obecność. To było tak, jak gdyby stał obok mnie i pokazywał palcem na różne ciekawe miejsca w okolicy i zadawał pytania. Jeszcze nigdy wcześniej nie czułem takiej lekkości w sercu, jakby ktoś zdjął mi z barków ciężar bólu i goryczy. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że na moich ustach pojawia się uśmiech. Ten uśmiech towarzyszy mi od tamtej chwili niemal nieustannie. Zupełnie jakby po latach paraliżu powróciło mi czucie i znowu mogę się śmiać. Wróciłem do hotelu i zapragnąłem usłyszeć twój głos. Nie

miałem jednak dobrego pretekstu, żeby do ciebie zadzwonić, dlatego zapytałem o Jeffa i Blackiego. Ale to ciebie wtedy chciałem usłyszeć...

Robin uśmiechnęła się przez łzy, które niespodziewanie napłynęły jej do oczu. Zastanawiała się, czy Cole zdaje sobie sprawę, jaką wartość ma dla niej to, co właśnie przed chwilą powiedział.

– W porcie w Seattle odnalazłem jakąś nową wolność, jakbym za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki został uwolniony od przeszłości. Nie do końca potrafię ująć to w słowa i powiedzieć, co się właściwie zmieniło, ale jednego jestem pewien: ty i Jeff odegraliście w tym bardzo istotną rolę. Bardzo to doceniam, ale jest jeszcze coś, coś, co się nagle we mnie zrodziło, gdzieś w głębi duszy, coś, co mi mówi, że pora już, by sobie odpuścić...

– To wspaniale, tak bardzo się cieszę – szepnęła Robin.

– Problem w tym, że nigdy nie uporałem się z nienawiścią, którą czułem po wypadku do Jennifer. To ona siedziała wtedy za kierownicą i to ona spowodowała wypadek. Z drugiej strony wiem, że nigdy naumyślnie nie zrobiłaby Bobby'emu krzywdy, kochała go tak samo jak ja, był przecież jej synem. Kiedy poznałem ciebie, zrozumiałem, że muszę jej wybaczyć. Nie byłem mężczyzną, którego potrzebowała, rozczarowałem ją i zawiodłem jej oczekiwania. Dopiero pod koniec naszego związku dotarło do mnie, że jest poważnie chora. Uzależnienie od alkoholu jest podobnym schorzeniem jak rak. Nie rozumiałem jej choroby, dlatego wszyscy cierpieliśmy.

– Jesteś dla siebie zbyt surowy – powiedziała Robin, ale był tak pogrążony we własnych myślach, że chyba nawet jej nie słyszał.

– Nienawiść i potworny żal drażyły mnie jeszcze długo po wypadku, ale nie starałem się uporać z tymi emocjami. Zamiast więc powoli zdrowieć, pozwalałem, by ta zgryzota trawiła mnie coraz bardziej. Odsuwałem się od przyjaciół, kolegów, a w zamian rzuciłem się w wir pracy. Znacznie więcej

czasu spędzałem w kancelarii i w sądzie aniżeli w domu, a Blackie, w sensie dosłownym, stał się moim jedynym kompanem. No i od jakiegoś czasu zająłem się tą posiadłością po dziadku, bo ciężka fizyczna praca dawała mi satysfakcję. Była na tyle wyczerpująca, że nie miałem siły nawet myśleć. Zapomniałem już, co to znaczy wygrzewać się leniwie w słońcu czy puszczać na wietrze latawiec. – Tu uśmiechnął się czule do Robin.

– To dlatego zabrałeś nas na ten piknik?

Na twarzy Cole'a malował się teraz niemal chłopięcy uśmiech.

– W parku Golden Gate byłem ostatnio z Bobbym, dlatego ten piknik stanowił dla mnie olbrzymie wyzwanie... Bardzo się bałem, że nie dam rady, a jednak przepełniała mnie radość i wdzięczność za tę zmianę, która się we mnie dokonała. Wierz mi, że zapomniałem, jakim dobrodziejstwem jest w życiu człowieka śmiech. Ty i Jeff pomogliście mi odbudować to, co zdawałoby się na zawsze utracić.

Robin westchnęła ciężko. Wszystko, co mówił Cole, potwierdzało jej najgorsze przeczucia.

– Mamo – do kuchni wbiegł Jeff, a zaraz za nim Blackie – jestem okropnie głodny! Jest w tym domu coś do jedzenia? A może zabierzecie mnie na tę kolację, co?

Cole zaśmiał się i wstał. Podeszedł do Jeffa i poczochnął go po głowie.

– Nie tym razem, kochany, ten wieczór jest zarezerwowany dla twojej mamy i dla mnie.

Dwie godziny później Robin stała przed lustrem w łazience i próbowała się wyszykować na kolację z Cole'em. Miała poważne wątpliwości co do tego, czy powinna w ogóle przyjąć to zaproszenie. Problem tkwił w tym, że zakochała się w facecie, który żył przeszłością i tak naprawdę nie pojednał się z losem; z losem, który mu odebrał żonę i syna. Zbyt dobrze to rozumiała z



własnego doświadczenia, by nie dostrzegać w spojrzeniu i w słowach Cole'a dramatu, który przeżył. Kochała Lenny'ego i czuła, że to się nigdy nie zmieni. Zginął parę lat temu, a jednak wciąż z nim rozmawiała i nie potrafiła do końca zaangażować się w inny związek. Jakaś jej część nieustannie go opłakiwała, nawet wtedy, gdy miała uśmiech na twarzy. Miała wrażenie, że tak już będzie na zawsze. Zmierzyła wzrokiem swoje odbicie w lustrze. Jasnoblękitna aksamitna spódnica do łydki dobrze pasowała do koronkowej białej bluzki i naszyjnika z pereł. Właśnie układała sobie włosy, gdy do łazienki wszedł Jeff. Oparł się o framugę i podjadał chipsy z torebki, którą trzymał w ręku.

– Ładnie wyglądasz – powiedział z aprobatą.

– Dziwi cię to? – zapytała, zakładając kolczyki z perłami.

Wyraźnie był zawiedziony, że nie może dzisiaj iść z nimi, ale starał się być dobrym kolegą dla Cole'a, tym bardziej że Cole obiecał mu wspólny wypad do portu na rybę z frytkami.

– Nie, dlaczego? – odparł z pełną buzią. – Ale założyłaś swoje perły...

– Tak, dziś jest dobra okazja. – Odwróciła się do niego. – I co, może być, podoba ci się?

– Raczej tak, nie znam się na takich rzeczach, ale pewnie Cole'owi będzie się podobać – rzucił bez większego entuzjazmu. – Może lepiej zapytaj panią Lawrence...

– Nie ma takiej potrzeby. – Nawet ta obojętna postawa Jeffa nie była dziś w stanie odebrać jej pewności siebie.

– To tata dał ci te kolczyki, prawda? I ten naszyjnik też?

– Zgadza się, na naszą pierwszą rocznicę ślubu.

– Tak mi się zdawało. – Jego twarz nabrała teraz refleksyjnego wyrazu. – Jak będę starszy, też będę robił takie przesłodzone rzeczy?

– Pewnie tak. – Rozbawiło ją to sformułowanie. – I nie tylko, będziesz zabierał swoją żonę na kolację, mówił jej, jaka jest piękna i jak bardzo ją kochasz.

– Fu! Przestań! – Jeff zmarszczył nos. – Naprawdę wiesz, jak zepsuć facetowi apetyt. – Odwrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz.

– Możesz już iść do Kelly, Cole będzie za minutę! – krzyknęła za nim.

– Dobra! A co mam powiedzieć jej mamie?

– Że nie wrócę zbyt późno.

– Na pewno nie mogę iść z tobą?

Tym razem nic nie odpowiedziała, czując, że tak naprawdę Jeff nie oczekuje odpowiedzi. Słyszała jeszcze, jak wydaje z siebie pomruk niezadowolenia, bardziej na pokaz niż z zawodu, a potem zatrzęsnęły się za nim wejściowe drzwi.

Robin uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze. Wyobraziła sobie Jeffa za parę lat i niespodziewanie ujrzała Lenny'ego. Tak, z pewnością będzie równie przystojnym mężczyzną, pomyślała z zadowoleniem. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że włożyłam dziś dla Cole'a perły od ciebie, skierowała w duchu pytanie do nieżyjącego męża. Wiedziała, że nie miałyby nic przeciwko temu. Zdążyła jeszcze lekko skropić perfumami nadgarstki, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Ostatni raz spojrzała w lustro i uśmiechnięta zeszła na dół, żeby otworzyć. Cole miał na sobie ciemny garnitur w drobne prążki, w którym wyglądał szalenie elegancko, aż zaparło jej dech w piersiach i nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Wszedł do środka, ujął jej dłonie i powoli zlustrował wzrokiem uczesanie, makijaż, naszyjnik, a potem starannie dobraną kreację.

– Wyglądasz nieziemsko – powiedział z nieskrywanym zachwytem.

– To samo pomyślałam o tobie, gdy tylko wszedłeś.

Uśmiechnął się zniewalająco.

– Pewnie gdy cię pocałuję, zrujnuję cały twój makijaż...

– Chyba tak...

– Ale i tak to zrobię – powiedział zniżonym głosem.

Jego pocałunek był czuły i delikatny, ale wystarczył, by nogi miała jak z waty. I nagle zdała sobie sprawę, że pod jego dotykiem jej ciało jakby budziło się z letargu. Czuła, jak krew pulsuje w żyłach i jak bije jej serce. Przy nim stawała się kobietą w każdym calu. Gdy Cole odsunął się o krok, ze zdziwieniem zauważyła, że drży na całym ciele i że najchętniej spędziłaby z nim ten wieczór w domu, sam na sam.

– Chyba trochę zepsułem ci fryzurę – powiedział Cole. – Przepraszam. – Przez moment gładził ją zmysłowo po karku.

– A ty masz szminkę na ustach. – Jej głos także drżał. Uniosła rękę i delikatnie przejechała palcem wskazującym po jego wargach. – Zaczekaj, tylko poprawię włosy i możemy iść.

Podeszła do lustra w przedpokoju, ostrożnie przeczesła włosy, które układały się we francuskie loki, i delikatnie odrzuciła je do tyłu. Potem wzięła do ręki spinki, by je upiąć. Cole stał w tym czasie tuż za nią.

– To hipnotyzujący widok – wyznał. – Już gotowe?

Kiwnęła tylko głową, wciąż zbyt oszołomiona, żeby coś powiedzieć. Gdy znaleźli się przy samochodzie, Cole otworzył drzwiczki od strony pasażera. Zanim wsiadła do środka, przelotnie musnął jej usta, a potem usiadł za kierownicą. Ruchy miał zwinne jak kot.

– Wciąż nie wiem, dokąd jedziemy – powiedziała.

– Wiem to tylko ja i pani Lawrence, na wypadek, gdyby cię potrzebowała. Dla ciebie ma to być niespodzianka.

Naprawdę nie miała pojęcia, dokąd chce ją zabrać. W San Francisco było dużo znanych, renomowanych restauracji, ale nie bywała w nich, a zatem jej

wiedza na temat ekskluzywnych lokali była poważnie ograniczona. Po chwili zorientowała się, że jadą w kierunku autostrady wijącej się wzdłuż nabrzeża, a więc za miasto.

– Cole... to dość daleko, prawda? – powiedziała z wahaniem, a w jej głosie brzmiała obawa.

– Nic się nie martw. – Obrzucił ją pełnym admiracji spojrzeniem, w którym czaiło się pożądanie. – Obiecuję ci, że kolacja będzie warta tej drogi.

Restauracja położona była wysoko na klifie, z którego roztaczał się naprawdę niezwykły widok. W dole olbrzymie fale roztrzaskiwały się z hukiem o skały. Cole zaparkował samochód, obszedł go od tyłu i podał Robin dłoń, by pomóc jej wysiąść. Także i tym razem skorzystał z okazji, by skraść jej przelotny pocałunek. Objął ją w talii i tak podeszli do przeszklonych drzwi restauracji. Kelner wskazał stolik przy oknie z widokiem na ocean i wystudiowanym, niemal teatralnym gestem podał menu. Robin przeleciała wzrokiem spis najróżniejszych wariacji mniej lub więcej znanych jej przekąsek. W znacznie mniejszym stopniu zachwyciły ją ceny. Jedno danie kosztowało tu więcej niż lunch przez cały tydzień na dwie osoby.

– Widzę, że nie żartowałeś, mówiąc o ekskluzywnej restauracji... – szepnęła i zagryzła nerwowo dolną wargę.

Cole uniósł wzrok znad menu i obdarzył ją zniewalającym uśmiechem.

– Dziś jest szczególnie wieczór...

– Gdyby nie to, jadłabym tost z serem i zupę pomidorową.

Zjawił się kelner i Cole zamówił wino: butelkę białego cabernet sauvignon. Po krótkiej burzy mózgów zdecydowali się na specjalność restauracji: małże i krewetki saute, które rzeczywiście okazały się tak soczyste i aromatyczne, jak obiecywała karta dań. Przegadali całą kolację od pierwszego łyka wina aż po wspaniałą kawę po irlandzku, którą właśnie podał im kelner.

Robin była naprawdę zdumiona, że tak wiele mieli sobie do powiedzenia, choć jak dotąd nie poruszyli tematu, który nurtował ją najbardziej. Chodziło o związek Cole'a z Jeffem. Nie chciała zepsuć cudownego nastroju tego wieczoru i miała wrażenie, że mogliby tak gadać całymi godzinami, bez końca. Rozmawiali o książkach, które przeczytali i które ich zachwyciły, o ciekawych filmach, muzyce, za którą przepadali, i była bardzo miło zaskoczona, gdyż się okazało, że mają podobny gust. Śmiali się i dyskutowali przez cały wieczór, jakby znali się już od lat i przyjaźnili przez większość życia. Z twarzy Cole'a nawet na chwilę nie zniknął uśmiech i aż trudno jej było sobie wyobrazić, że jeszcze niedawno zastanawiała się, czy ten facet w ogóle kiedykolwiek się uśmiecha. Opowiadała mu o swojej pracy, o tym, że bardzo lubi to, co robi, ale zwierzyła mu się także ze swoich obaw, że nie jest taką matką dla Jeffa, jaką chciałaby być.

– Jest tyle rzeczy, które chciałabym z nim zrobić, a nie mam na to zwyczajnie czasu. Doba jest po prostu za krótka.

Cole mówił o swojej karierze, o marzeniach i celach, jakie sobie wyznaczył. Ale też o tych czterdziestu akrach odziedziczonych po dziadku i o tym, że kiedyś miał nadzieję odciąć się dzięki nim od świata.

– Mam rozumieć, że porzuciłeś swoje plany, by przenieść się na wieś?

– Tak – pokiwał zdecydowanie głową. – Nie mam już powodu, by się ukrywać przed światem. Dom wprawdzie jest prawie ukończony, a więc niewykluczone, że kiedyś tam zamieszkać. Na pewno jednak nie porzucę swojej pracy, zwłaszcza że ostatnio zostałem zaproszony do współpracy z senatem.

– I co, przyjmiesz tę propozycję? – Poczwała, jak przepelnia ją duma.

– Raczej nie, nie nadaję się do uprawiania polityki, nie jestem do tego odpowiednim człowiekiem, choć muszę przyznać, że schlebiła mi ta propozycja.

Nagle rozległa się muzyka i Robin z miłym zaskoczeniem stwierdziła, że to zespół ustawiony w rogu sali. Kilka par zaczęło się kołysać na parkiecie.

– Zatańczysz? – zapytał Cole, wskazując głową w stronę parkietu.

– Och, Cole – spieszyła się – ostatni raz tańczyłam dziesięć lat temu na weselu kuzynki. Boję się, że podepczę ci stopy.

– Nie zniechęcisz mnie tak łatwo... – Wstał i podał jej rękę.

Nie miała wyjścia, więc się zgodziła, ale nie była zbyt zachwycona tym pomysłem. Objął ją w talii i w sposób tak naturalny, jakby od lat byli parą, ruszyli na parkiet. Po chwili, gdy znalazła się w jego ramionach, zamknęła oczy, zarzuciła mu ręce na szyję i poczuła ogromny przyływ radości, a nawet szczęścia.

– Czy już ci mówiłem, że jesteś urocza? – zapytał, szepcząc jej do ucha.

Robin, z błogim uśmiechem na twarzy, kiwnęła głową.

– Już dwa razy i choć wiem, że to przesada, gdy jestem z tobą, czuję się naprawdę urocza i piękna.

– Nie wiem, czy można usłyszeć od kobiety wspanialszy komplement...

Uniosła wzrok i zobaczyła w jego oczach pożądanie.

– A może... – na moment zawiesił głos – może już pójdziemy... Co ty na to?

– Jeśli tego chcesz...

– Gdybym tylko mógł wybierać, najchętniej spędziłbym z tobą całą noc, ani na chwilę nie wypuszczając cię z ramion. Bardzo pragnę cię pocałować, Robin, i jeśli zrobię to tu i teraz, zapewne wszystkie oczy skierują się na nas, a nie chciałbym cię stawiać w niekomfortowej sytuacji.

Była tak zaskoczona, że nie mogła wydusić ani słowa, ale Cole, widząc w jej oczach przyzwolenie, szybko zapłacił i po chwili szli już do samochodu. Gdy znaleźli się w środku, Cole przyciągnął ją do siebie i całował, gorąco i namiętnie, aż do utraty tchu.

– Tym razem przynajmniej nie doprowadziłem cię do płaczu – szepnął czule, patrząc z zachwytem na jej zaróżowione policzki i lśniące oczy.

– Wybacz, wciąż mi głupio za tamto... – odrzekła. – Nie rozumiem, co mi się wtedy stało... Chyba nigdy tego nie zrozumiem.

– A ja chyba nigdy tego nie zapomnę – odparł Cole.

– Proszę, zapomnij...

– Nie, to niemożliwe. Poruszyłaś mnie wtedy w sposób, którego nie potrafię wyjaśnić, i pomogło mi to zrozumieć, że jestem na najlepszej drodze, by cię pokochać. Po historii z Bobbym i z Jennifer wątpiłem, czy jest we mnie jeszcze jakaś miłość, czy potrafię w ogóle jeszcze kogoś pokochać. Pokazałaś mi, że to jest możliwe, i dziś moje serce jest pełne miłości, właśnie dzięki wam.

Wziął jej rękę i przycisnął ją do ust, a potem do serca.

– Czujesz to?

– Tak mocno bije... – powiedziała szeptem.

– Bo jestem zdenerwowany...

– Zdenerwowany? Ale czym?

Cole wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej małe czerwone, aksamitne pudełeczko. Na ten widok serce zaczęło jej walić jak młotem. Co to miało znaczyć?

– Cole... – zapytała, nie wiedząc, co myśleć, a tym bardziej, jak się zachować. – Co ty robisz?



– Kocham cię, Robin, i zrozumiałem to, gdy usłyszałem twój głos, dzwoniąc z Seattle. Od tamtej chwili każda kolejna sekunda tylko mnie utwierdzała w tym przekonaniu.

Otworzył pudełeczko i jej oczom ukazał się chyba największy diament, jaki w życiu widziała.

– Robin, chciałbym cię prosić, byś została moją żoną.

TTLR

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Cole, chcesz powiedzieć, że cały ten wieczór... że wszystko to zaaranżowałeś, by mnie zapytać, czy za ciebie wyjdę? – Robin przyłożyła drżącą dłoń do ust. Mimo obaw, które w pierwszej chwili wywołały w niej panikę, jej serce przepełniło się niespodziewanie błogim szczęściem.

– To naprawdę aż takie wielkie zaskoczenie? – zapytał. – Przecież nigdy nie ukrywałem, co do ciebie czuję i jak bardzo polubiłem twojego syna.

Ale w przeciwieństwie do tego, co sądził Cole, jego oświadczenia były niesamowitym zaskoczeniem i niespodzianką, i to ogromną niespodzianką. Nie spodziewała się takiego rozwoju wydarzeń nawet w najśmielszych oczekiwaniach.

– Ja... naprawdę... – jąkała się Robin – nie wiem, co powiedzieć...

– Mnie wystarczy zaledwie jedno krótkie słowo, zwykle „tak” – odparł ciepłym, cichym głosem.

– Ale... och, Cole, to wszystko nie jest takie łatwe. Trudno mi będzie tak po prostu połączyć nasze życia i nie oglądać się więcej za siebie. Wcale nie jestem pewna, że taka szybka decyzja jest naprawdę dobrym wyjściem dla ciebie czy dla nas. Trzeba przemyśleć tak wiele rzeczy, wziąć pod uwagę całe mnóstwo spraw... To bardzo poważna decyzja i naprawdę bardzo bym chciała powiedzieć „tak”, ale to szalenie trudne i nie mogę tak po prostu... tak od razu...

– Potrzebujesz trochę więcej czasu?

Nawet w przytłumionym świetle czuła, jak wzrok Cole'a przeszywa ją na wylot.

– Tak, bardzo o to proszę...

Nie chodziło tu jednak tylko o szalone tempo, w jakim rozwijał się ich związek. Wahanie Robin dotyczyło czegoś znacznie głębszego. Wiedziała już, że Cole odnalazł w sobie spokój, odkąd poznał ją i Jeffa. Tak bardzo ją kusiło, żeby raz odrzucić wszystkie dręczące ją wątpliwości i powiedzieć po prostu: „tak, chcę za ciebie wyjść”. Był przecież taki dobry dla jej syna i taki kochany dla niej, ale nie mogła rzucić się bezmyślnie w wir tego szaleństwa.

– Bardzo żałuję, że muszę ci sprawić zawód – powiedziała ze smutkiem w głosie. – Bardzo dobrze wiem, co teraz myślisz i jak się czujesz.

– Naprawdę?

– Cole... – Robin czuła, że nie może już dłużej zwlekać, że muszą sobie raz na zawsze wyjaśnić pewne sprawy. Popychana niedającymi jej spokoju emocjami, postanowiła powiedzieć mu, co ją dręczy. – Tamtego popołudnia, gdy byliśmy razem, a ty opowiadałeś mi o tym, jak nagle pogodziłeś się ze stratą Bobby'ego i Jennifer, dosłownie czułam twoją radość i euforię. To było tak, jakbyś na nowo odnalazł wolność. Ale może powinieneś zadać sobie pytanie, czy to odrodzenie, jakiego doznałeś, nie było powodem, by prosić mnie o rękę...

– Nie, odwrotnie, Robin, zakochałem się w tobie...

– Och, Cole... – szepnęła, nie wiedząc, jak mu wytłumaczyć, co czuje. – Na pierwszy rzut oka wydaje się, jakby to było przeznaczenie, że zamieszkaliśmy tu drzwi w drzwi, tuż obok siebie. Do tego dochodzi jeszcze, że Jeff ma dziesięć lat, tyle samo miał twój syn, a to, może wbrew pozorom, bardzo komplikuje całą sprawę...

– Teraz rozumiem, może rzeczywiście wygląda to trochę tak, jakbym czekał na odpowiedni moment w życiu, by ponownie połączyć się z kobietą z dzieckiem. Ale gdyby tak było, pewnie dawno już nie byłbym sam. Uwierz mi, że miałem już niejedną taką okazję. Chociażby Heather Lawrence idealnie

pasowałyby do tego schematu... Jednak to ciebie właśnie pokochałem i nic na to nie mogę poradzić.

– Skąd ta pewność, przecież prawie się nie znamy?

– Już pierwszy pocałunek był zwiastunem mojej miłości... Wiedziałem od samego początku, że się w tobie zakocham, czułem to... To było w ten piątkowy wieczór, kiedy wróciłem z Seattle, pamiętasz?

Robin kiwnęła głową i uśmiechnęła się niepewnie.

– Byłem wtedy tak zaskoczony efektem mojego pocałunku, że unikałem cię niemal przez cały następny tydzień. Jeśli chcesz poznać prawdę, poczułem się przerażony, bo do tamtej chwili tkwiłem w głębokim przekonaniu, że nie jestem zdolny do tego, by jeszcze kogoś pokochać. A tu jeden pocałunek wystarczył, by poruszyć mnie do głębi. Powaliłaś mnie z nóg, Robin, i wydawało mi się, że tonę. Musiałem zrobić krok wstecz i przeanalizować to, co się ze mną działo. Dlatego też doskonale cię rozumiem i nie będę miał żadnego problemu z tym, by dać ci tyle czasu, ile tylko będziesz potrzebowała. Każdy chce zrozumieć swoje uczucia, to jest dla mnie jasne, a ja chcę, żebyś była ich pewna, że podjęłaś właściwą decyzję.

Robin westchnęła głęboko, a Cole objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i wtulił twarz w jej włosy, jednocześnie gładząc ją po plecach. To było miłe i kojące i sprawiło, że poczuła się bardziej pewna jego miłości. Musiała jednak być ostrożna: tak bardzo pragnęła, by ją kochał, bo sama była w nim szaleńczo zakochana. Cole ujął ją za brodę i obrócił jej twarz ku sobie, chcąc, by ich spojrzenia się spotkały. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem pocałował ją namiętnie, nie skrywając już dłużej pożądania. Gdy się odsunął, drżała na całym ciele. Wtuliła twarz w jego szyję i przez chwilę rozkoszowała się bezgranicznym poczuciem bezpieczeństwa. Jak on cudownie pachniał...

– Jeśli potrzebujesz trochę czasu, by to wszystko raz jeszcze przemyśleć – szepnął zniżonym, pełnym pożądania głosem – chciałbym ci ofiarować jeszcze coś, co może ci ułatwi podjęcie decyzji.

– Robin, znalazłaś czas, żeby posprawdzać te dane? – zapytała Angela, machając jej ręką tuż przed oczami, jakby chciała ją wybudzić z letargu.

Robin czuła, że przez cały poranek zachowywała się jak lunatyk, ale nic na to nie mogła poradzić, wciąż myślała o oświadczeniach Cole'a.

– Co dzisiaj jest z tobą? – zdziwiła się Angela.

– Co na ciebie spojrzę, cały czas gapisz się przez okno. Coś jest nie tak?

– Nie, ja tylko... się nad czymś zastanawiałam – wymamrotała Robin.

– Nad czym?

– Ach, nad niczym...

– Dziewczyno, nie oszukasz mnie tak łatwo...

– Angela oparła się o biurko koleżanki, skrzyżowała ręce i obrzuciła ją badawczym, natarczywym spojrzeniem. – Naprawdę za długo się znamy... Czyżby więc chodziło o twojego uroczego, przystojnego sąsiada? Co zrobił tym razem?

– Cole? Nie, dlaczego, co ci przyszło do głowy?

Angela rozłożyła bezradnie ręce.

– Lepiej od razu powiedz wszystko mamusi, wiesz przecież, że prędzej czy później i tak to z ciebie wyciągnę. Co by ze mnie była za przyjaciółka, gdybym się nie dopytywała o twoje problemy i tajemnice?

– Dobra, niech ci będzie, zabrał mnie na kolację – przyznała Robin, widząc, że się nie wymiga. Poza tym Angela chyba miała rację: po to właśnie są przyjaciółki.

– Gdzie cię zabrał?

Robin wzruszyła ramionami, pragnąc zachować to dla siebie. Szczegóły chyba nie miały tu większego znaczenia.

– Za miasto – odparła wymijająco.

– Gdzie za miasto? – nalegała Angela.

– O rany, gdzieś na nabrzeżu, przy zjeździe z drogi sto jeden. A czy to takie ważne?

– Oczywiście, że ważne. – Angela zaczęła przechadzać się nerwowo po pokoju. – Nie mów, że do Cliffhouse?!

– Może i tak... – Robin wbiła wzrok w kartkę, która leżała przed nią już od samego rana. Wszystko to powinna była dawno załatwić, ale kompletnie nie mogła się na niczym skoncentrować.

– Aha! – wykrzyknęła Angela, unosząc do góry wskazujący palec niczym detektyw, który wpadł na właściwy trop. – A zatem wszystko jasne! Jeśli zabrał cię do Cliffhouse, to na pewno nie bez powodu.

– Oczywiście, jedzenie jest tam naprawdę wspaniałe. A tak przy okazji, miałaś rację co do Franka, jest naprawdę wyjątkowo miły. – Robin podjęła próbę zmiany tematu rozmowy, jednak bezskutecznie.

– O tym już rozmawialiśmy, jeśli pamiętasz, ale wróćmy do sprawy Cole'a. A więc zabrał cię na kolację do Cliffhouse – powtórzyła powoli, jakby starała się rozwikłać jakąś ważną zagadkę.

– Tak, szczerze mówiąc, sędzę, że miało to jakiś związek z Frankiem... – Robin raz jeszcze dokonała próby podsunienia jej innego tropu.

– Więc był zazdrosny? – zainteresowała się Angela.

– Nie do końca... – Robin odchyliła się do tyłu na krześle. –No, może trochę – poprawiła się, wiedząc, że Angela nie uwierzy, jeśli zaprzeczy. – To znaczy zaprosił mnie niemal natychmiast po tym, gdy się dowiedział, że umówiłam się z Frankiem. Więc mogę się domyślać, że chyba był trochę

zazdrosny, ale nie za bardzo. Na szczęście nie jest typem zazdrośnika, sam mi to powiedział.

– Rozumiem... – Angela pokiwała głową i usiadła przy swoim biurku. Przez resztę poranka miała zamyśloną minę, choć nie zadawała już więcej żadnych pytań. Jednak gdy poszły razem na lunch, przesłuchanie zaczęło się od nowa.

– A jak ma się Jeff? – zapytała, gdy stały w kolejce w kantine pracowniczej.

– Dobrze – powiedziała Robin, sięgając po plastikową tacę.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? – Angela spojrzała na nią zszokowana.

– A co jeszcze chciałabyś wiedzieć?

– Co chciałabym wiedzieć? Pytam o Jeffa mniej więcej raz w tygodniu i zwykle pada w odpowiedzi potok słów i niekończąca się opowieść o jego wyczynach – wyrzuciła z siebie jednym tchem Angela. –I wybac, ale tu nie ma odstępstw od reguły. Znam historię o jego ucieczce, o jego supertreningu i genialnych rzutach i każdy szczegół, który dotyczył jego pierwszego meczu. Możesz mówić o nim bez przerwy i gdy skończysz piąć na temat jego sportowych talentów, zaczynasz opowieść o jego smykałce do zwierząt i o tym też mogłabyś bez końca. Potrafisz szczegółowo opisywać, czego nauczył Blackiego przez ostatni tydzień i jakiego ma w nim przyjaciela...

– Ale... – Robin próbowała przerwać koleżance, by coś powiedzieć, jednak Angela to zignorowała.

– A tymczasem dziś, gdy jak zwykle pytam niewinnie, co u Jeffa, pada jedno krótkie stwierdzenie: „dobrze”. Wybac, ale coś tu nie gra. Powiedz mi, proszę, moja droga, co wydarzyło się między tobą i panem Camdenem, zanim do reszty odejdę od zmysłów, próbując sama rozwikłać ten problem!



– Coś, co sama muszę najpierw rozwikłać – powiedziała Robin, biorąc porcję twarożku i stawiając ją na swojej tacy.

– A co to teraz ma znaczyć? – rzuciła nerwowo Angela, nie mogąc oderwać oczu od tacy Robin. – Przecież nie znosisz twarożku! Nigdy go nie bierzesz, chyba że jesteś zdołowana i chcesz się ukarać. – Bez pytania wzięła miseczkę z twarożkiem z tacy koleżanki i odstawiła ją z powrotem na półkę lady chłodniczej. Cały czas kręciła przy tym z niedowierzaniem głową.

Robin zaniemówiła. Problem z Angielą polegał na tym, że za dobrze ją znała, a do tego miała niezłego nosa. Przez chwilę się wahała, ale w końcu spojrzała na przyjaciółkę i powiedziała:

– Może ty mi coś wybierzesz?

– Może tak, zanim wyciągniesz rękę po wątróbkę z cebulką. – Sięgnęła po lasagne z pikantnym sosem pomidorowym i przypieczonym żółtym serem. – Jeśli szukasz czegoś, czym możesz się ukarać, to zrób to przynajmniej w smaczniejszy sposób.

Zapłaciły za lunch i poszły do stolika przy oknie, który oferował pewną prywatność. Angela usiadła naprzeciw Robin i oparła łokcie o stół.

– Jesteś pewna, że o niczym więcej nie chcesz mi powiedzieć?

– O czym znowu? – zirytowała się Robin.

– No oczywiście o tobie i o Cole'u. Nie pamiętam, żebyś była kiedykolwiek w takim stanie, błądzisz niczym dziecko we mgle...

Lepiej nie mogła tego ująć, pomyślała Robin i poczuła się kompletnie zagubiona. W głowie miała koszmarny mętlik emocjonalny: jedną nogą była w teraźniejszości, a jedną w przeszłości i nie wiedziała, w którą stronę powinna pójść.

– Rozmawiałam z Frankiem w niedzielę po południu – zaczęła niespodziewanie Angela, wbijając widelec w chrupiącą sałatę – i powiedział,

że bardzo miło spędził z tobą wieczór, ale raczej wątpi, abyście mieli się spotkać ponownie, gdyż dla niego jest absolutnie ewidentne, że jesteś po uszy zakochana w Cole'u Camdenie. Właściwie powiedział, że praktycznie o niczym innym nie rozmawialiście przez cały wieczór.

– Tak powiedział?

– Tak, i chyba ma rację, co? Przyznaj się wreszcie, zakochałaś się w Cole'u...

– Ja... nie wiem.

– Jak to nie wiesz, przecież masz to wypisane na twarzy. Co by miał oznaczać inaczej ten szklisty, nieprzytomny wzrok i to, że chodzisz jak w transie i niemal obijasz się o ściany?

– To brzmi tak, jakbym pilnie potrzebowała opieki medycznej – powiedziała cicho Robin.

– A może raczej prawnika? – rzuciła ostentacyjnie Angela i kilka par oczu spojrzało w ich kierunku. – Widzę, że poszłaś z Cole'em do łóżka, a teraz nie wiesz, co robić. Powiedziałam ci, że prędzej czy później odkryję prawdę.

– To nie tak... – Robin uniosła się dumą. Zarumieniona, rozejrzała się ukradkiem po sali, a potem skryła twarz w obu dłoniach. – Jeśli chcesz wiedzieć, Cole poprosił mnie o rękę – wypaliła w końcu.

Zapadła głucha cisza, a po chwili Angela zaczęła piszczeć z zachwytu.

– To wspaniale! Boże, Robin, co z tobą? Powinnaś być w siódmym niebie! Chyba nie codziennie oświadczają ci się przystojny, dobrze sytuowany, a do tego wspaniały facet? Mam nadzieję, że się zgodziłaś... – urwała nagle. Wahala się przez chwilę. – Robin, przyjęłaś oświadczyzny, prawda?

Robin przełknęła ślinę i potrzęsnęła głową.

– Na razie poprosiłam go o czas do namysłu.

– Poprosiłaś o czas do namysłu? Tylko nad czym się tu zastanawiać? Jest bogaty, przystojny, kocha się w tobie i szaleje za Jeffem! Czego jeszcze można chcieć?

Robin napływały do oczu łzy.

– Obawiam się, że bardziej niż we mnie zakochał się w wizji posiadania rodziny.

– Przyjdzie Cole? – zapytał Jeff, bawiąc się rękawicą baseballową.

– Nie wiem – odrzekła Robin, spoglądając ukradkiem na dom sąsiada, gdy wsiadali do samochodu. – Od kilku dni z nim nie rozmawiałam.

– Ale nie jesteś na niego zła?

– Oczywiście, że nie – Robin usiadła za kierownicą. – Po prostu oboje byliśmy bardzo zajęci.

Jeff mocniej naciągnął na głowę czapkę z daszkiem.

– Widziałem go wczoraj i mówiłem mu o meczu, powiedział, że może przyjdzie. Chciałbym, żeby przyszedł...

Robin również tego chciała i miała nadzieję, że go dziś wreszcie zobaczy. Tęskniła za nim przez ostatnie dni, choć wciąż jeszcze nie podjęła żadnej decyzji co do ich przyszłości. Cole na szczęście nie napierał i cały czas podkreślał, że powinna pozostawić sobie tyle czasu, ile potrzebuje. Ale Robin nawet nie zdawała sobie wcześniej sprawy, jak bardzo przyzwyczała się do jego obecności. I teraz, po kilku dniach, naprawdę trudno było jej znaleźć sobie miejsce. Potrzebowała go, pragnęła, by był przy niej blisko, by jej dotykał i do niej mówił. Kiedyś z Lennym tworzyli jedną nierozzerwalną całość, i to było cudowne. Potem przez bardzo długi okres żyła jak w letargu, jakby życie płynęło obok niej, i dopiero gdy spotkała Cole'a, coś się zmieniło, krew na nowo zaczęła krążyć jej w żyłach. Przez cały miniony tydzień myślała o propozycji Cole'a, zastanawiając się, czy powinna odsunąć na bok wszystkie

wątpliwości i rzucić się w wir życia. Wcale nie była pewna, czy potrafi to zrobić, i bezsenne noce także nie przyniosły żadnej konkretnej odpowiedzi, podobnie jak długie samotne spacery w parku, gdy Jeff trenował ze swoją drużyną.

– A Cole powiedział... – zaczął Jeff, ale nagle zamilkł niespodziewanie i uderzył się ręką w głowę. – O rany! – jęknął.

– Co się stało? – przestraszyła się Robin. – Zapomniałeś czegoś?

– Moja szczęśliwa czapka – zawołał – została w domu! Musimy się po nią wrócić!

– Po czapkę? Przecież masz baseballówkę na głowie.

– Ale to nie ta! Tamta mi pomoże! Musisz to zrozumieć, mamó, to moja szczęśliwa czapka i miałem ją na każdym meczu. Nie mogę bez niej wyjść na boisko... Proszę, jedźmy do domu, szybko, inaczej się spóźnię – jęknął płacząco.

– Jeff, to nie czapka decyduje o tym, że dobrze grasz – starała się przekonać go Robin.

– Wiem, że tak myślisz, ale ja muszę ją mieć, na wszelki wypadek, zrozum! Zawróć, mamó, tu na skrzyżowaniu – powiedział błagalnie.

Widząc, że dalsze wyjaśnienia będą tylko stratą czasu, Robin zawróciła na najbliższym skrzyżowaniu, tak jak prosił Jeff. W końcu cała jego kariera głównego rzucającego wisiała teraz na włosku! Z pełnym wyrozumiałości uśmiechem wjechała na drogę dojazdową, a potem zaczęła przed domem, aż Jeff wróci z czapką. W domu Cole'a było ciemno i jego samochodu też nie widziała. Pomyślała, że wyjechał do swojej posiadłości na wieś, by kończyć remont domu. Wiedziała, że jej syn, mimo zawodu, zrozumie sytuację. Po chwili Jeff wskoczył do środka, ściskając swoją szczęśliwą czapkę w ręce.

– Dobra, mamó, możemy jechać – zawołał i zapiął pas. – Szybko!

Jakby to była moja wina, pomyślała Robin, rozbawiona nagłym przyływem niecierpliwości Jeffa. Gdy dojechali do parku Balboa, wokół boiska zgromadził się już spory tłum. Miała szczęście, bo udało się jej jeszcze znaleźć miejsce parkingowe przy ulicy, co stanowiło mały cud. Może jednak coś było z tą szczęśliwą czapką... Jeff pobiegł od razu przez trawnik do kolegów z drużyny i Robin została sama. Najważniejsze, że miał ze sobą swoją szczęśliwą czapkę, która dawała mu poczucie siły. W górnej części trybun były jeszcze wolne miejsca, wspięła się więc po schodach na górę i usiadła na jednym z nich. Nagle jej serce gwałtownie przyspieszyło, bo zobaczyła Cole'a, który torował sobie drogę w jej kierunku. Na szczęście, zanim do niej dotarł, zdążyła się trochę uspokoić.

– Sądziłam, że pojechałeś na weekend do swojej posiadłości.

– I że nie przyjdę na mecz Jeffa? Nic by mnie nie powstrzymało... – powiedział i rzucił jej szelmowskie spojrzenie.

– Co u ciebie słyhać? – zapytała, nie mogąc oderwać od niego oczu. Był tak wspaniały, że przez moment zastanawiała się, czy to nie sen. Miał takie ciepłe i czułe spojrzenie. Czy można się było nie zakochać w takich oczach? Przemknęło jej przez głowę, że te wszystkie wątpliwości i wahania nie mają sensu, bo i tak nie będzie w stanie mu się oprzeć.

– Tęskniłem za tobą jak szalony – szepnął, a jego twarz spoważniała nagle. – Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek tak dotkliwie odczuję samotność.

– Ja też tęskniłam...

Miała wrażenie, że te słowa przyniosły mu ulgę.

– Dziękuję ci za to. – Zapadła krótka cisza.

– Przemyślałaś sobie to, o czym rozmawialiśmy ostatnio?

– Nie myślałam o niczym innym...

– I co? Zapadła już jakaś decyzja?

Opuściła wzrok, nie chcąc widzieć jego reakcji, i dopiero potem szepnęła:

– Nie.

Uniósł palcem jej brodę, zmuszając ją tym samym, by spojrzała mu w oczy.

– Obiecałem sobie, że tego nie zrobię, że nie poproszę cię tamtego wieczoru o rękę, a jednak nie udało mi się powstrzymać. Ale drugi raz tego nie powtórzę – powiedział. Wyraźnie miał ochotę ją pocałować i zaczął rozglądać się wkoło, jakby się chciał upewnić, że nie są pod obstrzałem cudzych spojrzeń.

Uśmiechnęła się niepewnie. Było jej naprawdę wszystko jedno, czy ktoś patrzy, czy nie. Tak bardzo pragnęła poczuć jego ręce i usta, że nic innego się nie liczyło, nawet to, że siedzieli na zatłoczonych trybunach w parku.

– Widzę, że Jeff ma swoją szczęśliwą czapkę – powiedział niespodziewanie Cole, biorąc ją za rękę.

– To ty wiesz o niej? – zdziwiła się

– No pewnie, że wiem. Jeff mi wszystko mówi.

– Musiałam zawrócić z drogi, bo przypomniał sobie, że jego szczęśliwa czapka została w domu.

– Nie ma co się dziwić, przyniosła mu szczęście we wszystkich pięciu meczach. A co u ciebie? Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową, choć nie do końca była to prawda, jednak teraz, gdy siedziała tak blisko niego, nagle zniknęły gdzieś wszystkie jej dotychczasowe wątpliwości. Przy nim wszystko wydawało się znacznie prostsze. Dopiero kiedy zostawała sama, dopadały ją natrętne myśli i musiała stawić czoła swoim obawom i lękom.

– Pójdźmy gdzieś razem po meczu, całą naszą trójką – zasugerował.

Nie potrafiłaby mu odmówić, więc znowu kiwnęła głową.

– Właśnie, czy ja przypadkiem nie obiecywałem Jeffowi lunchu? Coś mi się wydaje, że chyba tak – sam odpowiedział na swoje pytanie. – Obiecałem mu, kiedy wychodziliśmy w sobotę na kolację, że zabiorę go na rybę z frytkami.

– Rzeczywiście, mówiłeś coś takiego, pamiętam – przytaknęła Robin.

Po meczu wszyscy razem poszli do małej przytulnej restauracji w porcie, w której serwowano różne ryby i oczywiście frytki. Rano pogoda była dość rześka, ale teraz świeciło piękne słońce i zrobiło się naprawdę ciepło. Jeff był bardzo uszczęśliwiony kolejnym zwycięstwem swojej drużyny i przypisywał je naturalnie czapce, po którą wrócił do domu. Po lunchu poszli jeszcze na spacer, mimo że na nabrzeżu panował niezły ścisk. Spacerowały nim całe rodziny, zwabione pięknym słońcem. Robin kupiła bochenek chleba na zakwasie i mały bukietek fiołków. Jeff z kolei wypatrzył na straganie plastikowego węża i tak się nim zachwycił, że kupił go za swoje kieszonkowe.

– Zobaczycie, co powie Jimmy Wallach – rzucił zadowolony ze swojego zakupu.

– Bardziej jestem ciekawa – odparła Robin – co powie Kelly.

– Dlaczego? Kelly bardzo lubi węże. Kiedyś, jak bawiliśmy się w ogrodzie, myślałem, że przestraszę ją takim małym ogrodowym węzem, ale to Jimmy zaczął krzyczeć, a Kelly tłumaczyła mu, że nie ma się czego bać, bo to tylko jedno z bożych stworzonek.

Po chwili jego uwagę przyciągnęło kolejne stoisko i Robin z Cole'em zostali sami.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedział Cole, przykładając jej rękę do czoła.



– Nic mi nie jest, naprawdę. – Wzrok miała zatopiony w turkusowych wodach zatoki. Ale miał rację, nie spała dobrze tej nocy.

– Tak wiele z siebie widzę w tobie – zaczął niespodziewanie.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Łączy nas ból. Powiedz, jak długo Lenny nie żyje?

– Od dziesięciu lat, ale w pewnym sensie wciąż go opląkuję. – Musiała być z nim szczerą.

– I nie jesteś pewna, czy będziesz w stanie pokochać innego mężczyznę, prawda? A przynajmniej nie tak bardzo, jak kochałaś ojca Jeffa...

– Nie o to chodzi... Ja po prostu nie wiem, czy potrafię przestać go kochać.

Na chwilę zapadła cisza.

– Nie jest moją intencją odebranie ci tej miłości, jest częścią twojej, a raczej waszej przeszłości, i to ważną częścią. Małżeństwo i macierzyństwo uczyniło cię tym, kim dzisiaj jesteś... – Cole zawiesił głos i przez chwilę oboje milczeli. – Dopiero po sześciu latach po śmierci Bobby'ego nabrałem odwagi, by zmierzyć się z przeszłością i spojrzeć w przyszłość. Dotąd trzymałem się kurczowo swojego żalu i nosiłem go ze sobą wszędzie, dokądkolwiek szedłem, ciągnąc go za sobą jak garb, bez którego nie sposób nigdzie się ruszyć.

– W moim przypadku jest trochę inaczej – powiedziała Robin, gotowa, by podjąć z nim dyskusję. Uważała, że nie mówi jej całej prawdy. Ona też opląkiwała odejście Lenny'ego, ale nie pozwoliła, by ta strata zrujnowała jej życie.

– Może już nie opląkujesz go tak bardzo jak kiedyś, ale zastanawiam się, czy pogodziłaś się z tym, że odszedł, czy dałaś mu odejść...?

– Oczywiście, że tak. – Wolałaby nie rozmawiać teraz o Lennym.

– Nie chciałbym, żebyś pomyślała, że ci nie współczuję. Ja naprawdę wiele rozumiem. Oboje wiemy, co znaczy emocjonalny ból, i wydaje mi się, że ci, którzy go doświadczyli, boją się czasem wyjść poza ten zaklęty krąg.

– Chyba przesadzasz, Cole...

– Możliwe... Jesteś wspaniałą kobietą, Robin, bystrą, inteligentną, otwartą na świat i podejrzewam, że każdy, kto dowiaduje się, że twój mąż zginął przed dziesięcioma laty, jest zaskoczony.

Rzeczywiście tak właśnie było, tylko skąd on o tym wiedział?

– Większość tak młodych wdów ponownie wychodzi za mąż...

– Czy sugerujesz, że skoro nie rzuciłam się natychmiast w kolejny związek, jestem kandydatką na terapię? Nawet ty powinieneś sobie zdawać z tego sprawę, że to śmieszne.

– Nawet ja? – zaśmiał się zaskoczony.

– Mamo, w porcie kręcą prawdziwy film! – zawołał Jeff, biegnąc w ich stronę. Był bardzo podekscytowany. – O, tam! – Wskazał palcem na jakiś odległy punkt w porcie. – Tam są kamery i aktorzy, i takie duże lampy! Mogę pójść popatrzeć?

– Zgoda, tylko nie przeszkadzaj tam nikomu.

– Jasne, obiecuję, potrzyмай mojego węża – powiedział, wciskając jej do ręki zabawkę, i pobiegł w kierunku, który przed chwilą pokazywał.

– Jeff to wspaniały chłopak...

– Już cię pokochał, ciebie i Blackiego.

– A jego mama? Co z nią?

– Też cię kocha – powiedziała przez zaciśnięte gardło.

Twarz Cole'a pojaśniała od promiennego uśmiechu.

– Ale nie jest pewna, czy wolno jej na dobre dać odejść swojemu zmarłemu mężowi...

– I przyjąć tego żyjącego? – dokończył za nią.

Jego słowa trafiały w samo sedno, a jednak ciągnęła dalej:

– Nie wiem, może chodzi o to, że chcesz się ze mną ożenić, ponieważ Jeff przypomina ci Bobby'ego? Albo może dlatego, że pasuję do twojego wyobrażenia o żonie?

Cole wyglądał na zaszokowanego.

– Ależ nie, wszystko nie tak, Robin. Jeff jest świetnym dzieckiem i będę szczęśliwy, mogąc go wspierać w rozwoju, ale to w tobie się zakochałem, nie w wyobrażeniu o tobie, ale w tobie, Robin, i to z tobą chcę się zestarzeć. Czy nie o to właśnie chodzi w miłości? Jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę, to uważam, że całe to zamieszanie bierze się stąd, że po prostu boisz się ponownie wyjść za mąż. Stworzyłaś sobie swój mały świat i czujesz się w nim bezpiecznie. Ale czy jesteś pewna, że tego właśnie Lenny chciałby dla ciebie?

– Cole położył jej ręce na ramionach. – Gdyby Lenny stał obok ciebie, tu i teraz, i gdybyś mogła go zapytać, co myśli o tym wszystkim, co by ci odpowiedział?

– Ale jak to, nie rozumiem...?

– No, gdybyś mogła zasięgnąć jego rady, co by powiedział? Spojrzałby na mnie i na ciebie i co by powiedział? „Robin, spójrz na tego faceta, kocha cię i chce jak najlepiej dla naszego synka, a do tego jest gotów, by zacząć nowe życie. Nie przepuść tej okazji, nie bądź głupia, wyjdź za niego”.

– To brzmi jak porada mojej koleżanki Angeli – powiedziała Robin.

– Chyba już ją lubię – zażartował Cole. – Chyba że znowu zamierza cię swatać z jakimś swoim rozwiedzionym kuzynem.

Jego wzrok był przepelniony miłością i gdzieś w podświadomości liczyła na to, że ją obejmie i scałuje wszystkie wątpliwości, które nie dawały jej spokoju. Ale tak się nie stało. Spojrzał w dal przez jej ramię i westchnął:

– Chyba zobaczę, co u Jeffa. Myślę, że dobrze ci zrobi chwila samotności, nie chciałbym wywierać na tobie presji, ale przemyśl sobie moje słowa.

– Nie wywierasz na mnie presji – wyszeptała, patrząc na wodę.

Lecz gdy spojrzała w bok, Cole'a już tam nie było. Zaciśnęła palce na stalowej poręczy i uniosła oczy ku niebu.

Och, Lenny, pomyślała załamana, tak zupełnie nie wiem, co powinnam zrobić.

TTLR

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Lenny, pomóż mi... Robin stała wciąż w tym samym miejscu, zaklinając w myślach swojego nieżyjącego męża. Cole chce, bym zapytała ciebie o radę, Lenny. Ja naprawdę nie wiem, co mam zrobić, nie wiem już, co jest dobre dla Jeffa i dla mnie, a co nie. Kocham Cole'a, ale kocham wciąż ciebie, a do tego nie mogę przestać myśleć o tym, jakie pobudki kierują Cole'em, jakie są motywy jego działania... Umilkła w oczekiwaniu na to, co się wydarzy. Nie to, żeby się spodziewała odpowiedzi, bo przecież rozumiała, że Lenny nie mógł dać jej teraz żadnej rady. Wiele razy próbowała nawiązać z nim w ten sposób kontakt, gdy potrzebowała jego wsparcia, choć było to zupełnie irracjonalne, pozbawione sensu. Wiedziała o tym, lecz frustracja, którą tym razem przeżywała, była zbyt silna. Nie potrafiła sobie poradzić z tą okropną samotnością i pustką, jaką odczuwała. Zamknęła oczy w nadziei, że promienie słońca ukoją choć trochę ból. Po jej twarzy zaczęły spływać łzy, a ręce wciąż miała zaciśnięte na poręczy. Zakłopotana otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła. Jakie to szczęście, że ekipa filmowa przyciągnęła większość ludzi i nie miała na karku żadnych przypadkowych świadków swojej rozpacz. Żal, którą tłumiała w sobie przez tyle lat, nagle wytrysnęła z niej niczym lawina żalu i goryczy. Czuła palące łzy na policzkach, czuła, jak drżą jej usta, jak trzęsą się ramiona, ale była bezbronna wobec emocji, które nią zawładnęły. Trawił ją gniew, na który nie mogła sobie pozwolić, gdy zmarł Lenny. Wtedy musiała być dzielna, trzymać się, wziąć się w garść dla Jeffa i dla rodziców Lenny'ego. Musiała skonfrontować się z terażniejszością, a nie z przeszłością. Pamiętała to jak dzisiaj... Kiedy odszedł Lenny, była na niego strasznie wściekła, że ją zostawił samą, z małym dzieckiem, z płaceniem rachunków, z naprawą przeciekających kranów i wynoszeniem śmieci, i z całym tym niekończącym

się kramem. Przez tyle lat musiała sobie z tym wszystkim radzić sama, że zabutelkowała w sobie ten gniew i bała się go uwolnić. Ile miało to jeszcze trwać?

– Robin...?

Usłyszała tuż za sobą głos Cole'a. Odwróciła się i wpadła wprost w jego objęcia, szlochając i panicznie szukając pocieszenia w jego ramionach. Potrzebowała go teraz jak nigdy wcześniej. Nie wiedziała, jak długo to trwało, jak długo ją tulił i szeptał do ucha kojące słowa. Ledwo je słyszała, z trudem przedzierały się przez jej rozpacz. Zawsze się tego bała, że jak już raz zacznie płakać, nie będzie mogła przestać. I tak właśnie było, jak gdyby pękła w niej jakaś tama i wylała się z niej ta wiecznie tłumiona udreka. Tylko ramiona Cole'a chroniły ją i dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Pragnęła odzyskać nad sobą kontrolę, coś mu wytłumaczyć, ale gdy tylko podejmowała próbę, by otworzyć usta, z jej piersi wyrывał się jeszcze większy szloch, niepoehamowany i spazmatyczny.

– Nie broń się, pozwól sobie na to – szeptał jej czule do ucha Cole. – Nie musisz nic mówić, nic tłumaczyć, wszystko rozumiem.

– On mi nie odpowiada – wykrztusiła wreszcie z trudem. – Zapytałam go, ale mi nie odpowiada, żadnego znaku, nic! Zawsze tak jest... Zostawił mnie samą i na tym koniec.

– Na pewno tego nie chciał – powiedział Cole.

– Ale mnie zostawił...

Cole dostrzegł, że w tym stanie podejmowanie jakichkolwiek prób wytłumaczenia jej czegoś całkowicie mija się z celem. Tulił ją więc i głaskał, jak gdyby była małym dzieckiem.

– Jakaś część mnie rozumie – zaczęła Robin, gdy się trochę uspokoiła – że Lenny nie chciał mnie zostawić, bo przecież nie chciał umierać. A jednak

tak się stało, że zostałam sama i jestem zła na niego za to... – Znowu poczuła w oczach piekące łzy.

– Ten ból czyni nas ludźmi – powiedział Cole, rozumiejąc jej cierpienie i sprzeciw. Czuł, że musi dodać jej otuchy, że dzięki temu krok po kroku odzyska równowagę.

– Co jest z mamą? – zapytał Jeff, który niepostrzeżenie wrócił ze swojej eskapady.

– Musi się uporać ze swoimi emocjami – odparł spokojnie Cole, traktując chłopca jak równorzędnego partnera.

– Ale nic jej nie będzie?

Robin nigdy nie chciała, żeby jej mały synek widział ją w takim stanie. Otarła oczy i wydmuchała nos, a potem wyjrzała zza Cola, żeby dodać chłopcu otuchy.

– Naprawdę nic mi nie jest, Jeff, nie martw się.

– Ale nie wygląda najlepiej... – zwrócił się do Cole'a

Irytowało ją, że Jeff pielęgnował ostatnio dziwny zwyczaj rozmawiania o niej z Cole'em zamiast z nią, gdy była w gorszej formie. Dokładnie tak samo było wtedy, kiedy uciekł z domu i schował się do kryjówki w ogrodzie sąsiada. Wtedy również długo o niej rozmawiali, jak gdyby jej tam w ogóle nie było, chociaż stała przecież tuż obok.

Cole poluźnił uścisk, ale jego ręka wciąż jeszcze spoczywała na ramieniu Robin.

– Może usiądziemy na ławce? – zaproponował.

Jeff wziął mamę za rękę i zaprowadził do najbliższej ławki. Potem pogładził ją po dłoni i nachylając się, szepnął do Cole'a:

– Czekolada powinna na to pomóc. Kiedyś mama sama tak powiedziała, że nie ma takiego nieszczęścia, któremu nie zaradziłyby lody czekoladowe.



– Naprawdę tak powiedziałam? – Robin uśmiechnęła się sama do siebie i mocno przytuliła synka. Tak bardzo go kochała.

Jeff nie był aż tak zachwycony tym uściskiem, szczególnie tutaj, pośrodku parku. Jednak przystał na tę czułość, mimo że była mu trochę nie w smak. Gdy mama wypuściła go z uścisku, przewrócił oczami i próbował ją usprawiedliwić:

– Czasami trochę wariuje, tak jak teraz. Pewnie pamiętasz, co się działo, kiedy uciekłem.

– Pamiętam – odrzekł Cole.

– Możecie mnie nie wykluczać z tej rozmowy, ja też tu jestem. Miałam tylko pewne wątpliwości i musiałam sobie popłakać, ale, bez obaw, już jest mi lepiej.

– Sam widzisz – Jeff spojrzał i mrugnął do Cole'a jak do kumpla – czasem tylko trochę wariuje, ale szybko jej to przechodzi.

– Już dobrze, ale swoją drogą Jeff ma rację, czekolada na pewno mi nie zaszkodzi.

– I możemy cię tu zostawić na kilka minut? – zapytał Cole.

– Jasne, naprawdę nie wiem, co mnie napadło...

– W porządku.

Cole pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta i obaj ruszyli przed siebie, zostawiając ją na chwilę samą. Nie rozumiała, dlaczego ból i złość akurat dziś tak mocno dały o sobie znać, po wszystkich tych latach... Pewnie miało to związek z Cole'em, ale nie sądziła, że złapie ją to właśnie dziś i to w parku. Miała wrażenie, że upłynęła zaledwie jedna krótka chwila, gdy podbiegł do niej Jeff z czekoladowym rożkiem w ręku.

– Cole zaraz przyjdzie. Powiedziałem sprzedawcy, że to nagły przypadek, i dał mi loda bez kolejki.

– To bardzo miło – powiedziała, zastanawiając się jednocześnie, co musiał sobie pomyśleć sprzedawca. – Jest pyszny – szepnęła i poczuła nagłą ulgę. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się serdecznie.

Nadszedł Cole i po chwili siedzieli we trójkę na ławce w parku, ze smakiem zajadając lody.

– Widzisz, mówiłem, że to pomoże – zwrócił się Jeff do Cole'a, wyraźnie z siebie zadowolony.

– I tylko pomyśleć – powiedziała z zadumą Robin – że nie wierzyłam w działanie twojej czapki baseballowej. – Czowała się już naprawdę dużo lepiej. Gdy skończyli lody, zebrali swoje rzeczy i poszli do samochodu.

W domu wybiegł im na powitanie Blackie. Jeff poszedł pobawić się z nim w ogrodzie, a Cole odprowadził Robin do drzwi. Zaprosiła go na kawę i po chwili siedzieli przy stole w kuchni.

– Miałem zamiar pojechać na wieś – zaczął Cole, obejmując dłońmi kubek z gorącą kawą, jakby chciał się ogrzać. – Dasz sobie jakoś radę?

Pochyliła się do przodu i pogładziła go ręką po policzku.

– Stąd wniosek, że przesunąłeś wyjazd z powodu meczu Jeffa. To naprawdę bardzo miło z twojej strony, nawet nie wiesz, jaka ci jestem wdzięczna.

Cole położył na jej dłoni swoją i westchnął ciężko.

– Czuję się odpowiedzialny za to, co przeżyłaś tam, w porcie. Nie powinienem był tego mówić, nie miałem prawa...

– Powiedziałeś, bo uznałeś to za słuszne.

Cole się uśmiechnął.

– Podobne przeżycie przytrafiło mi się w Seattle. Swoją drogą, czy to nie dziwne, że oboje doszliśmy do ładu ze swoim bólem właśnie w porcie, patrząc na wzburzoną wodę? Ja w Seattle, a ty tutaj, w San Francisco. Pamiętam, że

wróciłem wtedy do domu z nieprawdopodobnym uczuciem ulgi. Po raz pierwszy od śmierci Jennifer i Bobby'ego pozwoliłem sobie na taki upust żalu, zupełnie jakbym wyciągnął rękę do góry po pomoc, a Bóg wyciągnął swoją w dół i nagle doszliśmy do porozumienia.

Słowa Cole'a tak dokładnie opisywały to, co sama poczuła, że przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Zresztą to, o czym wspominał kiedyś, że ból, który nosi w sercu, towarzyszy mu dosłownie wszędzie, też było strzałem w dziesiątkę. Rozumiał ją, bo sam przeżył to samo, i nagle poczuła ogromny przypływ miłości.

– Wiem, że nie chcesz tego słyszeć i nie chcę wywierać na tobie presji, ale gdy wróciłem ze Seattle i zrozumiałem, że się w tobie zakochałem, zacząłem rozmyślać o dziecku... – Urwał nagle i wstał. – Lepiej już pójdę, zanim znowu powiem coś, czego nie powinienem.

Robin odprowadziła go do drzwi. Nie chciała wcale, żeby wychodził, ale nie była gotowa, by dać mu to, czego potrzebował. Długo w milczeniu patrzyli sobie w oczy. Nie mógł się powstrzymać, by jej nie dotknąć, nie odgarnąć kasztanowego loczka, który zsunął się jej na czoło. Robin, czując delikatny dotyk, zamknęła oczy. W jej sercu panował teraz błogi spokój i nie było już puste. Nagle zdała sobie sprawę, że zna odpowiedzi na wszystkie dręczące ją dotąd pytania, oprócz tej jednej jedynej, może najważniejszej w jej życiu i w życiu Jeffa.

– Zobaczymy się w przyszłym tygodniu – powiedział Cole, wycofując rękę, i wyszedł. Na schodach zatrzymał się na chwilę i zawołał Blackiego, który natychmiast do niego przybiegł. W ślad za nim pojawił się Jeff.

– Chyba nie wyjeżdżasz? – jęknął chłopiec.

– Niestety tak, mam jeszcze sporo roboty. Myślisz, że dasz jakoś radę wytrzymać do poniedziałku bez Blackiego?

- Pewnie dam... – powiedział Jeff markotnie, wsuwając ręce do kieszeni.
- A dokąd go zabierasz?
- Do swojej posiadłości. – Nie patrzył na Robin, jakby musiał ją na siłę zignorować, żeby móc odejść.
- Ano tak! – zawołał Jeff z nagłym entuzjazmem. – Mówiłeś przecież o tym! Budujesz tam dom, prawda?
- Raczej odnawiam – wyjaśnił Cole. – Kiedyś mieszkał tam mój dziadek i zostawił mi go w spadku. Od bardzo dawna nikt nie dbał o ten dom, więc jest tam naprawdę dużo do zrobienia.
- Mógłbym ci przecież w tym pomóc! – Chyba nic w tej chwili nie było w stanie ostudzić zapału Jeffa. Podciągnął do góry rękaw i napiął mięsień. – Wiem, że tego nie widać, ale jestem naprawdę silny.
- Widzę, widzę... – Cole udał, że jest pod dużym wrażeniem. – Trudno by było znaleźć lepszego pracownika.
- Twarz chłopca promieniała.
- Może kiedyś cię tam zabiorę, kolego... jeśli mama się zgodzi.
- Jeffowi zrzędła mina.
- Cole...? – zaczęła Robin, nie bardzo jeszcze wiedząc, co chce właściwie powiedzieć.
- Tak? – zapytał Cole i odwrócił się do niej.
- W jego głosie nie było entuzjazmu, najwyraźniej im obojgu z trudem przychodziło to rozstanie. Nagle poczuła, że wie, o co chce go zapytać. Może kierowało nią rozczarowanie, jakie zobaczyła na twarzy syna...? Tak wiele razy już przeżywał zawód. A może było to dopiero co zrodzone poczucie wolności? Nie była do końca pewna, dlaczego to robi, ale podeszła do Cole'a, spojrzała mu prosto w oczy i zapytała:
- A czy moglibyśmy pojechać tam z tobą?

Jeff, nie czekając na to, co powie Cole, podskoczył z radości do góry.

– Tak, tak, to wspaniały pomysł, prawda, Cole? Będziemy ci mogli pomóc, mama też umie różne rzeczy. Może przygotować nam jedzenie albo coś podawać, albo... no nie wiem, robić coś, co robią kobiety, kiedy mężczyźni pracują.

Na twarzy Cole'a malowało się zaskoczenie, ale także niepewność.

– Oczywiście, chętnie was tam zabiorę – powiedział – jeżeli tylko jesteście pewni, że tego chcecie.

W odpowiedzi Robin kiwnęła głową. Wiedziała już, że nie potrafi bez niego żyć.

– Ale uprzedzam, warunki są dość spartańskie, bo dom jest wykończony dopiero w połowie i nie ma jeszcze zrobionej hydrauliki...

– Damy radę, prawda, Jeff?

– Jasne, że damy radę!

– Ile czasu potrzebujecie, żeby się spakować? – zaśmiał się Cole.

– Już jesteśmy gotowi, no nie, Blackie? – Jeff zaczął biegać z radości wokół psa i po chwili kotłowali się na trawie.

– Potrzebuję tylko parę minut – odparła Robin z szerokim uśmiechem. Promieniała szczęściem dokładnie tak samo jak jej syn, który tymczasem pobiegł już na górę, żeby pozbierać swoje rzeczy. Przez chwilę stali tak, patrząc sobie w oczy i napawając się tą ulotną chwilą szczęścia. Robin ocknęła się dopiero wtedy, gdy z domu wypadł Jeff, targając pod pachą swoją pościel.

– Jeff, co ty wyprawiasz? – zawołała, gdy u jej stóp rzucił tobolek.

– Jak to co? No przecież mamy tam nocować! Bez mycia mogę żyć, ale trudno będzie spać bez pościeli. Nie przeszkadzajcie sobie, zaraz poprzynoszę wszystko, co potrzeba. – Odwrócił się na pięcie i wbiegł z powrotem do środka.

– Jeff –jęknęła Robin i rzuciła Cole'owi przepaszające spojrzenie.

– To co, zabrać ci pościel? – dobiegł ją z domu głos syna.

– Nie – odkrzyknęła – sama zaraz wezmę! Za chwilę wracam – powiedziała do Cole'a i weszła po schodach na górę.

Ku jej zdziwieniu Jeff siedział zamyślony obok łóżka.

– Coś się stało? – zmartwiła się.

Spojrzał na nią badawczym wzrokiem i zapytał zniechęcony:

– Wyjdiesz za Cole'a?

To niespodziewane pytanie sparaliżowało ją. W pierwszej chwili przeszło jej przez myśl, że rozmawiał już o tym z Cole'em, choć była pewna, że nawet jeśli tak było, to nie Cole zaczął tę rozmowę.

– A dlaczego mnie o to teraz pytasz?

Jeff wzruszył ramionami.

– Jest wiele powodów... Zawsze, kiedy jesteście razem, patrzycie na siebie tak dziwnie albo się całujecie... Udaję, że tego nie widzę, ale właściwie wszystko jest tak, jak w tych filmach, które ci się podobają. A jak płakałaś w porcie, to Cole patrzył na ciebie z takim smutkiem, jakby... jakby wolał sam płakać za ciebie. Zupełnie tak, jak czasem dziadek patrzy na babcię, kiedy babcia jest czymś zmartwiona. Nawet babcia nie musi mu nic mówić, a on i tak wszystko wie... Wiesz, o co mi chodzi? – zapytał niepewnie.

– Myślę, że tak. – Robin podeszła do szafy i wyjęła z niej kilka ubrań. – A co ty na to, gdybym powiedziała, że rozważam taką możliwość?

Spodziewała się wybuchu radości, ale Jeff skrzyżował z powagą ręce i powiedział:

– Nie mówisz chyba poważnie, prawda?

– Owszem, tak – serce łomotało jej w piersiach – ale to oznaczałoby dla nas wszystkich duże zmiany...

– Dla wszystkich, czyli dla ilu osób?

W pierwszej chwili nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Co masz na myśli, Jeff?

– No, na przykład, czy będę miał nowych dziadków?

Robin się zawahała.

– Być może, nie rozmawiałam o tym z Cole'em, ale jest to możliwe.

– To by było super, bo dostawałbym dodatkowe prezenty na święta i na urodziny. W takim razie chyba powinniśmy w to wejść.

– Co ty mówisz, Jeff, szokujesz mnie!

– Dlaczego? Wszystkie dzieci tak myślą – wyjaśnił, a potem zbiegł po schodach.

Szczerze ją zdziwiło takie materialistyczne podejście syna do sprawy jej ewentualnego małżeństwa z Cole'em. Spakowała swoje rzeczy i wyszła przed dom. Cole był w garażu i układał torby w bagażniku. Podeszła do niego, wciąż z niewyraźną miną, i podała mu swoją małą walizkę i torbę z prowiantem. Wziął to od niej i dołożył do pozostałych bagaży, unikając jej wzroku. Dopiero gdy zamknął bagażnik, spojrzał na nią.

– Chyba rozmawiałś o nas Jeffem? – zapytał z uśmiechem.

– Tak, a skąd wiesz?

– Bo przed chwilą, kiedy przybiegł tu ze swoim plecakiem, spytał mnie, jakich prezentów może się spodziewać od moich rodziców na święta. – Był wyraźnie rozbawiony. – Zapytał też, czy wchodzi w grę jakieś ciotki, czy też wujkowie...

Musiała mieć wyjątkowo zakłopotaną minę, bo Cole wybuchnął śmiechem.



– Widzę, że mój syn ma prawdziwą smykałkę do interesów. Nic mi dotąd nie było o tym wiadomo. – Spojrzała na Cole'a i z ulgą dostrzegła na jego twarzy rozbawienie.

– To co, gotowa?

Potaknęła głową, głośno wypuszczając powietrze.

– Tak, gotowa.

Jeff i Blackie siedzieli już na tylnym siedzeniu. Gdy tylko zdążyli się usadowić z przodu, Jeff zapytał z entuzjazmem:

– Będziemy śpiewać? – Nie czekając na odpowiedź, zaczął nucić piosenkę. Podśpiewywał wesoło przez całą podróż aż do chwili, gdy zjechali na wąską wiejską drogę.

– Za niecałą milę będziemy na miejscu – wyjaśnił Cole. – Przypominam, że macie się nastawić na przygodę, jakbyście jechali pod namiot.

– Tym się nie martw – uśmiechnęła się Robin – to nas nie przeraża.

Po kilku minutach, gdy Cole zaczął zwalniać, nagle krzyknęła:

– Stop, stój!

Cole się zatrzymał, a Robin wyskoczyła z samochodu i wybiegła na środek drogi. Drżała na całym ciele, bo ujrzała wreszcie coś, na co czekała już od dawna. To był prawdziwy znak. Wlepiała wzrok w słowo, które widniało na tablicy stojącej przy drodze, i do oczu napłynęły jej łzy. Farma Cole'a nosiła nazwę „Raj”.

– Robin, co się dzieje? Ja naprawdę nic z tego nie rozumiem – po raz trzeci powtórzył Cole. Miał szczerze zatroskaną twarz.

– Mogę się założyć, że zaraz znowu się rozplacze – podsumował Jeff i wyjrzał przez okno. – Coś dziwnego dzieje się ostatnio z mamą, dziś też cały dzień jakoś podejrzanie się zachowuje. Może ty wiesz, dlaczego?

– Nie jestem pewien – odrzekł Cole, wciąż przyglądając się Robin, która nie mogła oderwać oczu od tablicy z napisem „Raj”.

Jeff nie pomylił się, po jej policzkach znowu popłynęły łzy, ale tym razem były to łzy szczęścia i wdzięczności. Czuła się dokładnie tak, jak opisywał to Cole: wyciągnęła rękę ku górze, a Bóg wyciągnął swoją w dół i doszli do porozumienia. Nareszcie rozwiązała swój dylemat i nie mogąc się dłużej powstrzymać, rzuciła się Cole'owi na szyję i spojrzała mu prosto w oczy, w jego cudowne, kochane oczy. Obraz miała zamazany, bo przez łzy nie za dobrze widziała, jaką ma minę, ale nie miało to teraz znaczenia. Jej serce wprost eksplodowało miłością.

– Robin, co się dzieje...?

Ale nie dała mu powiedzieć ani słowa więcej, zamykając mu usta gorącymi pocałunkami.

– Kocham cię, kocham cię, tak bardzo cię kocham... – powtarzała raz za razem.

Cole chwycił ją mocniej i przyciągnął do siebie, a Jeff, zadziwiony całą tą sytuacją, wysiadł z samochodu i podszedł do nich.

– No nie, znowu z tym zaczynacie? – jęknął.

Jednak Robin ledwo słyszała jego głos i dopiero niespodziewane klaśnięcie w dłonie wyrwało ją z amoku. Nieobecny wzrokiem spojrzała na Jeffa, który wydał się jej teraz bardzo dorosły, choć był przecież jeszcze małym chłopcem.

– Halo, czy wy w ogóle wiecie, gdzie jesteście? – zapytał z powagą, zupełnie jakby należał do straży miejskiej. – Są chyba lepsze miejsca do całowania niż środek ulicy.

– Twój syn ma chyba rację – powiedział Cole, choć zupełnie nie miał ochoty wypuszczać Robin z ramion.

– Chodź ze mną – powiedział Jeff, wziął mamę za rękę i zaprowadził ją do samochodu. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał z powagą na Cole'a. – Może ona ma gorączkę?

– Robin – Cole podszedł do niej i ujął ją za rękę – czy możesz nam coś wytłumaczyć?

– Tak – Robin kiwnęła głową, jakby chciała przypieczętować tym gestem właśnie podjętą decyzję. – Chodzi o znak, o ten napis „Raj”. Dlaczego twój dziadek tak nazwał to miejsce?

– Nie jestem pewien... – powiedział Cole zaskoczony. – Mieszkał tu przez całe swoje życie i zawsze powtarzał, że ta posiadłość to wszystko, czego potrzebuje. Kochał ją i z tego co pamiętam, powtarzał zawsze, że to prawdziwy raj na ziemi. Pewnie dlatego tak ją nazwał.

Robin znowu kiwnęła głową. Wcale nie robiła wrażenia zdziwionej tymi wyjaśnieniami.

– Kiedy Lenny i ja pobraliśmy się, rozmawialiśmy zawsze o tym, a raczej marzyliśmy, że któregoś dnia kupimy ziemię i będziemy hodować zwierzęta. Jeff miał mieć swojego kucyka, a ja wielki ogród. Zawsze mówiliśmy, że to będzie nasz skrawek nieba na ziemi i chcieliśmy go nazwać... właśnie tak, „Raj”.

– W oczach Cole' a widziałam, że wciąż jeszcze nic nie rozumie. – Dziś, kiedy stałam na Fisherman's Wharf w porcie, zrobiłam, tak jak mi powiedziałeś, próbowałam poradzić się Lenny'ego, co mam zrobić, i opowiedzieć mu o swoich uczuciach i wątpliwościach, które mną targają, gdy myślę o naszym małżeństwie.

– Chciałem tylko, żebyś sobie spróbowała wyobrazić, co by ci poradził, gdyby mógł – sprostował Cole. – Nie miałem na myśli żadnej próby nawiązania kontaktu czy czegoś w tym rodzaju...

– Wiem, że to zabrzmiało dla ciebie dziwnie, ale wiele razy rozmawiałam z Lennym przez te wszystkie lata i nagle uderzyło mnie tak mocno, że nigdy mi nie odpowiadał. Ta świadomość ostatecznie zmusiła mnie do uporania się z bólem i zrozumiałam, że muszę wreszcie zapomnieć, wybaczyć Lenny'emu, że od nas odszedł.

Jeff patrzył na mamę z otwartymi ustami. Był wyraźnie zszokowany.

– Gdy poprosiłeś mnie o rękę – ciągnęła dalej Robin – nie wiedziałam, co robić. Trudno mi było jakoś uwierzyć, że twoje oświadczenia wynikają z czegoś więcej, jak tylko z chęci znalezienia sobie nowej rodziny. Kocham cię, ale chciałam też wierzyć, że i ty mnie kochasz, no i Jeffa, ale wciąż nie byłam pewna...

– A teraz jesteś?

– Tak, teraz całym sercem jestem przekonana, że jeśli wyjdę za ciebie, będzie to dobre dla nas wszystkich.

– Jasne, że ożenimy się z Cole'em! – krzyknął Jeff. – Przecież mogłaś mnie zapytać, ja bym ci od razu powiedział. Przecież już należymy do siebie! – uśmiechnął się szeroko i podszedł, żeby się przytulić.

– Tak, należymy do siebie – szepnęła Robin z przejęciem. – Cole, to będzie dla mnie wielki zaszczyt zostać twoją żoną – powiedziała, zarzucając mu rękę na szyję.

– Jeff? A co ty na to? – Cole przeniósł spojrzenie na chłopca. Jego twarz promieniała, a oczy lśniły.

– Byłoby wspaniale, gdybym mógł zostać twoim synem – powiedział mały niezbyt pewnie.

Cole ucałował usta Robin, a potem przyciągnął do siebie chłopca i uścisnął go z całej siły. Blackie, który siedział zamknięty w samochodzie, a który najwyraźniej również chciał wziąć udział w tej rodzinnej scenie, zaczął

szczekać i uderzać łapą w drzwiczki. Robin szybko mu otworzyła i pies wyskoczył, radośnie poszczekując. Przykucnęła przy nim i objęła go za szyję.

– Teraz będziesz miał całą rodzinę, Blackie – powiedziała z promiennym uśmiechem, czując, jak jej serce wypełnia prawdziwe szczęście.

W dwie godziny później, już o zmierzchu, Robin stała pośrodku ogrodu i napawała się cudownym widokiem. Wszystko jej się tu podobało, tak jak się spodziewała, choć nie do końca było identyczne, jak w „Raju” z jej marzeń, jej i Lenny'ego. Ale wcale tego nie oczekiwała. Zresztą ogromny dom z czterema sypialniami na górze zdecydowanie przerastał ich najśmielsze marzenia. Dokoła rosły piękne sosny, a teren doskonale się nadawał do wypasu bydła. Cole pokazywał właśnie Jeffowi stodołę i nawet chciała do nich dołączyć, ale powietrze przesycone było jakimś cudownym, słodkim zapachem. Stała więc, by pooddychać tą wieczorną bryzą. Skrzyżowała ręce na piersiach i uśmiechnęła się do nieskazitelnie czystego nieba, na którym zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Nagle poczuła na sobie czule ręce Cole'a. Bezszelestnie zaszedł ją od tyłu, objął mocno w talii i szepnął do ucha:

– Czy już ci mówiłem, jak bardzo cię kocham?

– W ciągu ostatnich kilkunastu minut ani razu – odparła z uśmiechem.

– W takim razie muszę to koniecznie naprawić – powiedział, wtulając twarz w jej miękkie włosy.

– Kocham cię, Robin, kocham cię do szaleństwa i jestem bardzo szczęśliwy, że udało ci się podjąć tę trudną decyzję. To wspaniale, że chcesz za mnie wyjść.

Robin pokiwała głową.

– Czy dałem ci aż tyle powodów, byś miała takie wątpliwości?

– Nie, to nie tak – powiedziała pośpiesznie, odwracając się do niego.

Położyła mu dłonie na policzkach. – Musiałam być pewna, tak w głębi duszy,

że nie próbujesz zastąpić nami luki w swoim życiu, luki, która powstała po utracie rodziny, syna... I chciałam być pewna, że kochasz mnie taką, jaka jestem, a nie dlatego, że jestem matką Jeffa...

– Jeff jest wspaniałym dzieckiem, nie zaprzeczam, ale to ty wpadłaś mi w oko i to już przy naszym pierwszym spotkaniu. Mimo to wcale nie chciałem się zakochać, broniłem się jak tylko mogłem...

– Ja chyba też nie – zaśmiała się Robin.

– Mamy za sobą podobne doświadczenia i nauczyliśmy się, że miłość oznacza ból i cierpienie. Naprawdę kochałem Jennifer, a mimo to nigdy nie potrafiłem jej uszczęśliwić. A gdy się rozeszliśmy, uznałem, że to ja zawiodłem...

– Ale ona miała poważny problem z alkoholem, była chora, nie możesz siebie za to winić.

– Nie to, żebym obarczał się całą winą, ale po części przez mnie poszło to wszystko nie tak... Strasznie bolało mnie serce, że Bobby jest w środku tego cyklonu i musi to wszystko znosić. Zrezygnowałem z walki o dziecko, żeby nie dolewać jeszcze oliwy do ognia. Wystarczy, że padł ofiarą naszego nieudanego małżeństwa, a potem rozwodu. Nie chciałem, by cierpiał jeszcze bardziej i pragnąłem zrobić wszystko, co w mojej mocy, by mu tego zaoszczędzić. Dopiero później, gdy zdałem sobie sprawę, jak bardzo poważny problem z alkoholem ma Jennifer, uznałem, że muszę walczyć o swoje prawa jako ojciec, ale zanim zdążyłem coś wskórać, wydarzył się ten wypadek. Miałem straszne wyrzuty sumienia, że tak długo z tym zwlekałem. Może dlatego myśl o ponownym małżeństwie i o dzieciach przerażała mnie wprost bezgranicznie. Nie mogłem sobie wyobrazić, że znów będę tak podatny na zranienia i bezbronny w miłości. – Cole uśmiechnął się błogo. – I wtedy poznałem ciebie.

To było tak, jakbym otrzymał nową szansę od losu, i czułem, że albo chwyć ją mocno w swoje ręce, albo już na zawsze pograżę się w żalu...

– A wy znowu... no nie! – Do ogrodu wbiegł Jeff.

– Tylko rozmawiamy – wyjaśniła Robin.

– Jak na to, podejrzanie blisko siebie stoicie. – Podeszedł do nich, a Blackie razem z nim. – Jak się domyślam, nie ma nic do jedzenia...

– Oczywiście, że jest. Zrobiłam kanapki.

– Super! A mogę dać też Blackiemu? On też jest głodny.

– Myślę, że tak. Jest również sok i chrupki ryżowe.

– Super! – powtórzył Jeff i wbiegł do domu.

– Też jesteś głodny? – zapytała Robin Cole'a.

– Tak, nawet bardzo, ale nie wiem, czy tu chodzi o jedzenie... Prawdę mówiąc, na coś innego mam apetyt. Powiedz, jak długo każesz mi czekać, nim wreszcie będziesz należeć do mnie.

– Muszę powiadomić rodziców i brata i chciałabym wziąć ślub kościelny, nie jakiś superwystawny, ale miło będzie zaprosić garstkę przyjaciół i...

– Jak długo?

– Nie wiem, może trzy, może cztery miesiące... żeby to wszystko dopiąć.

– Miesiąc – zdecydowanie powiedział Cole.

– Jak to miesiąc?

– Wystarczą trzy dni, żeby to wszystko zaaranżować...

– Ale Cole... – Robin wtuliła się w jego ramiona.

– To i tak bardzo długo – szepnął i pocałował ją z namiętnością, jakiej nie znała.

Drżąc na całym ciele, zacisnęła palce na jego koszuli.

– Cole... – westchnęła, czując ogromny kontrast pomiędzy żarem płynącym z jej serca i chłodem wieczoru.



– A więc miesiąc? – powtórzył.

– Zgoda, miesiąc – przytaknęła, przytulając twarz do silnego, pulsującego od uderzeń serca, torsu.

Oboje tak wiele przeszli, oboje kochali dogłębną miłością i oboje stracili to, co było dla nich najcenniejsze. Przez wiele lat próbowali odciąć się od świata, bo nikt nie był w stanie zrozumieć ich cierpienia. Aż do chwili, gdy się odnaleźli, i odtąd wszystko miało się zmienić. Ta miłość była dojrzała jak aromatyczny owoc, który przeszedł niejedną burzę, i nadeszła po trudach i cierpieniach, gdy już sądzili, że przegrali swój los, że są skazani na samotność i że jest za późno, by odbudować leżące w gruzach życie. Okazała się być silniejsza, niż kiedykolwiek mogliby się spodziewać.

– Widzisz, to jest to, o czym ci właśnie mówiłem – powiedział z pełną buzią Jeff do Blackiego, który siedział obok niego na schodach przed domem.

– Chyba będziemy się musieli do tego przyzwyczaić.

Blackie przeżuwał właśnie z apetytem chrupki ryżowe, zdecydowanie bardziej zainteresowany jedzeniem Jeffa niż jego przemyśleniami.

– Ale jeżeli ty nie masz nic przeciwko, ja też sobie jakoś z tym poradzę – ciągnął dalej Jeff.

– Może przynajmniej będę miał brata, a jeśli będziemy mieć szczęście, to może nawet dwóch. W sumie siostra też byłaby w porządku. Chociaż... – tu Jeff westchnął ciężko – musiałbym się nad tym poważnie zastanowić. Dziewczyny mogą naprawdę przyprawić o ból głowy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Blackie pomerdał ogonem, a Jeff rzucił mu jeszcze kawałek chrupka ryżowego.

– I wiesz co, Blackie...? Niedługo jest dzień ojca, mój pierwszy w życiu, i już wybrałem kartkę dla Cole'a. Kartkę z obrazkiem... stoi tam tata, mama i

chłopiec w czapce z daszkiem, a do tego pies, który wygląda dokładnie tak jak ty.

TTLR